ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 10/565 1994

• « La Culture » • Revue mensuelle •

R. KACZMAREK:
WOLNY RYNEK MIĘDZYNARODOWY

K. ORŁOŚ: **ZIMNA ELKA**

SMECZ: **Z UKOSA**

P. DASZKIEWICZ: **PRZYRODNICY PIERWSZEJ RZECZYPOSPOLITEJ**

SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek: *Wolny rynek międzynarodowy* 3
Aureliusz M. Pędziwol: *Czechy: szok pod specjalnym nadzorem* 14
Janusz Mondry: *Dyplomacja Henry Kissingera* 26
Kazimierz Orłoś: *Zimna Elka* 34

WIERSZE

W.H. Auden: *Pogrzebowe blues (przekład Jerzego Pietrkiewicza)* 44
Johannes Bobrowski: *Litewskie pieśni* 45
Jarosław Klejnocki: *Miasto otwarte* 45
Piotr Piaszczyński: *Oda* 46
Leszek Szaruga: *Poeta umiera* 46
Leszek Szaruga: *Biała krew* 47
Artur Szlosarek: *Ostatnio* 47
Natan Tenenbaum: *Modlitwa o wschodzie słońca* 48

KRAJ

SMECZ: *Z ukosa* 49
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 61

SPRAWY I TROSKI

Wojciech Popławski: *Rozmowa ze Stanisławem Macionisem* 72

SĄSIEDZI

Adam Kruczek: *Notatki rosyjskie* 79
Bohdan Osadczuk: *Pożegnanie z odchodzącą epoką* 84
— *W kręgu imperium* 88

KRONIKA KULTURALNA

Piotr Daszkiewicz: *Przyrodnicy Pierwszej Rzeczypospolitej* 90
Mieczysław Jackiewicz: *Norwid – Staff – Leśmian po białorusku* 96
Alina Kowalczykowa: *Działalność PEN Clubu na wschodzie* 99
— *Komunikat Funduszu Stypendialnego im. J. i S. Brzękowskich* 103

CI, CO ODESZLI

Jerzy Giedroyc: *Norbert* 105
Tomasz Jastrun: *Norbert Żaba* 107
Jerzy Giedroyc: *Ks. Wojciech Sojka* 108

KSIĄŻKI

Andrzej Biernacki: *Lampasy Jana Dobraczyńskiego* 110
M. Broński: *Ślad poety* 121
Leszek Szaruga: *Gabriel Laub wraca do Polski* 125
Teresa Halikowska-Smith: *Bolesław Leitgeber: Polak i kosmopolita* 129
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 131

NOTATKI REDAKTORA 134

WOLNA TRYBUNA

Andrzej Korboński: *Powstanie Warszawskie z innej strony* 137

Ciąg dalszy na stronie 160

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik/Octobre 1994

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Zdzisław M. Bobrowicz, Princeton, N.Y. (USA), po raz 4-ty — dol. 100,00	F. 528,00
Mr. Bogdański, Video Systems, Skogas (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób red. Norberta Żaby	F. 200,00
Andrzej Brzeski, Davis CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza w 15-tą rocznicę Jego śmierci (5. X. 79) — dol. 100,00	F. 528,00
Ekipa Telewizji Kraków, przygotowująca program o Jerzym Stempowskim	F. 600,00
Zofia Pogonowska, Sztokholm i Eugenia Trzcińska, Hagersten (Szwecja)	F. 100,00
W związku z pogrzebem śp. Norberta Żaby p. Marta Korzecka zebraną sumę — Kor. szw. 1600,00 — zamiast kwiatów na Jego grób, przekazuje na Fundusz *Kultury* (sumę tę wpłacili: M. Korzecka, J. Lindberg, B. i M. Lisińscy, W. Smoleński, Z. Stankiewicz, Z. Stadfors, M. Szostak, M. Trokenheim, W. Winiarska, J. Winiarski, E. Zdrojewska — wszyscy zamieszkali w Sztokholmie)	F. 1.120,00
Zmarła w Izraelu Szoszana Heiman, w testamencie sporządzonym 5 maja 1989 roku, zapisała na rzecz Funduszu *Kultury* sumę odpowiadającą kwocie ok. 16.000,00 franków. Zawiadomił nas o tym 5 maja br. zarządca masy spadkowej, adw. Adam Grossfeld z Jerozolimy, który obecnie wpłacił pieniądze na nasze konto. Niestety nie możemy Szoszanie Heiman podziękować inaczej jak odnotowując Jej dar w *Kulturze*.	F. 16.631,69

•

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc Polakom w Rosji — £ stg. 20,00	F. 165,00

DZIĘKUJEMY

Wolny rynek międzynarodowy

Z dziesięcioma liniami telefonicznymi na stu mieszkańców Arabia Saudyjska nie należy do krajów źle wyposażonych w środki komunikacji. Kraj znajduje się jednak w fazie przyspieszonego rozwoju i Rijad ogłosił przetarg na wykonanie wielkiego planu unowocześnienia sieci. Kontrakt opiewał na sumę rzędu czterech miliardów dolarów. Do zawodów stanęły największe firmy światowe. Jak twierdził fachowy dziennik paryski *La Tribune Desfossés*, według czystych kryteriów technicznych i handlowych na czele współzawodnictwa uplasował się francuski Alcatel. Wybrana została amerykańska firma ATT.

Wszyscy konkurenci — Alcatel, Ericsson, Northern Telecom, Siemens, giganci rynku — wydali oświadczenia, że zadecydowały tu względy polityczne, to znaczy nacisk administracji prezydenta Clintona. *Financial Times* 12-go maja zamieścił wypowiedź dyrektora generalnego Northern Telecom, który — czyniąc aluzję do osiągnięć ATT — powiedział: „u mnie nie nagrodzilibyście kontraktem tego, kto zajął trzecie miejsce". Dla wyjaśnienia dodał, że jego oferta była niższa od amerykańskiej o, bagatela, 700 milionów dolarów.

Prawa wolnego rynku i konkurencji stanowią obowiązującą formułę programów gospodarczych jak świat długi i szeroki, a szczególnie w nowych demokracjach. Powrót lewicy do władzy uznaje się tu raczej za wyskok historii, wynikający z wysokich kosztów społecznych gospodarczej konwersji, które wywołały sankcję wyborców za nieudolność i aferyzm pierwszych prawicowych rządów. Na dłuższą metę nikt nie kwestionuje racjonalności zasad rynkowych, które leżą u pod-

staw powodzenia krajów Zachodu znajdujących się tuż za miedzą i które wcześniej czy później stać się mają normą stosunków gospodarczych także i u nas. Chodzi tu w szczególności o konkurencyjność w handlu zagranicznym, gdzie jakość i cena towarów mają stanowić o powodzeniu, napływie dewiz, spłacie długów i unowocześnieniu gospodarki. Czy zatem operacja w Arabii Saudyjskiej, obrazująca spętanie zasad konkurencji przez politykę, stanowi wyjątek od reguły?

Oferta, której nie można odrzucić

Zdaniem prasy francuskiej jest to drugi tego rodzaju wypadek w Arabii Saudyjskiej. W ubiegłym roku odbyła się tam ostra walka o kontrakt na samoloty pasażerskie ogólnej wartości 6 miliardów dolarów. Głównymi konkurentami byli europejski Airbus i amerykańskie firmy Boeing i Douglas. Według szefa Airbus, Jeana Piersona, jego firma zdobyła we wstępnej kwalifikacji trzecią część kontraktu, co odpowiadało udziałowi Airbusa na rynku światowym. Tymczasem w ostatniej fazie przetargu „zagrały jakieś elementy", które wyeliminowały go całkowicie z gry. Chodziło o osobisty telefon prezydenta Clintona do króla Fahda, w którym zapewne opowiadano sobie niedawną wojnę z Irakiem.

Inną rozgrywką o podobnym znaczeniu był przetarg w Brazylii na instalację w Amazonii ekwipunku kontroli powietrznej, również na sumę 6 miliardów dolarów. W szranki stanęli Amerykanie i Francuzi. Nie podejmując ryzyka niedopatrzenia sprawy rząd USA wysłał w teren wiceprezydenta, sekretarza do spraw handlu i szefa sztabu. Kontrakt wygrali Amerykanie.

Szczególnie wyraźną metodę politycznego popierania eksportu stosuje administracja USA w dziedzinie zbrojeń. Zasadą jest tu zgodność handlu ze strategią sojuszów, ale także kryteriami demokracji, której rozszerzenie staje się filarem nowej teorii interesów obronnych Stanów Zjednoczonych. Utrwala to światową rolę USA, lecz oczywiście wyklucza rynek uzbrojenia z porządku handlowego, silnie ograniczając na nim zasady konkurencji. Francuski dwumiesięcznik *Armement* z lutego-marca 1994 przynosi szereg przykładów politycznego zaplecza amerykańskich transakcji sprzętem wojennym: interwencja prezydenta Busha w 1992 w sprawie sprzedaży Kuwejtowi czołgów M1A2, udział sekretarza ds. handlu Browna w negocjacjach sprzedaży Malezji samolotów

F-18, instrukcja Departamentu Stanu z 8 maja 1993 dla ambasadorów, by popierali akcje handlowe firm amerykańskich, finansowe poparcie dla firm eksportujących samoloty, zniesienie opłat eksportowych dla handlu sprzętem wojskowym, kredyty dla niektórych państw, w tym Izraela, na zakupy broni amerykańskiej, co w gruncie rzeczy stanowi pośrednie dopłaty do własnego przemysłu zbrojeniowego.

Taki sposób nie stanowi amerykańskiej wyłączności: Francuzi na przykład subwencjonują swój przemysł poprzez kredytowe dostawy dla Afryki, których należności są następnie umarzane. 60 % tych dostaw obejmuje sprzęt wojskowy.

Przemysłowcy Europy Zachodniej domagają się, by ich rządy wykazały się podobną aktywnością jak administracja amerykańska. Problemem jest tu oczywiście różnica ciężaru gatunkowego w interwencjach politycznych. Wspólnota płaci tu za brak politycznej i wojskowej woli zaangażowania w newralgicznych punktach globu, gdzie rozwiązanie jakiegokolwiek konfliktu jest nie do pomyślenia bez udziału Stanów Zjednoczonych. Poza tym konkurencja narodowa nadaje europejskim interwencjom charakter rozproszony, wobec którego obecność amerykańskiego potencjału politycznego jest znacznie bardziej sugestywna.

Subwencje i bariery

Rozległemu upolitycznieniu handlu ze strony Stanów Zjednoczonych odpowiadają równie nieliberalne działania innych wielkich aktorów światowego rynku, tyle że stosowane są inne środki, niż bezpośredni nacisk na nabywcę. Japonia, której systematycznie rosnąca nadwyżka handlowa z USA osiągnęła w ubiegłym roku 70 miliardów dolarów, od czasu do czasu podpisuje z Waszyngtonem nowe układy o otwarciu swego rynku, po czym najspokojniej je ignoruje. Podkreślić trzeba, że nadwyżka ta wynika nie tylko z wartości japońskiej oferty towarowej, ale i wyjątkowo nieliberalnych przepisów i obyczajów na wyspach archipelagu w stosunku do konkurencji zagranicznej. Wiosną br. prasa ekonomiczna Zachodu zwróciła uwagę na cyfrowe czary, jakie ma uprawiać japońska administracja. Według obliczeń zachodnich silnie destabilizująca planetarny rynek nadwyżka handlowa Japonii z resztą świata przekroczyła w ubiegłym roku 130 miliardów dolarów. Tymczasem w maju br. tokijskie ministerstwo finansów i Bank Japoński ogłosiły wyrówny-

wanie się importu z eksportem w niektórych dziedzinach. Tajemnica tkwi w tym, że w Tokio wlicza się do rachunków import z japońskich fabryk rozrzuconych w świecie. Tym sposobem Honda sprzedaje na rynku wewnętrznym więcej samochodów „amerykańskich" niż którykolwiek z konkurentów.

Wśród tradycyjnych środków ochrony własnej wytwórczości najszerzej stosowane są cła zaporowe i subwencje. Protekcjonizm gospodarczy dotkliwie odczuwają kraje ubogie. W latach 1989–1992 nastąpił silny wzrost obrotów handlowych Europy Środkowej ze Wspólnotą Europejską. Ich ogólny bilans był dla EWG dodatni na kwotę dwóch i pół miliarda ecu za wspomniany okres. Innymi słowy konkurencja tanich wyrobów z naszego regionu nie zagrażała stabilności handlowej zachodnich kontrahentów, co wynikało głównie z intensywnego wchłaniania zachodnich towarów konsumpcyjnych przez zgłodniały rynek wschodnich demokracji. Na pozór więc istniały warunki sprzyjające robieniu liberalnych interesów przez obie strony. A jednak i tu polityka wzięła górę nad dynamiką mechanizmów handlowych. Niski poziom wschodniej technologii zapewniał jej konkurencyjność głównie w dziedzinach o niewielkiej wartości dodanej, gdzie akurat Zachód przeżywa największe trudności restrukturyzacyjne. Ogólna wartość zakupów w krajach Europy Wschodniej jest tak mała, że z trudnością można tu było widzieć zagrożenie dla wspólnotowego rynku pracy: zdaniem tygodnika *l'Expansion* z 1-go czerwca 1994 w dziedzinie rolnej import z tego terenu wynosił 2% całego importu rolnego EWG, a w stalownictwie 4%. A jednak z końcem 1992 roku Wspólnota wprowadziła restrykcyjne kwoty importowe na stal, tekstylia, produkty rolne i niektóre przetwory ze wschodu Europy. Na skutek tego nastąpiło odwrócenie tendencji w polskim bilansie handlowym, którego deficyt stale się odtąd pogłębia.

W dziedzinie rolnej Polska zareagowała środkami odwetowymi w postaci opłat wyrównawczych za import niektórych wyrobów spożywczych. Wywołało to sprzeciw krajowych liberałów, a także niektórych rządów, na przykład Pragi; wydaje się jednak, że było to rozsądne posunięcie, nie tylko z powodów doraźnej polityki budżetowej, lecz przede wszystkim w stosunku do ogólnej sytuacji na europejskim rynku, gdzie wypada zaistnieć także jako czynny gracz złożonej łamigłówki konkurencyjnego gospodarowania. Problem polega jedynie na posiadaniu odpowiedniej wagi w stosunku do mistrzów oportunizmu ekonomicznego.

Niemiecki *Die Welt* z 4-go sierpnia 1992 roku doniósł, że kraje Wspólnoty stosują dopłaty do gospodarki sięgające 180 miliardów marek rocznie. Znaczy to, że ekonomia 340 milionów mieszkańców Europy Zachodniej rocznie dotowana jest mniej więcej na wysokości całego długu zagranicznego obciążającego 340 milionów mieszkańców byłego obozu. Komisja Brukselska występuje niekiedy przeciwko państwowej ingerencji w mechanizmy rynku, lecz po pierwsze całkiem wybiórczo, jak wskazuje choćby europejska zgoda na kwoty w stosunku do państw wschodnich, a po drugie w ostatnim okresie ujawnia się dwuznaczność postaw różnych instancji europejskich w sprawie realnej liberalizacji rynku. 27 kwietnia mianowicie Sąd Europejski w Luksemburgu, wbrew zaleceniu Komisji, wydał werdykt sankcjonujący specjalne prawa monopoli państwowych, jeśli w grę wchodzą interesy służby publicznej. Oznacza to w szczególności wzmocnienie ostro krytykowanych monopoli gazu, elektryczności i komunikacji, którym wspomniana decyzja Sądu zapewnia dalsze dotowanie z funduszów państwowych, na niekorzyść wolnej konkurencji prywatnych dostawców z kraju i z zagranicy.

Państwowy interwencjonizm zachodnioeuropejskich rządów wywołuje krytyki rządu Stanów Zjednoczonych, stanowi on jednak słabe odbicie znacznie głębiej sięgającej korekty zasad wolnego rynku, jaką jest polityka monetarna i budżetowa Stanów Zjednoczonych.

Podatek imperialny

Operację zawyżania parytetu światowej monety, jaką jest dolar, można przeprowadzać krótkimi okresami, jak w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy wart był on dwa razy więcej, niż z końcem lat siedemdziesiątych. Napełniło to rynek amerykański tanimi wytworami z importu, wykruszając zarazem licznych własnych wytwórców. Drogi dolar zapewnił spożywczą euforię lat osiemdziesiątych w USA i zainicjował proces przenoszenia na Peryferie planety licznych dziedzin wytwarzania, po czym wrócił na rozsądny poziom.

Gdy chodzi o ujemny bilans handlowy, to — w odróżnieniu od drogiego dolara — od kilkunastu lat stanowi on niezmienną tendencję amerykańskiego handlu, oznaczając trwałe zaprzęgnięcie bezpłatnej pracy za granicą do amerykańskiego spożycia.

Można to było rozumieć jako pośrednie uczestniczenie resz-

ty świata w finansowaniu amerykańskiego wysiłku obronnego w stosunku do totalitarnych zagrożeń. Dziś schemat ten ulega reorientacji, lecz zachowuje charakter redystrybucji kosztów ponoszonych przez Stany Zjednoczone w roli strażnika światowego porządku. Wynika to z niepewności co do losów konfrontacji na świecie w epoce rozproszonych zagrożeń, wobec których regiony nie są skłonne zdobyć się na strategiczną samowystarczalność. Dotyczy to zarówno spraw wojskowych jak i ściśle gospodarczych: nadal bowiem Stany pozostają lokomotywą światowej koniunktury, tak jak są arbitrem globalnego porządku.

Tendencje rynkowe w dużym stopniu zależą od inicjatyw politycznych amerykańskiej administracji, a nawet od intencji, jakie rynek przypisuje rządowi Stanów Zjednoczonych. Majowe perypetie na giełdach stanowią tego najlepszy wskaźnik. Niekorzystny wynik negocjacji z Japończykami w sprawie realnego otworzenia ich rynku doprowadził operatorów giełdowych do wniosku, że Amerykanie znowu sięgną po broń monetarną, zmierzając do względnego podrożenia towarów japońskich na amerykańskim rynku przez obniżenie parytetu dolara. Antycypując tę zniżkę spekulanci zaczęli masowo pozbywać się dolarów, co rzeczywiście wpłynęło na spadek wartości zielonego pieniądza, ku zaskoczeniu wszystkich, ponieważ doskonałe wskaźniki gospodarki amerykańskiej sugerowały dokładnie przeciwną dynamikę.

Zwykle obniżka dolara zawsze kogoś urządzała: albo Amerykanów, gdy grali na zwiększenie konkurencyjności swych towarów, albo którąś z silnych monet — markę albo jena — gdy ich posiadacze stawiali na masowe inwestowanie w Stanach, co własna silna moneta poważnie ułatwiała, albo importerów ropy w okresie wysokiego jej kursu, albo wreszcie kraje ubogie, spłacające amerykańską monetą swe długi. Dziś jednak ropa jest tania, a ubodzy nie mają nic do gadania. Co się zaś tyczy zamożnych, to ich interesy monetarne są dziś wspólne: zgodną akcją banki centralne wykupiły spekulacyjny nadmiar dolara, powstrzymując jego spadek. Nie wchodząc w szczegóły mechanizmu stwierdzić można, że oznacza to potwierdzenie światowej roli dolara, tym samym sankcjonując wszelkie wysiłki globalnego rynku na rzecz gospodarki amerykańskiej: wszyscy godzą się na płacenie imperialnego podatku, ponieważ jest to cena za niekwestionowane przywództwo USA w niepewnych czasach, kryjących jeszcze bardziej niejasną przyszłość.

Jednym z czynników tej niepewności jest utrata suwerenności monetarnej przez banki centralne, w tym także i przez amerykańską Rezerwę Federalną. Wspomniana akcja powstrzymania spadku dolara udała się tylko częściowo i po krótkiej chwili wytchnienia jego wartość spadała nadal. Na swym lipcowym posiedzeniu w Neapolu szefowie siedmiu najbogatszych państw ostrzegli rynek, że dolar nie posiada już żadnego marginesu na zniżkę. W odpowiedzi na to giełdy zareagowały dalszą zniżką już następnego dnia.

Obserwatorzy zwracają tu uwagę na rosnącą bezradność polityki, wynikającą z faktu, że w rękach prywatnych spekulantów znajduje się dziś więcej waluty — ponad tysiąc miliardów dolarów — niż zdolne są rzucić na szalę wszystkie banki centralne. Tym sposobem władza monetarna zostałaby wyjęta z rąk administracji. Giełdy bowiem nie przejmują się celami politycznymi, one obserwują zadłużenie amerykańskie i antycypują spadek zaufania do dolara na dłuższą metę.

Ocena ta, nie pozbawiona słuszności, wymaga jednak uzupełnienia podług rzymskiej zasady *Cui bono*, komu to przynosi korzyść. Obniżka dolara podnosi konkurencyjność amerykańskich towarów, co zmniejsza deficyt handlowy, a także łagodzi zadłużenie federalne. Są to korzyści krótkotrwałe, czyli mieszczące się dokładnie w politycznych celach wybieralnej administracji: innymi słowy trudno do końca dać wiarę w bezradność polityki Waszyngtonu w dziedzinie monetarnej.

Co nie oznacza bynajmniej, że uderzeni amerykańską bronią monetarną przeciwnicy nie sięgają po środki odwetowe. Przebojem lata na amerykańskim rynku samochodowym był Nissan Maxima, którego cenę ustalono na poziomie niższym o 10% w stosunku do poprzedniego sezonu. Amerykanie zachodzą w głowę, jakim sposobem wóz ten może kosztować o jedną dziesiątą mniej w sytuacji, gdy spadek dolara podniósł wartość jena o 20% i mówią o dumpingu. Japończycy zaś wykazują, że obniżyli koszty własne. W gruncie rzeczy chodzi tu o sprzedaż ze stratą, co oznacza, że Japończycy eksportują swe bezrobocie za ocean.

Zdolni uczniowie

Giganci rynku starają się przy tym przejąć amerykańskie metody monetarnego interwencjonizmu na regionalną skalę. Niemcy, utrzymując wysoką stopę procentową w latach 1991–1993, zapewnili sobie dopływ kapitału szukającego łat-

wego zysku: oznaczało to w gruncie rzeczy przerzucenie części kosztów zjednoczenia kraju na barki całej Europy, która przedłużaniem się recesji płaciła koszty drogiego kredytu. Z kolei Japończycy, ze wszech stron przyciskani o otwarcie rynku, ogłosili w maju br. że zmniejszą swe inwestycje za granicą, przenosząc strumień jenów na rynek wewnętrzny. Powodem ma być niska rentowność japońskich instalacji na świecie. Rozumowanie w zasadzie klasycznie rynkowe: finanse pójdą tam, gdzie oczekują większego zysku. Dodatkowego wyjaśnienia można się jednak doszukać w wysokim kursie jena. Rzucenie wielkich sum na rynek wewnętrzny wywoła wzrost cen w Japonii, za czym światowym giełdom pozostanie wybór urządzający Japończyków w każdym wypadku: albo jen osłabnie wobec innych walut, podnosząc na nowo konkurencyjność japońskich towarów, albo poziom cen wewnętrznych na archipelagu stanowić będzie jeszcze bardziej skuteczną barierę przed zagranicznymi inwestycjami.

Polityka słabych

W balecie politycznych zabiegów na gospodarczej scenie nowe demokracje dysponują nielicznymi argumentami, bez wahania wprowadzonymi do zagranicznych operacji gospodarczych. Do końca lat siedemdziesiątych komuniści niektórych krajów używali argumentu więziennego: Gierek na przykład zamykał opozycję, po czym wypuszczał ją i w aureoli realisty przystępował do negocjowania nowych kredytów. Do dziś takiego numeru używają Chińczycy, którzy wiosną br. udzielili prezydentowi Clintonowi alibi dla przyznania im klauzuli największego uprzywilejowania wypuszczając paru więźniów.

Gdzie indziej najpopularniejszym chwytem jest gra na wrażliwość globalnego rynku na zagrożenia. Groźbę atomową usiłowały rozegrać Rosja, Ukraina, Korea Północna i wszystkie republiki posiadające atomowe elektrownie. Apokaliptyczny szantaż przyniósł jak na razie rozczarowanie, pomoc techniczna Zachodu bowiem kończy się na obietnicach i kosmetyce zabezpieczeń w rdzewiejących centralach. W niektórych przypadkach — na przykład w Armenii — zniechęcone rządy zmieniają orientację, na nowo szukając technicznej asysty w Moskwie.

Realną stawkę wygrała Ukraina, której Zachód przyznał ponad miliard dolarów na zamknięcie i zabezpieczenie reaktorów Czarnobyla. Nastąpiło to po długotrwałej licytacji, gdzie

na trzy miliardy, niejasno sugerowane z Zachodu, Ukraina odpowiadała: sześć do ośmiu miliardów. Niska wygrana wywołała reakcję nowego prezydenta Ukrainy. Natychmiast po objęciu urzędu Kuczma dał do zrozumienia, że nie podpisze aktu o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej, do czego zobowiązał się jego poprzednik.

Innym argumentem wzmacniającym gospodarcze manewry nowych demokracji miało być uzależnienie światowego pokoju od powodzenia lokalnych reform. Motywu tego używali najpierw polscy politycy, później wszystkie rządy regionu. Jeszcze w lipcu br. podczas wizyty francuskiego premiera w Warszawie prezydent Wałęsa poinformował gościa, że jeśli Zachód nie przyspieszy przyjęcia Polski do Unii Europejskiej to Europa Środkowa stanie się teatrem zaburzeń porównywalnych z „innymi".

Z wyjątkiem Rosji, której perypetie nadal nakłaniają polityków zachodnich do składania licznych obietnic finansowych, żaden wschodni rząd nie może już poważnie liczyć na wymuszenie tą drogą kredytów lub paktów handlowych. Powodzenie zabiegów oddłużania, z fanfarami ogłaszane także i przez rząd w Warszawie, są raczej kamuflażem braku odwagi i wyobraźni, niż przejawem rodzącego się porządku gospodarczego. W spłatę długów nikt już nie wierzy, jedynie grupa pozbawionych władzy funkcjonariuszy utrzymuje pozorny obieg wierzytelności, ze szkodą dla dławionych długami struktur gospodarczych, a przy ogólnym braku zainteresowania ze strony rzeczywistych aktorów realnego rynku. Minęły już lata osiemdziesiąte, kiedy zainstalowała się na nim ekonomia długów i walki z inflacją, także poprzez udzielanie ryzykownych pożyczek do krajów ubogich — a koniec wieku zwraca uwagę jedynie na tych, co mogą rzucić na szalę konkretne miliardy. Wschodnie rządy mają tu wybór, czy ze skromnymi, lecz realnymi sumami poskładanymi wysiłkiem przekształcających się gospodarek chcą odgrywać rolę dostarczyciela kapitałów netto w procesie wiecznego płacenia odsetek, czy raczej rzucić dyspozycyjne kwoty na rynek inwestycji, nawet za cenę zmarszczenia brwi funkcjonariuszy oddłużania. Raz jeszcze rynek ukształtują decyzje polityczne.

Próby globalnych ustaleń

W celu liberalizacji międzynarodowego handlu prowadzone są od lat negocjacje zwane w skrócie Gatt. Ich celem

jest obniżenie taryf celnych. Na kwietniowej konferencji w Marakeszu parafowano porozumienie o silnej ich redukcji w skali światowej. Arytmetyka celna wszelako nie bierze pod uwagę problemów strukturalnych, wynikających z głębokiej nierównowagi rozwoju gospodarczego. Dyskryminuje ona popyt ze strony nie mających pieniędzy krajów ubogich, a w dziedzinie podaży faworyzuje technologię Zachodu w stosunku do surowców trzeciego świata. Ponadto wartość manewrów celnych jawi się jako coraz bardziej wątpliwa wobec fluktuacji walutowych: jakie może mieć znaczenie zmniejszenie ceł o parę punktów, kiedy dolar zmieni wartość o dwadzieścia procent.

Wobec tych sprzeczności polityka, jak zawsze, ma ostatnie słowo. Aktualnie, w okresie wychodzenia z recesji, tania podaż niezupełnie odpowiada potrzebom krajów zamożnych. W Marakeszu zatem Francja i Stany usiłowały wprowadzić klauzulę społeczną, która zabroniłaby na poły niewolniczej pracy w krajach Azji i Ameryki Południowej. Państwa ubogie zażądały ze swej strony, by rozszerzyć pojęcie wolnego handlu na transfer taniej pracy, to znaczy zliberalizować emigrację ekonomiczną. Bogaci nie zgodzili się na emigrację, a ubodzy — na klauzulę społeczną, co oznacza w gruncie rzeczy odroczenie konfliktu poprzez przeniesienie regulacji problemów w sferę polityki. Doraźnie interweniować ona będzie poprzez importowe kwoty, antyimportowe podatki i fluktuacje walutowe. Na dłuższą metę zaś przygotuje ona zasady współżycia zróżnicowanego rynku, w pierwszym rzędzie przywołując na wokandę odłożone tematy klauzuli społecznej i ruchu osób poprzez bariery dobrobytu.

Co to jest rynek

W obszarze ujednoliconego rynku, gdzie wyroby są mniej więcej takie same i o zbliżonej cenie, polityka pojawia się jako czynnik preferencji, jej rolą jest nakłonienie kontrahenta by nabył wskazane towary. Losy kontraktu telefonicznego w Arabii wskazują przy tym, że może ona zredukować do zera bardzo poważne przewagi rynkowej konkurencji. Z kolei pomiędzy rynkami o zróżnicowanym poziomie polityka działa jako parasol ochronny w stosunku do konkurencji taniej podaży. Jakikolwiek byłby układ pomiędzy partnerami, polityka zawsze jest w stanie zmienić układ prostych zależności rynkowych. Powstaje pytanie, co to w ogóle jest rynek.

Pytanie to nabierze pełnego znaczenia w najbliższych dziesięcioleciach, wraz z wejściem na rynek Chin, które zbulwersują wszystkie obyczaje rynku nabywców i wytwórców. Jeśli Chiny nie padną ofiarą szaleństwa mandarynów, wówczas powtórzą doświadczenie Japonii w skali dziesięciokrotnie większej i żadne przewidywania nie są w stanie przecenić rewolucji, jaka przetoczy się wówczas przez globalny rynek, na podbicie którego szykują się wszak jeszcze inne pracowite narody Azji. Pozostawiony klasycznym regułom wolnego handlu międzynarodowy rynek stałby się wówczas miejscem niczym nie ograniczonego chaosu. Z drugiej jednak strony rynek ten, całkowicie podporządkowany tradycyjnym zasadom polityki, przekształciłby się w skamieniały układ szczelnie zamkniętych twierdz gospodarczych.

W zasadzie Zachód przygotowuje się na zwarcie poprzez zmiany strukturalne. Najbardziej zaawansowane są tu Stany Zjednoczone, które wręcz sprzyjały przeniesieniu wytwarzania na Peryferie, stawiając na swe przywództwo polityczne i wojskowe, innowacje technologiczne oraz wiodącą rolę na rynku usług i finansów. Niewyobrażalny potencjał Azji może jednak zamieszać tę wizję i dzisiejsze manewry polityczne na rynku zdają się wyrażać rosnącą obawę jego aktorów przed przyszłością.

Robert KACZMAREK

Fragment przygotowywanej książki pt. „W stronę przyszłego stulecia".

Czechy: szok pod specjalnym nadzorem

Waldemar Kuczyński, pierwszy minister prywatyzacji na wschód od linii dawnej żelaznej kurtyny, powiedział mi w październiku ubiegłego roku: „Rozumiem gospodarkę rumuńską i bułgarską, węgierską, słowacką i polską — nie rozumiem czeskiej". Najwyraźniej fakt ten nie dawał mu spokoju, czego dowodem artykuł w *Gazecie Wyborczej* z 17 czerwca 1994. Swój tekst zatytułował „Czeskie zagadki", a w jednym z pierwszych zdań napisał: „Dla mnie gospodarka czeska jest najbardziej tajemniczą, najtrudniejszą do zrozumienia gospodarką w Europie Środkowej".

Nie jestem wprawdzie ekonomistą, ale mam pewną istotną przewagę nad Kuczyńskim: od dwóch lat przyglądam się czeskim reformom z bliska. Moje uwagi będą więc raczej dopełnieniem jego rozważań niż polemiką z nimi. Kuczyński bowiem o pewnych zjawiskach nie wie i właściwie wiedzieć nie może, a winni jesteśmy my — polscy dziennikarze akredytowani w Pradze. Nie da się bowiem ukryć, że sprawom gospodarczym poświęcamy niezbyt wiele czasu.

1.

Jeśli Richard Falbr, szef największej centrali związkowej w Czechach, przyznaje, że „niskie bezrobocie w tym kraju jest nienaturalne", znaczy to, że z rozumieniem czeskiej gospodarki kłopoty ma nie tylko polski ekonomista. Specjalizujący się w czeskiej tematyce eksperci Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych, których wielokrotnie prosiłem o wyjaśnienie zadziwiającego fenomenu

czeskiej gospodarki, też nie zawsze byli w stanie dać zadowalającą odpowiedź. Właściwie dopiero niedawno usłyszałem od jednego z nich bardzo znamienne zdanie: „Wskaźniki makroekonomiczne są bardzo obiecujące, w skali mikro jednak zbyt wiele jeszcze funkcjonuje nie tak, jak powinno".

Mojej przyjaciółce ze Szwajcarii wystarczyło 15 minut, by zrozumieć, dlaczego bezrobocie jest zjawiskiem nad Wełtawą niemalże nie znanym. Siedzieliśmy na tarasie restauracji „Adria" przy ulicy Narodowej w Pradze, wokół nas kłębił się tłum kelnerów. Minął kwadrans, nim któryś z nich znalazł wreszcie czas, by przyjąć zamówienie, a właściwie powiedzieć nam, że tego, co byśmy sobie życzyli, już nie ma.

To była obserwacja w skali mikro. Takie doświadczenia miewam na co dzień.

W większości restauracji nadal obowiązuje „socjalistyczny podział pracy": kto inny przyjmuje zamówienie, kto inny przynosi piwo i colę, kto inny posiłki, wreszcie kto inny kasuje pieniądze. W sympatycznej skądinąd winiarni w Trzeboniu na południu Czech przez pół godziny usiłowałem zapłacić rachunek. Dopiero po kolejnej, tym razem głośnej interwencji zjawił się *pan vrchni*. Siedzący naprzeciwko chłopak skorzystał z „okazji" i przezornie zapłacił z góry.

Kiedyś przyglądałem się, jak dziewczyna w domu towarowym „Kotva" w centrum Pragi wyładowywała z kontenera jogurt. Szła z pudłem wzdłuż regału i ustawiała kubeczki w ozdobny rządek: jeden na stojąco, drugi na leżąco. Co rusz ktoś bezczelnie „dziurawił" jej dzieło, zdejmując z regału kolejny kubek. Dziewczyna cofała się więc i wypełniała lukę. Trwało to długo, nim kontener się wreszcie opróżnił.

Dwieście metrów dalej, w wielkiej hali Banku Rzemieślniczego (*Živnostenska banka*) przy ulicy Na Przikopie stoją zazwyczaj trzy kilkuosobowe kolejki. Każdą z nich obsługują dwa, trzy okienka. Przeciętna operacja trwa pięć do dziesięciu minut, potem dostaje się numerek i trzeba czekać jeszcze jakiś czas na wywołanie do kasy. Z reguły wystarcza więc pół godziny, by wpłacić pieniądze na konto. Wypłata może trwać stosownie dłużej, jeśli się okaże, że w kasie brak gotówki i po banknoty trzeba pójść do skarbca.

2.

Niskie, mniej niż czteroprocentowe bezrobocie (w stolicy 0,3 procenta!) zdecydowanie odróżnia czeską gospodarkę od całego postkomunistycznego otoczenia, włącznie z byłą NRD.

Niemalże jednocyfrowa (w skali roku) stopa inflacji, to kolejny wyróżnik. Polacy i Węgrzy będą musieli powalczyć jeszcze kilka lat, by osiągnąć taki wynik. Nadwyżka budżetowa jest ewenementem nie tylko środkowoeuropejskim. Dodatni bilans płatniczy, to dalszy powód do chwały. Niskie zadłużenie państwa — następny. W pierwszym kwartale 1994 roku udało się powstrzymać spadek produkcji przemysłowej, a produkt krajowy brutto po raz pierwszy po obaleniu komunizmu zaczął rosnąć (w porównaniu z bardzo kiepskimi pierwszymi miesiącami po rozpadzie Czechosłowacji).

Wyjątkowym na środkowoeuropejskim obszarze wskaźnikom makroekonomicznym (poza ostatnimi dwoma, ale akurat te dwa premier Klaus uważa za „prawie nieistotne przy ocenie przebiegu reform") towarzyszy nie mniej wyjątkowy klimat społeczny. Związkowcy są dumni, że zorganizowali w kwietniu kilkudziesięciotysięczną demonstrację w Pradze, ale w każdej nieomal rozmowie zastrzegają się (poza kolejarzami), iż nie będą uciekać się do strajków. Gdyby dziś zrobić wybory, to — według badań opinii publicznej — nowy parlament nie różniłby się praktycznie od obecnego.

Nic więc dziwnego, że Zachód mówi dziś o czeskim cudzie gospodarczym. Przed dwudziestu laty mówił o polskim. Z sympatii do Czechów życzę im, by tym razem skończyło się inaczej.

3.

Porównanie Klausa z Gierkiem ma wszelkie cechy obrazoburstwa. Czy jednak rzeczywiście jest to aż tak absurdalne?

Przypomnijmy sobie: Gierek pożyczał pieniądze, by zbudować „drugą Polskę". I zbudował. Zaprosił do Polski Fiata i Berlieta, postawił Hutę Katowice i Port Północny. Jego rachunek był genialnie prosty: Bielsko wyprodukuje tyle „maluchów", że wystarczy dla wszystkich chętnych w kraju, a nadwyżką spłaci się koszty inwestycji i jeszcze trochę z tych towarów, które zapełniły półki sklepowe. To samo wszędzie indziej. Gierek zbudował względny dobrobyt na dolarowy kredyt. Problemy zaczęły się, gdy przyszło spłacać długi. Rachunek po prostu nie wyszedł. Peerelowskie produkty nie były konkurencyjne na zachodnich rynkach, a mnóstwo nie dokończonych inwestycji nie zaczęło w ogóle produkować. Co potem nastąpiło, nie trzeba nikomu przypominać.

Klaus nie buduje dobrobytu na kredyt. Podobieństwo polega na czym innym.

Reforma Klausa określana jest mianem terapii szokowej, podobnie jak nieco wcześniejsza reforma Balcerowicza. Z tym tylko, że w wypadku Klausa jest to szok pod specjalnym nadzorem. I to pod wieloma względami. Najważniejszą jednak przesłanką jest, że negatywne skutki przemian mają zostać zniwelowane przez efekty pozytywne. Geniusz Klausa polega na tym, że mu się to już kolejny rok z rzędu udaje i wypada tylko życzyć, by szło tak dalej. Niezależnie od tego, jak bardzo aroganckim i niesympatycznym może się ten polityk wydawać. Nie można jednak wykluczyć, że i ten rachunek nie wyjdzie — jak przed laty Gierkowi. Na szczęście Republika Czeska — w odróżnieniu od Peerelu — jest państwem demokratycznym.

4.

Profesor Kazimierz Łaski, dyrektor Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych, należy do tych ekonomistów, którzy są przeciwni leczeniu gospodarki szokiem. „To nieprawda" — twierdzi — „że terapia Balcerowicza była jedynym możliwym wariantem dla Polski po 'reformie' cen Rakowskiego, która uwolniła hiperinflacyjną lawinę. Tym bardziej w Czechosłowacji żaden szok nie był potrzebny, skoro warunki wyjściowe — sytuacja czechosłowackiej gospodarki w momencie upadku komunizmu — były nieporównanie lepsze niż w Polsce".

Tymczasem Klaus — wówczas federalny minister finansów — zafundował Czechom i Słowakom autentyczny szok, jakiego nie przeżyli nigdy wcześniej. Nieomal sześćdziesięcioprocentowa inflacja w 1991 roku — jako skutek liberalizacji cen — była zjawiskiem bez precedensu w ponad siedemdziesięcioletniej historii państwa. Nawet wtedy, gdy u wszystkich sąsiadów szalała hiperinflacja — po I wojnie światowej, młode czechosłowackie państwo przeżywało doświadczenie jedyne w swoim rodzaju: szok deflacyjny.

Stosunkowo łagodnie przeszła Republika Czechosłowacka kryzys lat 1927-33, z wyjątkiem przemysłowych obszarów czeskiego pogranicza. Fakt, że czescy politycy w Pradze nie uczynili wówczas zbyt wiele, by ulżyć żyjącym na pograniczu Niemcom sudeckim, miał katastrofalne dla kraju skutki: zwycięstwo nazistowskiej partii Henleina, która wystąpiła z hasłem *Heim ins Reich* i w 1938 roku je zrealizowała.

Okres okupacji był wprawdzie czasem gospodarki wojennej, sytuacja w Czechach była jednak nieporównanie lepsza niż na przykład na ziemiach polskich. Nie bez powodu, wszakże jak Protektorat, tak Państwo Słowackie było gospodarczym zapleczem III Rzeszy. Działania wojenne właściwie ominęły Czechosłowację, tak więc również po II wojnie światowej Czechom i Słowakom wiodło się lepiej, niż sąsiadom.

O komunistach, którzy przejęli władzę w lutym '48 roku, można powiedzieć wiele złego, ale nie można im zarzucić, że dokonali szczególnego wysiłku w celu zrujnowania gospodarki — jak ich polscy towarzysze. Znikoma, niemal zerowa inflacja; minimalne zadłużenie za granicą, relatywnie dobrze zaopatrzony rynek i względny (jak na komunistyczne warunki) dobrobyt — to spuścizna, na której ówczesny federalny minister finansów Czechosłowacji, a dzisiejszy premier Czech mógł budować przyszłość.

Problemem był (i jest) przede wszystkim czeski przemysł (jeszcze większym przemysł słowacki), niby najlepiej w byłym bloku rozwinięty, ale strasznie przestarzały i funkcjonujący dokładnie tak samo jak polski czy enerdowski. Transformacja rolnictwa, prawie w stu procentach uspołecznionego bądź upaństwowionego, „to nie żart" — jak pisał przed dwoma laty jeden z praskich dzienników, ale czeskie rolnictwo zatrudnia zaledwie 8 procent czynnych zawodowo ludzi — czyli niewiele więcej niż powinno. Będzie trudna, ale nie tak trudna, jak przebudowa rolnictwa w Polsce.

5.

Klaus rzeczywiście nie musiał leczyć szokiem. Dlaczego jednak wybrał ten sposób? Odpowiedź wydaje się jasna: gwałtowne zmiany groziły wprawdzie nieprzyjemnymi skutkami, ale obiecywały szybkie efekty. Co więcej, towarzyszyła im euforia rewolucji i gotowość do poświęceń w imię lepszej przyszłości. W odróżnieniu od Balcerowicza Klaus nie czekał jednak, kiedy społeczna cierpliwość się wyczerpie, choć mógł liczyć — znając swych rodaków — że do drastycznych form protestu zbyt szybko się nie uciekną. Przede wszystkim więc stworzył sobie polityczne zaplecze, gdy wraz z grupą podobnie myślących ludzi oderwał się od wielonurtowego Forum Obywatelskiego i stworzył Obywatelską Partię Demokratyczną, która niebawem opanowała trzecią część sceny politycznej.

Jednocześnie jednak starannie unikał takich kroków, które byłyby wprawdzie logiczne z punktu widzenia głoszonego liberalizmu, ale które niosłyby za sobą ryzyko zbyt wielkich wstrząsów. I tak na przykład ustawa o upadłości przedsiębiorstw, uchwalona jeszcze przez czechosłowackie Zgromadzenie Federalne, blokowana była przez rok i weszła w życie dopiero w połowie 1993 roku — wtedy, gdy rząd był przekonany, że nie spowoduje ona fali bankructw.

Dlaczego? Bo dziś, gdy firmy te zostały sprywatyzowane metodą kuponową, ich głównymi właścicielami — za pośrednictwem funduszy inwestycyjnych — stały się często te banki, które wcześniej udzielały im znacznych kredytów. Bankructwa przedsiębiorstw mogłyby więc pociągnąć za sobą upadłość banków — a to one przecież miałyby inicjować owe bankructwa. Nic dziwnego, że nie są zainteresowane w popełnianiu w ten sposób samobójstwa.

Dopiero teraz, w 1994 roku, uwolnione zostały czynsze za najem mieszkań, z zastrzeżeniem jednak, że nie mogą one wzrosnąć w tym roku o więcej niż 50 procent. Paliwa i energia są nadal dotowane; rolnictwo a w szczególności podstawowe artykuły żywnościowe — również. Korona czeska jest wewnętrznie wymienialna, ale nie dla każdego — jedynie dla osób prawnych. W bankach i kantorach dewizy kupować mogą jedynie cudzoziemcy, i tylko wtedy, gdy udowodnią wcześniejszy zakup koron. Tuziemców natomiast nadal obowiązują limity wymiany turystycznej, jak za dawnych czasów, a przetrzymywanie dolarów w skarpecie jest wciąż jeszcze dewizowym przestępstwem: waluty obce każdy obywatel Republiki Czeskiej ma obowiązek złożyć na koncie bankowym w ciągu ośmiu dni od dnia ich otrzymania lub przywiezienia z zagranicy. Złotówka czy forint (a nawet korona słowacka!) to pojęcie nie znane w tutejszych bankach. Dopiero od niedawna jeden z dzienników informuje, jakie są ich kursy w stosunku do dolara (w wypadku słowackiej korony niektóre banki publikują wprawdzie własne kursy, ale to wcale nie znaczy, że można ją tam kupić).

Przykładów można by przytoczyć więcej, wspólnym mianownikiem jest zaś to, od czego przedstawiciele rządu zdecydowanie odcinają się w swych oświadczeniach: aspekt socjalny. Gdy Klaus mówi o „gospodarce rynkowej bez przymiotników", znaczyć to ma przede wszystkim, że nie jest to „społeczna gospodarka rynkowa". A przecież minimalne bezrobocie, niskie czynsze, tani prąd i opał, względnie tania żywność i chyba najtańsze na świecie piwo to cena spokoju społecznego. Trwanie przy nich — często wbrew

„liberalnemu rozsądkowi" — jest najlepszym dowodem, że czeska gospodarka rynkowa jest jak najbardziej „społeczna".

Dewizowe limity i dyskryminacja niewymienialnych walut sąsiadów to już bardzo mało liberalne relikty niechlubnej wprawdzie przeszłości, ale bardzo wygodne przecież jako zabezpieczenie przed niespodziankami, które przynieść mogłoby pełne urynkowienie tej sfery.

6.

Liberalizacja czeskiej gospodarki przebiega zatem według z góry zaplanowanego scenariusza. Gdy jednak zdarzają się nieprzewidziane odchyłki, Klaus nie waha się sięgnąć po środki mniej popularne i znów niekoniecznie liberalne. Skoro więc w ubiegłym roku niebezpiecznie szybko zaczęły rosnąć płace, rząd bez wahania wprowadził ich regulację, swego rodzaju popiwek. Opozycja i związkowcy protestowali, ale bez skutku.

Teraz na linii rząd-związki toczy się kolejny bój: o podwyższenie wieku emerytalnego. I tu ekipa Klausa zdaje się być nieustępliwa, i z pewnością obowiązujące dziś granice pójdą w górę.

Kolejny konflikt dotyczy sfery ubezpieczeń emerytalnych, chorobowych i socjalnych. Związki domagają się wydzielenia jej z budżetu i stworzenia niezależnych od państwa funduszy. Rząd ani myśli jednak o pozbywaniu się kontroli nad tym obszarem, ale bynajmniej nie z przyczyn ideologicznych. Gdyby przynosił deficyt, pewnie byłoby inaczej. W ubiegłym roku jednak składki płacone na te ubezpieczenia przewyższały wypłaty z ich tytułu o 11 miliardów koron. Przy istotnie niższej od tej kwoty budżetowej nadwyżce skreślenie tych wpływów oznaczałoby z pewnością budżetowe problemy i — być może — o nadwyżce, a nawet zrównoważeniu budżetu państwa rząd musiałby zapomnieć. Trudno więc przypuszczać, żeby akurat tutaj Klaus okazał się miękki. Tym bardziej, że — jak wspominałem — zbyt wielkiego buntu związkowców nie musi się obawiać.

7.

Ale to nie wszystko. Taktyka, czy może raczej strategia Klausa, polega przede wszystkim na wciągnięciu jak najszerszych części społeczeństwa do klubu zainteresowanych. Jak? Do rąk dawnych właścicieli lub ich potomków zaczęły wracać

majątki odebrane po „zwycięskim lutym" roku '48. Restytucja zagrabionego przez komunistów mienia była pierwszą realną korzyścią z przemian dla dziesiątek, jeśli nie setek tysięcy ludzi. Co zdolniejszym, bardziej przedsiębiorczym, szansę poprawienia życiowego standardu przyniosła mała prywatyzacja. Na usługowej pustyni, jaką do roku '89 była Czechosłowacja, nie było trudno odnieść mniejszy czy większy sukces.

Ale i na tym nie koniec. Właścicielem kawałka narodowego dotąd majątku stał się nieomal każdy dorosły Czech i Słowak. W stosownym czasie bowiem każdy mógł sobie kupić kuponową książeczkę prywatyzacyjną, a następnie swoje kupony wymienić na akcje prywatyzowanych przedsiębiorstw. Bezpośrednio, bądź poprzez fundusz inwestycyjny, któremu powierzył swoje kupony.

Ich giełdowa wartość przekracza dziś wielokrotnie, niekiedy nawet kilkudziesięciokrotnie, zainwestowany kapitał: tysiąc czechosłowackich wówczas koron, cenę kuponowej książeczki. W czasie, gdy piszę te słowa, toczy się druga runda masowej prywatyzacji.

8.

To, czego Balcerowiczowi i jego następcom nie udało się w Polsce przeforsować, w Czechach (i na Słowacji) jest już faktem, a świat przygląda się z zachwytem eksperymentowi masowej zamiany ludu pracującego miast i wsi w giełdowych kapitalistów. Nawet najzacieklejsi przeciwnicy uchylają przed sukcesem Klausa kapeluszy i co najwyżej nieśmiało mruczą pod nosem, że jeszcze nie wiadomo, jak to się skończy (patrz tekst Kuczyńskiego).

Bo tak naprawdę, to rzeczywiście nie wiadomo. Jak na razie bowiem, zamiana dokonała się na papierze. Państwo przestało być wprawdzie właścicielem zamienionych w spółki akcyjne przedsiębiorstw, ale na tym koniec — poza tym, że codzienne gazety pogrubiały o giełdowe wkładki. Akcjonariusze bowiem nie zaczęli jeszcze być właścicielami, to znaczy nie zaczęli wykonywać swych praw wynikających z tytułu własności. Zanim do tego dojdzie, trochę potrwa. I dopiero wtedy dowiemy się, co warta jest kuponowa prywatyzacja. Czy nowi właściciele będą potrafili przekształcić dinozaury ery komunizmu w zdolne do życia w warunkach kapitalistycznej konkurencji firmy? I jakim kosztem społecznym?

Bo nie ulega wątpliwości, i co do tego pewnie czeski

premier nie ma złudzeń, że w momencie, gdy wreszcie zacznie się restrukturalizować sprywatyzowany właśnie przemysł, pojawią się efekty negatywne. Tak naprawdę, występują one już od samego nieomal początku czechosłowackich przemian. Tyle tylko, że Czesi mają trochę więcej szczęścia od swych sąsiadów.

9.

Owo szczęście, to przede wszystkim wspomniany już fakt, że Czechosłowacja rozstała się z komunizmem w wyjątkowo dobrej (w skali całego obozu) kondycji: niezadłużona, z względnie stabilnym pieniądzem i nie wstrząsanym brakami rynkiem. „To przecież żaden sukces, że Czesi nie mają inflacji, skoro nigdy przedtem jej nie mieli" — powiedział mi kiedyś cytowany już profesor Łaski z Wiednia, dorzucając oczywiście, że i inflacyjny szok roku '91 wcale nie był potrzebny.

Ale czeskie szczęście to także inna struktura przemysłu niż w pozostałych krajach dawnego bloku, inna również niż na Słowacji. To w końcu także bezpośrednie sąsiedztwo kapitalistycznego Zachodu: Niemiec (dokładniej: Bawarii) i Austrii, które pozwala ludziom z nadgranicznych regionów, którzy utracili pracę, na poszukiwanie zatrudnienia w bliskiej zagranicy. Dla potencjalnych niemieckich i austriackich inwestorów zaś bliskość Czech jest dodatkowym argumentem, by się osiedlić właśnie tam. Dodatkowym — bo decydujące są jednak polityczna i ekonomiczna stabilność kraju, jego duży potencjał gospodarczy i dobre perspektywy, w końcu tania siła robocza (tańsza niż na Węgrzech, w Słowenii i w Polsce).

O wyjątkowości sytuacji Czech najlepiej świadczy fakt, że recepta Klausa nie była już adekwatna do całej czechosłowackiej gospodarki. Nie potrafiła powstrzymać załamania na Słowacji, a przede wszystkim gwałtownego wzrostu bezrobocia. Tam rozwój przebiegał według standardowego postkomunistycznego wzorca i to między innymi zadecydowało o rozpadzie wspólnego niegdyś państwa. Słowakom zdawało się bowiem (przynajmniej sporej ich części), że Klaus robi reformę jedynie dla Czechów (w Bratysławie mówiło się o „pragocentryzmie").

Być może jest jakieś ziarnko prawdy w tych podejrzeniach, ale raczej bliższa rzeczywistości zdaje się być hipoteza, że polityka była ta sama, ale na Słowacji (podobnie jak w

Polsce i pozostałych państwach byłego obozu) nie działały po prostu te mechanizmy, które tak bardzo dopomogły Czechom.

10.

Morawy, a przede wszystkim żyjący z górnictwa karwińsko-ostrawski Śląsk, to obszar dotkliwie boleśniej przechodzący czas przemian, choć nie tak boleśnie, jak Słowacja, a zwłaszcza jej wschodnie regiony. Karwina i Ostrawa to właśnie przykład obszaru, który nie różni się zbytnio od podobnych regionów w innych krajach postkomunistycznych.

Ale już w Zachodnich Czechach, gdzie również dominuje przemysł wydobywczy, sytuacja jest inna. Ludzie, którzy stracili tam pracę, nie zasilili szeregów bezrobotnych — przynajmniej nie wszyscy z nich. Spora część znalazła bowiem zatrudnienie w pobliskiej zagranicy. Jest ich około stu tysięcy. Dla porównania: 30 czerwca 1994 liczba bezrobotnych w Republice Czeskiej wynosiła 160 098, co oznaczało stopę bezrobocia 3,1 %.

Mówi się o nich *pendlerzy*, bo do pracy w Niemczech dojeżdżają (*pendlują*), żyją zaś w swych domach w Czechach, gdzie też wydają zarobione marki. Inaczej mówiąc: nie tylko nie zwiększają bezrobocia, ale poprawiają bilans płatniczy i rezerwy dewizowe kraju, wydając zaś w kraju zarobione za granicą pieniądze przyczyniają się do utrzymania istniejących miejsc pracy.

Bezrobotni górnicy z Ostrawy nie pojadą jednak za pracą do Polski.

Nieporównanie jednak istotniejszym czynnikiem kompensującym negatywne skutki reform był rozkwit usług, kompletnie niedorozwiniętych w komunistycznej Czechosłowacji. Eksplozja trzeciego sektora i rozwój praktycznie nie istniejącego przedtem sektora prywatnego pozwoliły wchłonąć znakomitą część tych, którzy nie mieli już co robić w firmach państwowych.

Tym niemniej tego typu możliwości są ograniczone. Rozwój działu usług jeszcze się nie skończył, ale siłą rzeczy musiał stracić sporo na dynamice, już choćby dlatego, że ludzie nie mają pieniędzy, by za nie płacić. Do Niemiec czy Austrii za pracą jeździć mogą tylko mieszkańcy regionów przygranicznych, a poza tym i tam w którymś momencie musi nastąpić nasycenie, jeśli już tak się nie stało. Pozostają więc jedynie rozwiązania standardowe: tworzenie nowych miejsc pracy.

11.

I tu bolesną czkawką może się odbić nadmierna centralizacja czeskiego państwa. Ani premier i ministrowie, ani posłowie w parlamencie nie są bowiem powołani do tworzenia miejsc pracy. Oni mogą tworzyć co najwyżej warunki ku temu przychylne. Ale miejsca pracy powstają na tym najniższym szczeblu: w gminie, mieście, dzielnicy. To nie premier i posłowie wiedzą, jakie są tam potrzeby, lecz burmistrz i radni. W miastach i wsiach czeskich jest jeszcze sporo do zrobienia i tam kryją się spore rezerwy — podobnie jak w Polsce, w byłej NRD czy wszędzie indziej w dawnym obozie. Ale miasta i wsie są zazwyczaj zbyt biedne, by móc za to zapłacić. Co robią więc? Pukają do drzwi na wyższych piętrach.

Sęk w tym, że w Czechach te wyższe piętra są już często najwyższe. Istnieją wprawdzie powiaty (*okresy*), ale tylko jako pośredni szczebel administracji rządowej. Samorząd terytorialny powyżej gminy i miasta to od razu jest Parlament Republiki Czeskiej. Województwa (*kraje*) zlikwidowano zaraz po rewolucji i do tej pory nic nie uczyniono w tym kierunku. Dopiero po sporach, które doprowadziły niemal do rozpadu koalicji, rządowi „udało się" w przedostatni dzień czerwca, na dzień przed wyznaczonym przez parlament ostatecznym terminem, znaleźć formułę, która ma być punktem wyjściowym dyskusji poselskiej.

Tego dnia na posiedzeniu rządu ministrowie zagrali w swoistą ruletkę. Reprezentanci czterech partii koalicji obstawili cztery liczby: 8, 10, 12 i 17 „jednostek administracji terytorialnej" (po odrzuceniu tydzień wcześniej pokrywającej się z dawnym podziałem trzynastki). Padło w końcu na siedemnastkę zaproponowaną przez partię premiera. Za tym wariantem głosowało jej dziesięciu ministrów, przeciw pozostałych dziewięciu (stąd cudzysłów w ostatnim zdaniu poprzedniego akapitu). W wieczornym dzienniku telewizyjnym jeden z czołowych polityków partii premiera stwierdził jednak, że najlepszym wariantem byłaby tylko jedna jedyna „jednostka administracji terytorialnej": Republika Czeska.

W ponad cztery lata po obaleniu komunizmu Czechy nie mają więc zdefiniowanego podziału administracyjnego kraju, ale też — co gorsza — regionalnych polityków (z wyjątkiem może kilku przygranicznych obszarów, gdzie ludzie postawili się Klausowi i zaczęli organizować tak nie lubiane przez niego euroregiony). Za ten brak regionalnych

struktur, a przede wszystkim za brak ludzi potrafiących myśleć i działać w skali regionu, może jeszcze przyjdzie zapłacić. Wtedy, gdy pojawią się negatywne skutki reform, których nie będzie można już skompensować ani w pobliskiej zagranicy, ani w trzecim sektorze, ani nigdzie indziej — bo nie będzie nikogo, kto by to umiał zrobić.

12.

Życzę Czechom jak najlepiej, więc nie chciałbym być świadkiem sprawdzania się przepowiedni Kuczyńskiego i moich własnych obaw. Mam jednak spore wątpliwości, czy Klausowi uda się kontrolować szok w jego następnych etapach. Reformy się bowiem skończyły — jak to on sam powiedział — ale gospodarka Czech jeszcze nie osiągnęła stadium porównywalnego ze stabilnymi gospodarkami Zachodu.

Jeżdżę sporo po Czechach i wiem, jak bardzo wyboiste potrafią być tam drogi. Wiem, że wystarczy trochę treningu, by nie wpadać co rusz w liczne dziury. Niekiedy jednak pojawiają się w najmniej oczekiwanych momentach. Zazwyczaj kończy się to bolesnym wstrząsem, ale niekiedy po plecach przechodzą ciarki, że mogło być znacznie gorzej.

Świadomie odwołuję się do tej samochodowej analogii, bo takie porównania lubi premier Klaus. Wygląda na to, że jest dobrym kierowcą. Niepokoi jednak, że kiedy mówi o drodze, to jest to prawie zawsze autostrada. A jeśli w którymś momencie się skończy i dalej trzeba będzie jechać wąską górską serpentyną — co wtedy?

w Pradze i Wiedniu, czerwiec-lipiec 1994

Aureliusz M. PĘDZIWOL

Dyplomacja Henry Kissingera

Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, iż od czasu klasycznej już dziś *Power Politics* Wighta nie napisano jeszcze dzieła, które by w tak dogłębny i staranny sposób poddało analizie rozwój stosunków i reguł gry między mocarstwami świata, od XVII wieku aż do końca „zimnej wojny". Być może nazwa „dyplomacja" jest tu terminem poniekąd niepełnym, gdyż zakres tematyczny ostatniej książki Kissingera[1] wychodzi daleko poza ramy technicznego znaczenia tego słowa. Nie jest też praca Kissingera klasyczną „historią polityczną" omawianych okresów, ani też dalszą z kolei próbą futurystycznego naświetlenia wielkiej polityki światowej w świecie pozimnowojennym, jak by to mógł mylnie sugerować wstępny rozdział książki. Autor nie bawi się tu w proroka, chociaż zapewne przyświeca mu myśl, iż zaprezentowane analizy i konkluzje mogą być użyteczne dla sterników dzisiejszej polityki międzynarodowej.

Historyczno-chronologiczne uporządkowanie rozdziałów ma tylko charakter pomocniczy, gdyż celem książki jest nie historyczna ocena wydarzeń, lecz analiza i naświetlenie czynników kształtujących stosunki między mocarstwami, a więc rozwój myśli strategicznej i polityki międzynarodowej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Przed oczami czytelnika przemykają się więc sylwetki polityków i tych mężów stanu, którzy w swoim czasie nadali zdecydowane piętno takiemu czy innemu ukształtowaniu się sytuacji międzynarodowej danego okresu. Często używane, utarte już dziś terminy jak

1. Henry Kissinger: *Diplomacy*, wyd. Simon & Schuster, New York/ /London/Toronto/Sydney/Tokyo, 1994, str. 912.

„bezpieczeństwo zbiorowe", *Realpolitik* itp. nabywają tu nowego kolorytu, przedstawiane w interesujący sposób w ich pierwotnym, historycznym ujęciu. Już tylko pod tym względem praca Kissingera jest cennym źródłem wiedzy w dziedzinie polityki zagranicznej i dyplomacji.

Punktem wyjściowym, centralnym założeniem pracy Kissingera jest stwierdzenie, iż w nowożytnej historii polityki międzynarodowej w każdym stuleciu wysuwa się mocarstwo, które siłą swej woli politycznej narzuca ukształtowanie danego porządku świata wg własnego systemu wartości. W XVII wieku była to Francja pod rządami Kard. Richelieu, która wprowadziła do nowoczesnej polityki zagranicznej pojęcie „interesu narodowego", w oparciu o „naród-państwo". W przeciągu XVIII wieku Anglia rozwinęła do perfekcji pojęcie „równowagi sił" (*Balance of Power*), które zdominowało politykę i dyplomację europejską przez następne 200 lat. W XIX wieku Austria Metternicha doprowadziła do czasowego utrwalenia równowagi sił w oparciu o „koncert" mocarstw, rozbity później przez Niemcy Bismarcka, wprowadzając do dyplomacji europejskiej najbardziej bezwzględne zasady „polityki siły" (*Power Politics*).

W obecnym XX wieku żaden inny kraj nie wywarł takiego wpływu na stosunki międzynarodowe jak Ameryka. Co więcej, żaden inny kraj nigdy z taką pasją nie usiłował nadać własnemu systemowi wartości politycznych wymiaru wartości uniwersalnych, a więc dobrych dla całego świata. Dochodzi do tego oscylacja polityki USA między dwoma skrajnościami — „izolacjonizmem" oraz przewodniczeniem, wręcz „misjonerską" wizją roli USA w polityce międzynarodowej. Tak czy inaczej, podejście USA do polityki zagranicznej, z tradycyjnym przywiązaniem do demokracji i zasad prawa międzynarodowego, było diametralnie różne od europejskich tradycji *power politics*. Pierwsze poważne starcie tych dwu odrębnych szkół myślenia nastąpiło na konferencji pokojowej w Wersalu w 1919 r. Nie jest też dziełem przypadku, iż przez całą książkę Kissingera przewija się nieustannie próba znalezienia odpowiedniego balansu między amerykańskim „idealizmem" a europejską *power politics* w polityce międzynarodowej.

Dylematy idealizmu politycznego USA

Do końca ub. stulecia w polityce zagranicznej USA wyraźnie przeważała tendencja „izolacji", przerwana dopiero

na skutek rozmachu mocarstwowego USA, oraz załamaniem się tradycyjnej równowagi sił w Europie. Dwie postacie prezydenckie — Th. Roosevelta i W. Wilsona odegrały kluczową rolę w wyjściu USA z izolacji w polityce międzynarodowej. Obaj zgodnie wierzyli w kluczową rolę USA w polityce światowej, lecz różnili się co do sposobu wejścia na arenę międzynarodową. Pierwszy z tej dwójki, Th. Roosevelt, podobnie jak jego poprzednicy i następcy, był przekonany o nadrzędności systemu politycznego USA, lecz nie wierzył iż Ameryka może ukształtować świat na swój obraz tylko przez głoszenie idealistycznych haseł, moralizowaniem. W zdecydowanej, „muskularnej" dyplomacji widział on jedyny sposób dla nowej, globalnej roli USA. W świecie rządzonym siłą, ukształtowany porządek świata może być utrzymany i regulowany tylko przez zachowanie „sfer wpływów", a więc podział świata między czołowe mocarstwa. Pod tym względem Th. Roosevelt zajmuje wyjątkową pozycję w historii politycznej USA, jako jedyny prezydent, który precyzyjnie określił interes narodowy Ameryki z pozycji europejskiej „równowagi sił". Miał on więc bliżej do brytyjskich polityków Palmerstona i Disraeli'ego, niż do Jeffersona. Jednakowoż nie był to Th. Roosevelt, lecz jego następca Woodrow Wilson, który nadał trwały i ostateczny charakter polityce zagranicznej USA, w ramach tradycyjnego „idealizmu politycznego", wyjątkowości i poczucia specjalnej misji dziejowej wobec świata. Wilson zrozumiał, wyjaśnia Kissinger, „iż Ameryka może być zdopingowana do wielkich wyczynów dziejowych tylko w poczuciu własnej wyjątkowości, wielkości, a nie na podstawie chłodnych kalkulacji równowagi sił". Tylko na tle takich, moralnych pobudek udało się Wilsonowi przekonać i wciągnąć Amerykanów do wojny w Europie.

Rozwój i zmierzch europejskiej „power politics"

To, co dziś w potocznym żargonie politycznym nazywamy „polityką siły" (*power politics*) ma, wg Kissingera, swój początek w XVII-wiecznej Europie, po załamaniu się średniowiecznych aspiracji do uniwersalnego porządku, czy też ładu między państwami. Przełomowym punktem w politycznym rozwoju Europy był wybuch i wynik wojny 30-letniej, w której tytularna głowa Św. Cesarstwa Rzymskiego, austriacki cesarz Ferdynand II, próbował siłą podporządkować sobie protestanckie prowincje Niemiec. Kluczową postacią tego okresu, w fascynujący sposób naświetloną przez autora „Dyplomacji", jest ówczesny rządca Francji kardynał Richelieu. Można by powiedzieć, iż był on pierwszym europejskim politykiem z prawdziwego zdarzenia, któremu w słownictwie politycznym zawdzięczamy termin tzw. „racji stanu" (*raison d'Etat*), czyli dobrze rozumianego interesu narodowego. Obawiając się kompletnej dominacji Habsburgów nad Niemcami, doszedł on do wniosku, iż „racja stanu" Francji wymaga udzielenia wsparcia lidze protestanckiej. Naraził się Watykanowi, lecz zdecydowanie postawił interes narodowy Francji przed lojalnością wobec Rzymu. Prawidłowemu myśleniu i dalekowzroczności politycznej Richelieu zawdzięcza Francja swój późniejszy rozmach i pozycję mocarstwową w Europie. Zdaniem Kissingera Richelieu opóźnił w ten sposób zjednoczenie Niemiec o prawie 200 lat[2].

Pojęcie interesu narodowego zastąpiło więc nostalgiczne dążenia do uniwersalnej monarchii, a zapoczątkowane we Francji kryterium „racji stanu" stało się w Europie bazą postępowania poszczególnych państw. Nie dało ono wprawdzie jasnej odpowiedzi na regulowanie stosunków między państwami, lecz stało się zalążkiem polityki w kierunku wytwarzania układów między nimi, w formie koalicji mniejszych państw przeciwko hegemonii jednego mocarstwa, w zależności od danego układu sił. Zapoczątkowany w ten sposób bezwiednie przez Francję system doprowadziła do granic mistrzostwa dyplomacji Anglia, uprawiając konsekwentnie politykę równowagi sił na politycznej mapie Europy. Anglia nie miała wprawdzie w Europie żadnych namacalnych interesów terytorialnych, lecz słusznie uważała hegemonię jednego mocarstwa na kontynencie Europy za zagrożenie swej globalnej pozycji. Polityka zagraniczna Anglii nie była więc nigdy z natury rzeczy ani „antyfrancuska" czy „antyniemiecka", lecz kierowała się tylko i wyłącznie własnym interesem narodowym, którym było utrzymanie możliwej równowagi sił w Europie. Istniały w Anglii różnice co do metod realizacji takiej polityki, lecz nigdy co do jej merytorycznych podstaw.

2. Nasuwa się tu bezwiednie analogiczne porównanie do (niestety) braku prawidłowego myślenia politycznego w Warszawie w niedługim czasie później, kiedy to katolicka Polska przyszła z pomocą katolickiej Austrii. Zabrakło w Polsce polityka na miarę Richelieu, który by przewidział zgubne skutki dla Rzeczypospolitej z tytułu osłabienia Turcji na południowych rubieżach rosnącego w siłę imperium moskiewskiego. Bezmyślne zaangażowanie się po stronie Austrii nie miało żadnego sensu politycznego, chociaż przysporzyło nam sławę oręża polskiego.

Omawiając strategię polityczną Anglii autor czyni wiele interesujących i trafnych porównań do późniejszych, analogicznych dylematów polityki amerykańskiej wobec Europy.

Szczytowym okresem polityki równowagi sił był „koncert mocarstw" po Kongresie Wiedeńskim 1814-15, który zapewnił Europie względnie długi okres pokoju. Czołową rolę odegrały tu zdolności polityczne i dyplomatyczne przedstawiciela Austrii Metternicha, wprowadzając maksymę iż stosunki międzynarodowe w Europie winny być regulowane w oparciu o porozumienie i consensus między przywódcami czołowych mocarstw, celem utrzymania ładu i pokoju w Europie. System Metternicha jest tu więc pierwszą próbą w kierunku „bezpieczeństwa zbiorowego" w Europie, w oparciu o istniejący *status quo* między mocarstwami, z aktywnym udziałem Rosji. Był to już jednak okres podupadającego znaczenia Francji a rosnącej potęgi niemieckich Prus, okres gdy pruska *Realpolitik* (polityka zagraniczna oparta na kalkulacji sił) zaczęła coraz wyraźniej zastępować francuskie *raison d'Etat* w polityce europejskiej. *Realpolitik* Bismarcka, oparta na niczym nie skrępowanej, bezwzględnej *power politics*, doprowadziła ostatecznie do zjednoczenia Niemiec, oraz rewolucyjnych zmian w układzie sił w Europie. W odróżnieniu od przeszłości, gdy mocarstwa na peryferiach Europy (Anglia, Francja, Rosja) wywierały presję na centrum, potężne Niemcy w centrum Europy stały się głównym źródłem zagrożenia i przyszłych konfliktów w Europie.

Początek XX wieku jest już okresem kompletnego załamania się tradycyjnego systemu równowagi sił, okresem gdy otwarta konfrontacja stała się normą dyplomacji, doprowadzając ostatecznie do wybuchu I wojny światowej. Po wojnie mapa polityczna Europy zmieniła się nie do poznania, stare imperia znikły, a na ich gruzach powstały w Europie środkowej i wschodniej nowe państwa, w dużej mierze zasługą wilsonowskiej doktryny o samostanowieniu narodów. Trzeba było budować nowy „porządek międzynarodowy", lecz idealizm polityczny USA, a więc próba bezpieczeństwa zbiorowego na zasadach moralności i prawa międzynarodowego, nie został w Europie nigdy zrozumiany ani przyjęty. Spowodowało to wycofanie się Ameryki z Europy oraz powrót do równowagi sił w polityce europejskiej, z wiadomymi konsekwencjami. W ocenie Kissingera fiasko traktatu wersalskiego miało przede wszystkim podłoże strukturalne; zabrakło mu trzech elementów, które zapewniły Europie względny pokój po Kongresie Wiedeńskim, a mianowicie: przychylne potraktowanie pokonanego przeciwnika, zachowanie zasadniczej równowagi sił, oraz poczucie wspólnego dziedzictwa politycznego czołowych mocarstw. Wersal nie spełniał żadnego z tych warunków, głównie w odniesieniu do Niemiec, a więc był od samego początku skazany na niepowodzenie. Brak jasnej strategii i wizji politycznej ze strony Anglii i Francji w latach 1920-tych spowodował, iż decydujący ton dyplomacji europejskiej tego okresu nadał nie polityk wywodzący się ze zwycięskich mocarstw, lecz z pokonanych Niemiec. Był nim minister SZ a późniejszy kanclerz Niemiec Stresemann, którego sylwetce Kissinger poświęca sporo miejsca.

W dalszych rozdziałach książki Kissinger naświetla przyczyny i skutki dojścia do władzy w Niemczech Hitlera, zniszczenia systemu wersalskiego i powojennego układu sił w Europie, poprzez Monachium aż do napadu Hitlera na Polskę w roku 1939. Interesujący jest rozdział o Stalinie, którego przedstawia jako politycznego realistę oraz spadkobiercę brutalnej, bismarckowskiej *Realpolitik*.

Geopolityka „zimnej wojny"

Po II wojnie światowej zwycięskie mocarstwa stanęły znów w obliczu nowego uporządkowania świata. Podobnie jak po I wojnie, Ameryka znów lansowała system bezpieczeństwa opartego na zasadach „wilsonowskiego idealizmu". Roosevelt nie dostrzegł, iż myślenie polityczne Stalina jest zupełnie odmienne, iż nie kieruje się myślą o harmonijnym współżyciu między narodami, lecz zasadami *Realpolitik*. Idealistyczne zaślepienie Roosevelta spowodowało odrzucenie rokowań ze Stalinem jeszcze w czasie działań wojennych, kiedy jeszcze było można prowadzić rozmowy z pozycji siły. Rozumiał to dobrze i nalegał na takie rozmowy Churchill, lecz był bezradny wobec nieustępliwości Roosevelta. Pierwszy raz w historii Anglia stanęła bezsilna wobec utrzymania równowagi sił w Europie wg własnych wyobrażeń i postulatów, w obliczu upadającego znaczenia swej globalnej pozycji mocarstwowej. Nader trafną jest tu ocena Kissingera, iż odroczenie rozmów ze Stalinem odnośnie powojennego uporządkowania Europy było fatalną w skutkach polityką, oraz praźródłem późniejszego konfliktu zimnowojennego. Pod tym względem szczytowe spotkania „trójki" w Jałcie (a nawet już w Teheranie pod koniec roku 1943) nie miały większego znaczenia.

Dopiero po wojnie, po pozbyciu się iluzji odnośnie Stalina, zaczyna się okres bardziej stanowczej polityki wobec Rosji sowieckiej, na zasadzie tzw. polityki „powstrzymywania" (*containment*, autorstwa radcy ambasady amerykańskiej w Moskwie G. Kennana). W praktyce termin ten, wyjaśnia Kissinger, stał się narzędziem polityki równowagi sił, do jakiej Ameryka była zmuszona wbrew swojej woli. Nie przeszkodziło to jednak Trumanowi zaprezentować początek „zimnej wojny" na płaszczyźnie tradycyjnego idealizmu politycznego, jako walkę „dobra ze złem", a nie walkę o strefy wpływów, które były już faktem dokonanym. Doktryna Trumana była więc typowo amerykańskim, moralnym wyzwaniem, stawiając USA w roli głównego obrońcy wolności w świecie. Ten właśnie, moralny aspekt w geopolitycznej rozgrywce USA nie został nigdy zrozumiany i dostatecznie doceniony przez przywódców sowieckich, co ostatecznie okazało się ich zgubą. Nie oznacza to jednak, iż zimnowojenna geopolityka USA była bez problemów. Chroniczna niechęć USA do europejskiej *power politics* była luksusem w okresie izolacji (XIX wiek), lecz zgubną w skutkach polityką w bieżącym stuleciu. Od czasów Theodora Roosevelta Richard Nixon był pierwszym prezydentem, który rozumiał i praktykował zasady *power politics*. Rzecz jednak w tym, iż każda polityka amerykańska, nawet najbardziej pragmatyczna, musi być do zaakceptowania dla idealistycznie nastawionego elektoratu. Jest to odwieczny dylemat polityki amerykańskiej, przewijający się przez całą pracę Kissingera, a na który trudno dać jednoznaczną odpowiedź. Swoiste pomieszanie idealizmu z zasadami *power politics* było też główną przyczyną okazyjnych potknięć i błędów w zimnowojennej polityce USA (uwikłanie się w Wietnamie, polityka *détente*, w latach 70-tych itd.). W sumie jednak przeważał element dobrze rozumianej polityki siły, co ostatecznie zaważyło na wygraniu przez Amerykę zimnej wojny z Sowietami.

●

Po zakończeniu „zimnej wojny", już po raz trzeci w bieżącym stuleciu świat staje ponownie przed nowym uporządkowaniem stosunków między narodami, przed kolejnym aktem „metternichowskiego" zabezpieczenia ładu i pokoju. Stwarza to ponownie wyzwanie dla Ameryki, czy i w jaki sposób zdoła narzucić światu system własnych ideałów i wartości, co byłoby idealnym gwarantem trwałego bezpieczeństwa.

Jednakowoż w dzisiejszym, coraz bardziej spolaryzowanym świecie, taki scenariusz graniczy z utopią.

Praca Kissingera spotkała się już z zarzutem (*Foreign Affairs*, May/June 1994, art. „The World according to Henry"), iż zaleca *power politics* (pod eufemistyczną osłoną terminu „geopolityka") jako jedyną, skuteczną metodę w dyplomacji i polityce zagranicznej, dobrą również na dzisiaj. Jest to, wydaje mi się, ocena zbyt pochopna i uproszczona. Jest prawdą, iż autor „Dyplomacji" wysoko ocenia realizm w polityce (którego był zresztą aktywnym wykonawcą), lecz robi to na tle obiektywnej analizy wszystkich kierunków i prądów nowożytnej dyplomacji i polityce międzynarodowej. Jest zadziwiające, do jakiego stopnia historia stosunków międzynarodowych lubi toczyć się w kółko. Ewidentne unaocznienie i przypomnienie tej prostej prawdy — właśnie w dzisiejszym świecie, pełnym nowych niepewności — zdaje się być jednym z największych walorów pracy Kissingera.

Janusz MONDRY

KSIĄŻKI POLSKIE

NOWE I DAWNE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI:

4, rue Frederic Sauton, 75005 Paris

Tel./Fax (1) 40-51-76-40

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

●

KATALOGI NA ŻYCZENIE

Zimna Elka

Od rana się zaczęło, jak tylko wstałem, niewyspany. Elki nie było — gdzieś poszła, wiocha uboga. Polazła. Nosi ją po świecie, ale mnie tam wszystko równo: jest, to dobrze, pójdzie gdzieś — lepiej. Tylko to pragnienie najgorsze, jak człowieka zacznie ssać — nie popuści. Połaziłem chwilę po mieszkaniu, w kiblu byłem, potem chleba pojadłem ze smalcem — pół kostki jeszcze zostało, solą posypałem. Nawet mi smakowało — popiłem wodą.

Około dziesiątej opuściłem mieszkanie. Z zamknięciem, jak zawsze kłopot, odkąd drzwi uszkodziłem po pijaku — kozłowy wróciłem, pamiętam, Elka wtedy mnie wkurzyła, nerwy mam słabe: „otwórz" mówię, a ona: „idź się prześpij do Zenka". Ja: „otwórz!". Ona: „Idź się prześpij do Zenka". I tak powtarzaliśmy w kółko, aż w końcu taką rurkę jedną ze śmietnika wziąłem i tą rurką o drzwi, o drzwi! Huk, pamiętam, ludzie wyglądali, nawet milicją mnie postraszył jeden łysy z pierwszego piętra — ja nic, kurna molek, łomotałem, aż zawiasy poszły i zamek a wtedy z tynkiem razem, w takim kurzu, z hukiem do korytarza wpadłem. Elka podniosła krzyk a ja ją wtedy za kudły i o ścianę! A potem łomot, łomot! Ale drzwi od tej pory się rozchwierutały na amen, zamek źle trzyma — no nic, trudno. Zawsze po pijaku jestem zły, byle co mnie może wkurzyć, jak wtedy Elka — niby nie jest zła, boi się tylko wszystkiego, jak dzieciak.

Na dole słońce, to chyba w maju było — niedziela, pogoda nie najgorsza, ale mnie ciągle ssało i tylko czekałem, żeby kogo spotkać. Patrzę, Bąbel idzie —ten skubany mikrus, nie lubię go, bo fałszywy taki, ale jak podszedł spytałem: „masz coś?"

— Co niby? — on na to — od razu mnie zdenerwował, jakby nie wiedział, gnój, o co chodzi.

— Nie wiesz, nie wiesz? — mówię — parę groszy, jasne.

On na to, że od piątku chodzi bez złotówki w kieszeni — starzy mu nic nie dają, podobno, przestał wracać na noc, śpi u ciotki, co ma budę na bazarze na Banacha, ale ciotka też nic nie daje i jeszcze dalej mi tak nawijał, cwel jechany. — No dobra, dobra — mówię. — Idź zawołaj któregoś z chłopaków.

Usiadłem na ławce pod kasztanem i tak mnie ssie, ssie a ten mikrus polazł gdzieś, niby szukać. — Pójdź po Zenka — zawołałem za nim, pamiętam, ale czy posłyszał — nie wiem.

Parę minut minęło — jednego papierosa wypaliłem, co mi został z całego majątku od wczoraj, na ludzi, jak szli, patrzyłem, ale wszystko — i gałęzie nad głową, niebo wyżej, co kto szedł — widziałem jakby za firanką taką, jak kiedyś, póki starzy żyli, w pokoju wisiała i czasem przez nią wyglądałem na świat. Do twarzy tak przylegała, jak siatka.

Patrzę: idzie Zenek z takim jednym, który tu często ostatnio zagląda — Rudy go nazywamy, albo Szkot, bo czerwony taki, bez zębów, jechany, kiedy go spytałem, gdzie pogubił, zaczął się śmiać: „Pani stomatolog mi usunęła, co nie?" — tak powiedział. Też go nie za bardzo lubię. Tylko Zenka, tylko Zenka — my od dziecka razem tutaj, do powszechniaka jeszcze chodziliśmy, póki nie wyrzucili za chuligaństwo, najpierw jego, potem mnie, z szóstej chyba, może piątej? Pani dyrektor, taka skubana blacha jedna, przyszła do klasy, pamiętam — „wstań, kolego" — mówi — „weź zeszyty i pójdziesz ze mną". „Już tu nie ma dla ciebie miejsca".

Wtedy milicja po mnie przyszła, zarzucili włamania — Zenek chyba pierwszy kiblował, mnie też do poprawczaka wsadzili. No nic, kilka sznytów zostało, wspomnienia, wspomnienia, człowiek był młody, głupi, dał się złapać.

— Cześć, cześć — mówią Zenek z Rudym, usiedli koło mnie. — No jak? — pyta Zenek. — Masz coś?

— Ja? — mówię. — Ja? Goły jestem od tygodnia. Nic. Na chleb nawet nie mam. Jeszcze ta pinda gdzieś poszła, nie ma jej od dwóch dni. — I tak dalej nawijam Zenkowi o Elce, ale on, widzę, nie słucha, też tak patrzy na mnie, jak przez firanę — ssie go tak samo. I Rudego ssie, bo markotny jakby, popluwa tylko na boki, nie mówi nic. Zamilkłem w końcu i tak we trzech siedzieliśmy pod tym kaszta-

nem, póki Bąbel nie wrócił, mikrus. — No co — mówię — co tak długo?

— Nie było Zenka — powiedział głupol — przecież widzi, że Zenek siedzi koło mnie, więc mówię: — Co ty, co ty, oczu nie masz? — a tamci tylko zaśmieli się krótko. Bąbel już nic nie powiedział, usiadł przy nas.

Czekamy na coś, czekamy — ja wiem na co? — że ktoś się nawinie może? Wnerwiony ciągle byłem, coraz bardziej — mgła w oczach, to pragnienie, ludzie przechodzili obok chodnikiem, tylko bardziej mnie złościli — zadowoleni tacy, jechani.

Aż w końcu patrzymy, idzie ten stary kuternoga z parteru — czasem do nas się przysiada, nawet flaszkę wyniesie, Zenek proponował, żeby go oskubać kiedy, ale to golec, golec przecież — emeryt, co może mieć?

— Dzień dobry, dzień dobry, panowie — mówi — można się przysiąść?

— Czego nie, czego nie? — Zenek mruga do mnie. Robimy miejsce, ten stary ze sztywną nogą siada — nogę tak układa przed sobą, jakby drewniana była, bez czucia, szwedkę postawił obok — i on taki zadowolony wygląda, nie wiadomo dlaczego.

— Panie Piotrowski — zagaduje Zenek — panu tę nogę na wojnie przetrącili, czy jak?

— Żebyś wiedział, synu — mówi Piotrowski — okupant niemiecki mnie uszkodził. Jechałem na wieś, po mięso. Co czwartek, pamiętam, do takich chłopów jednych, Lewandowscy się nazywali, pod Górę Kalwarię jeździłem. Kolejka tam wtedy chodziła z Dworca Południowego. I naraz Niemcy zrobili łapankę. Ja chciałem uciekać w pole, nie? A oni zaczęli strzelać i tak w kolanom oberwał, w rzepkę, znaczy. Dobrze, że w polu zostawili, nie szurnęli do jakiej Treblinki czy Oświęcimia nie wysłali na przykład, a co pan myśli, panie Zenku, wtedy tak było: dziś żyjesz, jutro idziesz do piachu!

„Do piachu, do piachu!" powtórzył.

Siedzimy, gadamy o tej nodze, o chłopach spod Góry Kalwarii, Lewandowskich i o tym, jak było za Niemca. — Raz człowiek na wozie, raz pod wozem — mówi kuternoga i kiwa, zamyślony, głową, a wtedy Zenek spytał nagle: — Panie Piotrowski, taka sprawa, kilka groszy nam trzeba, pożyczysz pan?

Kuternoga spoważniał od razu. — Ile, ile na przykład? — pyta po chwili.

— Na jedną flaszkę. Pięćset, co nie?

— Ho, ho, ho! — wzdycha Piotrowski. To skąd ja niby wezmę tyle? Co najwyżej stówę. Stówę mogę dać, panie Zenku. Więcej to nie mam. — I sięga do kieszeni w spodniach.

Patrzymy, portfel ma taki wytarty po brzegach — jakieś legitymacje w przegródkach a w jednej poskładane stówy — trzy, może cztery najwyżej? Popluł na palce, jechany i tę jedną, jedyną Zenkowi wręczył.

— Dwie, panie Piotrowski, jak Boga kocham! — woła Zenek. — Dołóż pan jeszcze jedną! No, dołóż pan, dołóż! — I rękę po drugą wystawia.

Ociągał się stary, chował portfel, wyjmował znów, kręcił głową. A Zenek czekał z wyciągniętą ręką, póki nie dostał drugiej stówy. — W porządku, szufla, panie Piotrowski!

Wstaliśmy zaraz z ławki, szufla-szufla. — To do, panie Piotrowski! — Idziemy. Do baru na Wery Kostrzewy poszliśmy, pamiętam — tego na rogu Banacha.

— Na razie browar się kupi, a potem się zobaczy, tak? — Zenuś zacierał ręce.

— Żywiec po siedemdziesiąt — mówię. — Nawet na trzy nie starczy.

— Jak to po „siedemdziesiąt"? — odzywa się Bąbel (lezie za nami skubany). — Jeszcze w zeszłym tygodniu płaciłem po sześćdziesiąt plus zastaw.

— Kurna — zdenerwowałem się — mówię siedemdziesiąt, to siedemdziesiąt! Wczoraj piłem, gnoju! Co będziesz biadolił!

— Nie kłóćcie się, nie kłóćcie — mówi Zenek. — Jak po siedemdziesiąt, to ta Zocha dychę opuści.

— Ona, ona? — pytam. — Kiedy ci opuściła, jechana, kiedy, kiedy? Każdy grosz liczy!

Rozmawiamy tak, kłócimy się trochę, aż tam przyszliśmy do tego baru „Pod wariatem", jak mówiliśmy, czy „U Zochy". Na szczęście Zochy nie było, tylko inna, taka blondyna stała przy bufecie. W środku konsumentów od groma, ale my do pierwszej sali, od ulicy — zostaliśmy i Zenek od razu do tej zmienniczki zagaił: — Złotko, trzy browarki podaj, kochana! Szybciutko!

— Płacić, płacić, rebiatka! — mówi ona, tak z ruska niby żartując — pieniążki mata?

— Po ile teraz Żywiec? — pyta Zenek poważniejąc, jak ten Piotrowski niedawno, a ona: Siedem dych, kochany.

Widzisz, widzisz, gnoju! — odwracam się do Bąbla, ale

on, cwany, udaje, że nie pamięta: — Może być, może być. Gdzie indziej sześć dych płaciłem, jak Boga jedynego kocham!

— Co ty tam wiesz, gnoju! — powiedziałem i zamierzyłem się łokciem, że niby chcę go uderzyć, a ta zmienniczka mówi: — Tylko spokój, rebiatka, spokój! To ile buteleczek podać?

— Złotko — nawija Zenek — taka sprawa: do trzech brakuje dychy, pójdzie na krechę? Pójdzie? Jutro zapłacim, zgoda?

Zmienniczka się zaśmiała — lepsza blondyna, lepsza — i zaraz trzy kapsle spadają, ona te butelki do nas popycha, blacha była mokra, pamiętam i tak po bufecie pojechały, przyfrunęły do nas trzy browarki. Od razu do ust podniosłem zimne-jasne, jakbym na sto koni wskoczył, zabulgotało, wlałem do gardła wszystko. Poszłooo. Zenek tak samo szybko, tylko Rudy powoli pije, flegmatyk jeden, a Bąbel patrzył na nas, ślinę przełykał. Nic nie dostał.

Potem do sali obok idziemy — tam szum, jak zawsze, dymu pełno, konsumenty piją, patrzymy a jeden taki do nas kiwa: —Chono, chono! — woła Zenka.

— Znasz go? Znasz go? — pytam.

— Ja wiem — mówi Zenek. — Może?

Tamten, kozłowy, marynarkę na krzesełku powiesił, sam w koszuli siedzi, rozwalony, krawat przekrzywiony, na krześle obok teczka stoi — kiwa na Zenka, jakby się znali dobrze: — Chono, chono! Pozwól, kochany! — woła. Nawet z krzesła chciał wstawać, ale zaraz opadł z powrotem, taki nabuzowany.

Idź — mówię — idź, co ci zależy?

Zenek poszedł w końcu, chwilę rozmawiali, tamten wstał, żeby objąć Zenka — na szyję rękę zarzucił, coś mu szeptał do ucha. Zenuś na nas kiwnął w końcu, więc z Rudym podchodzimy a wtedy ten w koszuli ręce rozkłada: — Koledzy, chłopaki, siadajcie! — Taki uprzejmiutki, menda pijana.

Co za jeden? — pytam Zenka na boku.

Co cię obchodzi? — śmieje się. — Jeleń, jeleń, ale flaszkę postawi.

Tak było. Ten w koszuli zaraz kelnerkę przywołał: — Pani Krysiu, jeszcze jedno żytko proszę oraz śledziki i chlebuś!

Taki uprzejmiutki. Oczki mu błyszczały i ślinił się, skubany, pamiętam. Kiwał się nad stołem, ręce mu latały — czasem dygotu dostawał. Galareta.

— Ty, jaki numer — szepnął mi Zenek na ucho — nie znam frajera na pewno, ale on do mnie „Czesiu" zagaił, więc teraz Czesław jestem, pamiętaj! No czego tu, czego, czego? — na Bąbla huknął nagle, bo tego gnoja za nami nosi. — Idź! — mówi Zenek — spadaj!

Won! — dodałem od siebie i łokciem na niego, łokciem. — Do cioci wracaj, gnoju!

— Jakiej cioci? — zaśmiał się Zenek. Humory nam się poprawiły, gdy tylko ten jeleń z flaszką wyskoczył.

Siedzimy, czekamy — Bąbel, markotny, poszedł sobie — a ten w koszuli zaczął nawijać: coś o żonie gadał, o robocie, że dyrektorem został i ludzie go szanują.

— Dyrektorem jestem! — wołał do nas. — Gość na poziomie jestem! — powtarzał.

Wypiliśmy po kielichu, kiedy kelnerka rozlała, a potem jak tamten zaczął nalewać, Zenek mu flaszkę zabrał, sam podzielił, bo skubanemu na nowo ręce zaczęły latać — dygotu dostał.

I znów wszystko jak za firaną zobaczyłem: jelenia w koszuli, Zenka, Szkota. Sufit nad głową zafalował i popłynąłem dalej, pożeglowałem na tej fali — już do końca. Do końca.

Temu frajerowi Zenek portfel z marynary — zza parkanu znaczy — wyjął. On już leciał na stół, Zenuś miał łatwą sprawę — niby do mnie się przechylił, „przepraszam kochany" zamamrotał za plecami i już: szast-prast, gładziutko poszło. Wstajemy zaraz — „cześć dyrektorze" mówię a on tylko ręce rozłożył.

— Kochani ludzie, zaczekajta! — wołał za nami.

My do drzwi. Zenek pozdrowił zmienniczkę Zochy, wdzięczny za tamto — wyszliśmy na Banacha. Patrzymy: Bąbel biegnie, skubany — czekał na ławce.

— Czego tu, czego, czego? — wołam, kiedy podszedł bliżej, bo Zenek już sprawdzał, ile trafił?

— Zostaw go — mówi do mnie. — Niech idzie, niech zna pana! Starczy dla wszystkich.

— Ile? — spytałem. — Ile? — ale nie chciał powiedzieć. No nic, jego sprawa, jego działka. Ten frajer jego przywołał — nie mnie, nie Szkota, nie Bąbla.

Poszliśmy do „Kaskady". I zaraz: stolik pod oknem, jak paniska bierzemy a potem Zenuś — po sto, po sto, po sto! I jeszcze zakąski różne zamawiał: karpia w galarecie, rybę po grecku, śledzie, pieczywko, masełko. Tamto-siamto, to-śmo.

O dwudziestej drugiej mówi: „Koniec panowie, pusta kasa". I jeszcze powiedział: „Jezu, ledwo człowiek zacznie żyć, już musi kończyć, co nie?".

— Ty, znam tu jednego gościa — przypomniałem sobie — może od niego parę groszy urwiem, albo i sam co postawi?

Gadu-gadu — poszliśmy z „Kaskady" do znajomka. Lipiec Marian się nazywał. Jeszcze jak starzy żyli, przychodził do ojca czasem, choć młodszy był znacznie — z roboty się znali, na Barskiej, niedaleko, zamieszkiwał. Pukamy — nic, cisza, ale drzwi do mieszkania otwarte, więc weszliśmy z Zenkiem a on, ten Lipiec Marian, leży na tapczanie, jak śnięty. Patrzymy: podłoga szczynami zalana, butelki po kątach leżą, telewizor zrzucił ze stolika pod oknem — rozbity kineskop, serweta krwią powalana, ziemia z doniczek rozrzucona wszędzie i ten smród, ten smród — jak w kiblu.

— Jezu! — powiedziałem, jak Zenek w „Kaskadzie" — Jezu! Ten pożeglował, ja cię kręcę! Panie Lipiec, panie Lipiec! — zawołałem i wziąłem go za rękę, ale on tylko „ble-ble-ble". Nic. Jak śnięty.

Zenuś już po kawalerce się rozglądał — myszkował, skubany, patrzył. Powiedziałem: „daj spokój, daj spokój". I wyszliśmy od tego Mariana Lipca na Barską.

Rudy z Bąblem czekali na dole. Ciemno, nocka przyszła tak nagle.

Poszliśmy jeszcze na metę — też na Banacha. Może na Wery Kostrzewy? Tam od jednej Zenek flaszkę wytargował — na krechę, znaczy. Wypiliśmy w bramie i znów na ulicę. Idziemy pod murem, idziemy, a nad nami gwiazdy płyną, jak ryby czy ptaki.

I zacząłem myśleć o Elce — tak z tej nocy, z tej mgły w głowie, od gwiazd nad głową, myśl o niej przypłynęła nagle. Przyżeglowała. I wszystko sobie przypomniałem, jak się zapoznaliśmy w kolejce do mięsnego. Stałem koło niej — gadu-gadu, pamiętam. Powiedziała, że do roboty, do służby z wiochy przyjechała i ci jej państwo, mówi, nagle ją zwalniają, bo się rozwodzą w tych dniach — nie ma co robić ze sobą, nie ma dokąd pójść. Wtedy powiedziałem: „może się spotkamy, pani Elu?", „coś się wymyśli, pani Elu", „kiedy?" spytała, a ja: „jutro".

Od pierwszego razu taka chętna była, zgodna: papieroska, to papieroska, browar — to browar, rączka — to rączka. W swetrze zielonym chodziła, pamiętam i pachniała wiochą. Włosy miała miękkie, brązowe, oczy niebieskie. A w końcu, jak ci jej państwo znaczy, kazali zabrać majdan i nie wracać więcej, powiedziałem, że u mnie może zamieszkać — starzy już nie żyli — „póki co, póki nie znajdziem czego", a ona, taka ufna, inna wtedy, jak dzieciak, zgodziła się zaraz. I tak już pięć lat mija, odkąd nieformalny związek tworzymy.

Ludzie z początku pytali: żona, może siostra? A my z Elą śmieliśmy się tylko: co kogo może obchodzić? Nasza sprawa, nasz los.

Ona powoli zaczynała się zmieniać, to fakt, bo ja, znaczy, często na fali byłem — tydzień, dwa i wszystko za tą firaną: cały świat. Już wtedy piła ze mną, nie powiem i łomot dostawała czasem a jak nie było z czego żyć, wyganiałem na ulicę: „idź, Elu" mówiłem, „idź, parę groszy może tego...". Zawsze szła i wracała, szła i wracała i zawsze była ze mną. I kochaliśmy się tak słodko, tak słodko.

Dopiero ostatnio coś się zaczęło zmieniać. Często wychodziła z tą Wiolettą, koleżanką ze szkoły wieczorowej, gdzie się zapoznały, kiedy jeszcze do wieczorówki chodziła. Może tamta na mnie mówiła, buntowała? Pinda taka, bladź jedna — nie lubiłem tej Wioletty, skubanej, goniłem z mieszkania. A może kochanka gdzieś miała? „Elu" — mówiłem czasem, „Elu" — i więzły mi słowa. Nie potrafiłem już do niej przemówić.

W głowie kołuje — idziem, idziem — od muru do krawężnika. Zenek coś śpiewa, klnie. Bąbel został, szcza w bramie, tylko Rudy, jechany, milczy — nie lubię tego milczenia. Z milczenia zawsze nieszczęście.

Idziem, idziem — gwiazdy nad głową, gwiazdy. Jakieś śpiewy pamiętam, szczekały psy. I tak doszliśmy do tych baraków na Szczęśliwickiej, koło działek, daleko. Hotel robotniczy był tam kiedyś a teraz różna hołota mieszka. „Męty", jak mówi Rudy, „męty" — i my tam do jednej takiej zamierzaliśmy wstąpić. „Do Zającowej idziem" — powtarzał Zenek — „do Zającowej". Tak ją zwali — kochanicę Zająca — nazwisko to miała inne: Paciorek czy Koralik.

— Cwana handlara — pomyślałem. I jej nie lubiłem, to fakt.

Zapukaliśmy w okno, pamiętam, a ona zaraz drzwi otworzyła — z dworu tam się wchodziło — patrzę i oczom nie chciałem wierzyć: moja Elka siedzi u tej Zającowej na tapczanie, z dziurą na kocu wypaloną żelazkiem, a obok ćpun śpi — lokator — i tylko kucyk, taki ogon z włosów

widać. I ta Wioletta, koleżanka z wieczorówki, śmieje się przy stole i bracia kolejarze — jeden jąkała: „pro-prosimy up-uprzejmie".

Handlara do nas w drzwiach: Panowie, panowie, nie wszyscy naraz! Ilu was po tę flaszkę przyszło?

— Elka? — mówię i odsuwam babę na bok — Elka?

A ona tylko tak smutno na mnie spojrzała i odwróciła się plecami.

Zostaliśmy. I wypiliśmy jeszcze flaszkę — może dwie? Teraz już nic nie wiem.

Jąkała mówił do brata: — po-polewaj, po-polewaj!

Ktoś przychodził, ktoś wychodził. Trzaskały drzwi. Elka z Wiolettą poszły i długo nie wracały. Leżałem koło ćpuna, potem znów siedziałem przy stole. Ta Zającowa, gruba baba, przekomarzała się z jąkałą: „Panie Zdzisiu, coś pan taki bladziutki?" mówiła, „Panie Zdzisiu, coś pan taki chudziutki, taki chłop-niechłop?" A jąkała kaszlał, sporta popalał w cygarniczce i mrugał na nas. Poszli wkrótce do korytarza obok, za kotarę — po drodze przewrócili krzesło. Łóżko zaskrzypiało.

„Ciszej tam, kurna!" — tak wrzasnąłem nagle, pamiętam. „Ciszej, kurna!" I wstawać chciałem, iść za nimi, ale Zenek za rękaw pociągnął — „zostaw, zostaw" — śmiał się.

Bąbel spał w kącie, Szkot milczał — pił mało. Patrzył na mnie. Wtedy do niego skoczyłem, pamiętam: „No co, no co?" I ręką tak nad stołem zawinąłem, do piór Szkota sięgając — on tylko się uchylił i nic. Bezsilny już byłem — opadłem z powrotem i głową o blat, o blat. Zenek śmiał się.

Elka wróciła w końcu — chodziły chyba do kibla.

— Elu, Elu — powiedziałem wtedy. I wyciągnąłem ręce do niej, jak przez mgłę. A ona położyła się zaraz na tapczanie, z tą dziurą wypaloną żelazkiem, obok ćpuna, co plecami odwrócony leżał — ja do niej podchodzę, tak płynę: — Chodź — mówię — jeszcze się pokochamy, nie? Ale ona, patrzę, zmieniona, zbladła i oczy jej zaczęły wpadać do środka głowy. Tak mi się zdawało. — Chodź, Eluniu — powiedziałem siadając przy niej.

A wtedy ta Wioletta, koleżanka, krzyk podniosła, żebym Elkę zostawił, bo ona po porodzie jest — w kiblu dzieciaka urodziła i krwi dużo straciła!

Ja z początku nie chciałem wierzyć, ale Wioletta się cofnęła i z kąta przyniosła ten tobołek, z gazety zrobiony. Pod nos mi podsuwa: — Tutaj twój dzieciak leży zawinięty, ty skubany jeden! — krzyczy do mnie. — Patrz, patrz, oglądaj! Jak małpiątko czerwone wygląda! Zajrzyj do środka!

Wszystko za mgłą, jak przez firanę. Słyszałem tylko głos Zającowej: „Panie Zdzisiu, panie Zdzisiu" — takie złudzenie. I Zenka i Rudego przy stole. Siedziałem koło Elki i rękami głowę objąłem i chrapanie ćpuna jeszcze słyszałem, głośne — w głowie huczało. Wszystko tak wirowało.

Wioletta paczkę z gazety położyła pod stołem. „Naprawdę?" pomyślałem — „dziecko?" I nagle znów chciałem kochać się z Elką, tak słodko. — Ty — mówię do niej, wziąłem za rękę — chodź się pokochamy!

A ona nic, leży. Wioletta znów do mnie podbiegła: — Skubany — mówi — coś jej zrobił? Zabiłeś ją, zabiłeś! — I zaczęła płakać nagle, ręce przycisnęła do oczu, łzami się zalała, a ja? Co ja? Ja ją zabiłem, ja? Sama tego chciała, szlajać się zaczęła, kochanków miała! Ja najwyżej mówiłem „ty mnie zostaw", kiedy wnerwiony byłem, po pijaku, kozłowy, gdy wracałem nocą.

Położyłem się teraz obok, na tej kanapie z dziurą wypaloną żelazkiem. Oni tam przy stole pili — Zenek, Bąbel, Rudy, kolejarze, ta stara, co gorzałą handluje — ale ja już nie mogłem, już nie mogłem. Nic. I leżałem przy mojej Elce, takiej zimnej, za rękę ją wziąłem — na paznokciach miała jeszcze lakier, takie kawałki czerwone, popękane, reszta odpadła, jej palce były zimne i w ogóle cała Elka zimna była, kiedy ją objąłem, pamiętam, tak mocno.

— Elu, Elu — szeptałem do ucha — Eluniu! — a ona nic, ani słowem się do mnie nie odezwała, ani słówkiem. Więc tylko ściskałem ją i ściskałem mocniej — i taki dygot mnie chwycił, jak w delirce — póki sen nie zmorzył. Sen.

I tak, przy zimnej Elce, przekimałem do rana.

1993/1994

Kazimierz ORŁOŚ

Wiersze

W.H. AUDEN

POGRZEBOWE BLUES
(*Funeral Blues*)

Zegary zatrzymaj, wyłącz telefon w domu,
Psu nie daj szczekać; pianino grać nie ma komu.
Tylko z werblem stłumionym trumnę stąd wynoście,
Kiedy się zejdą — już są — pogrzebowi goście.

Niech krążący samolot jak płaczka zawyje
I nabazgrze na niebie słowa: *On nie żyje.*
Wstążkami z krepy obwiąż białe gołębice,
Gest czarnych rękawiczek wstrzyma ruch ulicy,

On był moją Północą, Wschodem i Zachodem,
Był Południem, dniem pracy, niedzielnym ogrodem,
Księżycem, porą nocy; w nim pieśń i rozmowa.
Myślałem: miłość przetrwa wieki. Złudne słowa.

Po co mi gwiazdy teraz, każdą zgaś z księżycem.
Wyrzuć księżyc, a słońce rozbij na mgławicę,
Wylej ocean, wymieć lasy z drzew, spal zboże,
Bo teraz nic już dobrze skończyć się nie może.

Kwiecień 1936

W.H. AUDEN
przełożył Jerzy Pietrkiewicz

Nota tłumacza

Dobry tekst czasami czeka długo na okazję, żeby dotrzeć do masowej publiczności. Tak się ostatnio stało z utworem Audena, kiedy go wyrecytował aktor w brytyjskim filmie *Four Weddings and a Funeral.* Był to emocjonalny wstrząs dla milionów widzów, znakomicie użyty kontrast, w którym słowo okazało się silniejsze od obrazu.

Szybko wydano mały wybór młodzieńczych wierszy Audena, wśród których znajduje się tekst *Funeral Blues.* Na okładce, oczywiście, figuruje główny aktor filmu, a nie autor.

Johannes BOBROWSKI

LITEWSKIE PIEŚNI

Nocą, zewierzęcooki, jestem
bukietem, drzewem za dnia,
wodą w cieniu południa,
pod słońcem trawą.

Albo pod wieczór
kościołem na górze, gdzie ukochany
wchodzi i wychodzi, biały kapłan,
i śpiewa pieśni.

Lubię go z powodu
świata, muszę być księżycowym
promieniem koło drzwi,
koło domu w mroku świerków.
Kiedyś wleciałem z nim
liściaste ptaki sentencje na koniec
roku, kiedy ich serce,
grad, jest białe.

Johannes BOBROWSKI
Tłumaczył Andrzej Pańta

Jarosław KLEJNOCKI

MIASTO OTWARTE

dla J.P.

Tunel ciemnej zieleni parujące ulice
wieże samotnych budynków zanurzone w
pyle pośpiech wzrok znad gazety zwinne
skoki minut. Wszystko odrzucone na zawsze;
do wczoraj ważna była noc umęczona burza
ranny dźwięk dzwonów gulgot gołębia szum
miasta; jeszcze stało otworem jeszcze nie
milknące. Było.

Odwrócony powoli zapominam; wiedziałem a
jednak chciałem ominąć wymknąć się.
Złudzony; nie zauważywszy przeciągu,
cienia, dnia nerwowego jak nosek
wiewiórczy.

Jarosław KLEJNOCKI

Piotr PIASZCZYŃSKI

ODA

Ciebie jednego chcę opiewać, wróblu,
który przycupnąłeś, cały nastroszony,
na ogrodzeniu z drutu, oszronionym.

Ciebie jednego pragnę sławić, wróblu:
szary, pospolity, głodny i zziębnięty.
Ciebie, bracie mniejszy. I nikogo więcej.

Ciebie jednego chcę opisać, wróblu:
ptaszku-mądralo, pobudko o świcie,
kłębku piór i nerwów. Jednym wróblem — życie.

1982, 93

Piotr PIASZCZYŃSKI

Leszek SZARUGA

POETA UMIERA

Poeta umiera: Nie napisałem
nic. Nie powiedziałem tego
słowa. Nie umiałem. Nie miałem
odwagi. Tak mówi poeta,

który umiera. Gdy milknie,
odpowiadają mu jego wiersze.

Leszek SZARUGA

BIAŁA KREW

Biała krew płynie w marmurach
posągów. Biała krew czasu,
światło gwiazd — zimne, bezlitosne.

Żyjemy w stygnącej przestrzeni. Słońce
wygasa. Białe kwiaty bólu
zarastają przestrzeń jak mróz

okna chat. Noc biała
w białym Rzymie.
Pobladła twarz.

Leszek SZARUGA

Artur SZLOSAREK

OSTATNIO

ostatnio uczę się,
że wierzyć nie warto
i próbuję nie wierzyć,

ostatnio kupiłem sowę,
która nie przekracza
swojej żywej martwoty
i pilnie strzeże pacierzy
mojego uwielbienia,

ostatnio życie nazywam
moim, gdy mieszam
z nim gorące soki
z jęczmienia,

ostatnio kocham łany,
które podkreśla srebro kosy,
chleb, o którym mówię,
że ściera szczęki nieboraka,

ostatnio wiedzieć chcę,
czy robak odczuwa mękę
gryzienia i trawienia?

czy ze swoich imion
łacińską konsekwencją
może nie przystać
na życiodajne
gnicie?

VI 1993

Artur SZLOSAREK

Natan TENENBAUM

MODLITWA. O WSCHODZIE SŁOŃCA

Ob odnom proszu — spasi ot nienawisti
A. Galicz

Każdy Twój wyrok przyjmę twardy
Przed mocą Twoją się ukorzę
Lecz chroń mnie, Panie, od pogardy,
Przed nienawiścią strzeż mnie, Boże

Wszak Tyś jest niezmierzone Dobro
Którego nie wyrażą słowa
Więc mnie od nienawiści obroń
I od pogardy mnie zachowaj

Co postanowisz — niech się ziści
Niechaj się wola Twoja stanie
Ale mnie zbaw od nienawiści
Ocal mnie od pogardy, Panie

Natan TENENBAUM

Kraj

Z ukosa

Miesiąc niebywałych upałów podgrzał Polskę od góry i od dołu. Ciekawe jak to wpłynie na nasz kocioł, gdzie i tak nieźle bulgoce polski bigos? Wielu ludziom coś się rzuca na głowę, ale czy koniecznie z upału? A to podgrzanie od dołu, czy wpłynie na erotyzm tej części świata, tak dziwnie zawieszonej w biodrach między północą a południem, pruderią a rozpustą. I ciekawe czy z jakiegoś ukrytego jaja wykluje się wielki artysta, pisarz lub filmowiec, bo coś jest krucho z naszą sztuką.

Kościół nadal niezwykle energicznie potępia nasze seksualne rozpasanie, a przecież z ankiety przeprowadzonej przez *Życie Warszawy* wynika, że należymy do najbardziej cnotliwych narodów świata. Oto sfera gdzie ludzie oszukują nawet samych siebie. Polacy uczą się seksu przez podglądanie, a nie patrząc w oczy tej dziedzinie, nic dziwnego, że tyle potem zakłamania.

Wielka awantura z powodu okładki tygodnika *Wprost*, gdzie Matka Boska i dzieciątko Jezus wystąpili w maskach przeciwgazowych. Generał Zakonu oo. Paulinów, tak grzmiał do pielgrzymów w Częstochowie; „Jeden z tygodników targnął się na największą po krzyżu świętym świętość Kościoła i narodu — na obraz Matki Boskiej Jasnogórskiej traktując go jako substrat do propagandy ekologicznej. Tak dalej w naszej ojczyźnie być nie może!"

Ten okrzyk w różnej wersji dostojnicy Kościoła wydają z siebie co kilka dni. Jest to szczere oburzenie, tych co są przekonani, że rządzą duszą, więc jak to możliwe, że ciało nie słucha?

Arogancja i prowincjonalizm są niestety chorobą głów polskiego Kościoła. Nazajutrz z tej rozpaczy idę na mszę. Idę jako bezbożnik, bo odpadłem od Kościoła gdzieś w wieku lat 13, gdy umarła moja religijna babcia, potem miałem już tylko romanse z Kościołem typowe dla naszej opozycji, czyli nie jestem pewien czy do końca moralne? Czuję więc lekki niepokój, że ksiądz wywącha bezbożnika i wypędzi ze świątyni.

Jaki ładny ten kościółek na Powiślu, piękny barokowy ołtarz, tyle ładnych detali, jest czysto i wiele młodzieży. Ksiądz nawet ma sensowne kazanie, wzruszające celebracje, bardzo przyjemnie. I nagle czuję, jak to się mówi językiem kościelnym, że się duchowo ubogacam. Po codziennym zgiełku, po pływaniu w satelitarnych kanałach telewizji gdzie przeważa kał, błoto i sperma, po bełkocie prasy, brudzie ulicy, to jednak jest duchowa oaza, byle się trafił ksiądz, co nie gada głupstw.

Już w domu nadal czuję się zanurzony w magii tej mszy i nawet wstyd mnie dopada, że będąc tak daleko od Kościoła, tak mało go znając, tak łatwo ganię i lekceważę.

Niebacznie otwieram telewizor i nieszczęście gotowe. Jest rozmowa z Prymasem. Ksiądz Prymas zapiekły w jakimś gniewie, kąciki jego oczu z powiekami, jak kleszcze dziadka do orzechów. A kim jest prowadzący rozmowę Jerzy Klechta, w nabożnym przykurczu, ociekający chrześcijańską pokorą i antykomunizmem, skąd ja znam te odstające uszy? Przecież to komunistyczny dziennikarz co przez lata w telewizji powielał swoją twarz. A teraz podbechtuje Prymasa do lustracji, ze słodyczą wymawia słowa „Polak katolik" aż Prymas musi nieco studzić tę niezwykłą symbiozę, chociaż przyznaje, że „skoro 90 % Polaków ma chrzest to coś w tym jest", ale łaskawie dodaje, że „może być Polak i niekatolik". Może?! Serce mi rośnie, proszę jakiego mamy postępowego Prymasa.

Prymas jest sobą, a co tu robi Klechta w takim nabożnym napięciu, że doprawdy boję się o stan jego zdrowia? Nie mogę tego znieść więc przytykam przełącznikiem, a mam dziesiątki programów i kiedy mnie napadnie jakaś wielka rozpacz to zaczynam gnać po tych kanałach, jakby ścigał mnie drapieżnik. Na niemieckim jest akt seksualny, i pomyśleć, na jednym kanale Prymas z Klechtą, a tu tak bezwstydnie na oczach Polaków-katolików, wprost na naszym Prymasie i jego rozmówcy... Gdy skończyli, on poszedł się umyć, a ona mu zajrzała do portfela, wtedy on się wychylił i zastrzelił

ją z broni o laserowym celowniku. Uciekam z miejsca rozpusty i zbrodni na inny ale ojczysty kanał. A tam Korwin Mikke, nasz wielki liberał, z błyskiem ostrej psychozy w oku gada właśnie jakieś antysemickie bzdury i mówi że światem rządzą masoni. Liberał z guzem ksenofobii, z wiarą w światowe spiski, to chyba tylko u nas jest możliwe takie wariactwo. Biegnę dalej jakby mnie co goniło. Mamy znowu powstanie i Monte Cassino, śpiewają patriotyczne pieśni, a głowy mają obandażowane, z głów krew cieknie jak sok malinowy. Jezu co za grafomania patriotyczna, przebrani za żołnierzy aktorzy na ogół z nadwagą, a ta ranna łączniczka, do licha, ją przecie znam osobiście, co ty tam robisz? Dalej w kanał francuski — gdzie o dziwo tylko coś spożywają organami górnymi, za to na włoskim kopulują. Na kanale hiszpańskim jacyś sadyści drażnią byka płachtami, a potem go dźgają w kark na śmierć ku uciesze widzów. Jakby nie można było kulturalnie, w rzeźni. Na kanale następnym osiłki rzucają się o matę, udają, że miażdżą sobie głowy i brzuchy, a tłumy dzieci na widowni szaleją z radości...

Jak się tak przeleci po kanałach, to już się wydaje, że dla ludzkości nie ma żadnej nadziei. Czy jest nadzieja w religii?

Ja jestem bezbożnik, a jak sobie radzą praktykujący, tu jest religia a na nią gramoli się bez ceregieli telewizja. Czyli Polak-katolik żyć musi w niebywałym rozdarciu, a mam wrażenie, że ludzi u nas wiele dręczy, lecz nie moralne rozdarcie. Ileż jest innych niekonsekwencji! Myślałem o nich w czasie mszy. Z ołtarza nieustannie płyną słowa Starego i Nowego Testamentu, płynie więc ku nam szerokim strumieniem żydowska tradycja jednak w pozytywnych kontekstach, skąd więc w łonie katolickiej społeczności te antysemickie skłonności? Świątynia błyszczy od czystości, a nasze klatki schodowe i podwórka gniją. I tak samo jest przecież z całą naszą moralnością.

Napisałem... a tu veto Prezydenta i wielki krzyk Kościoła blokują wolę sejmu by dopuścić aborcję. Znowu wznoszą się emocje, mówi się o referendum i o wojnie domowej aborcyjnej. Wojny pewnie nie będzie, ale zwycięskie veto Prezydenta niemal na pewno przyczyni się do jego klęski w kampanii prezydenckiej na rzecz postkomunistów.

A w dziedzinie edukacji seksualnej nadal nie zrobiono prawie nic, dla samotnych matek z dziećmi nadal prawie nic, sierocińce w stanie urągającym moralności, nadal wyklęte są niemal wszystkie środki antykoncepcyjne. Taki sam stosunek

ma Kościół do tych spraw w Afryce, stąd oburzenie na konferencję w Kairze. Czyli mnóżmy się radośnie, moralnie bez opamiętania, a potem na nieludzko przeludnionych kontynentach równie moralnie zjadajmy się i wyrzynajmy nawzajem, jak w Ruandzie, co niedawno oglądaliśmy w telewizji, siedząc póki co wygodnie w fotelach z dumną flagą ochrony życia poczętego.

Rozmawiam z X. o naszym znajomym Y, który do niedawna piastował wysokie funkcje, wyróżnił się dyletanctwem, nadęciem i pychą, narobił poważnych szkód, a gdy na pożegnanie dawano mu solidną wyprawkę płakał, że tak mało. A przecież zasłużył tylko na kopa w tyłek. Zauważam odruchowo, że to był palant niezłej klasy, a czasy takie, że trudno się u nas w tej dziedzinie wyróżnić.

X. potwierdza skwapliwie i mówi — „to właśnie takie palanty zniszczyły wolną Polskę".

X. jest na górze od lat, to jeden z niewielu długowiecznych wysokich urzędników nowego czasu, więc się napatrzył, a sam jak mi się zdaje rozumu nie stracił. Jego diagnoza jest więc profesjonalna, a cytuję ją bo pokrywa się z moją amatorską.

Nad pojęciem palanta już kiedyś się rozwodziłem, nie jest do przetłumaczenia na żaden język, również dlatego, że palant jest polską specyfiką, ma w sobie strzępki mentalności szlacheckiej, bardzo szczególnej w dobrym i złym.

Palantostwo nadal niszczy RP., ale coraz częściej w jego miejsce wchodzi nowa generacja psujów, już wolna od jakichkolwiek palanckich tradycji. Wypłukana z pozorów i cyniczna. Czy nie będziemy więc wkrótce tęsknić do palantów?

Dzisiaj jednak pod nowymi rządami nie to jest prawdziwym problemem, ale nie jest nim też powrót do socjalizmu, co niektórzy sugerują, bo powrotu tam nie ma. Problemem jest wielka siła przyciągania masy upadłościowej przeszłości, a to ciągnie również do centralizacji, co chociaż nie zniszczy naszej ekonomii i demokracji, ale niezwykle opóźni ich rozwój. No i te tabuny palantów postkomunistycznych co się pchają na miejsca palantów solidarnościowych, a ci ostatni jednak pachną mimo wszystko przyjemniej.

Prywatyzacja ślimaczy się chronicznie, a niemal wszystkie ministerstwa walczą o nowe monopole. Wszędzie chcą wszyscy wszystko brać pod siebie. A rzecz jest ułatwiona przez wyuczoną bezradność naszego społeczeństwa. Ludzie niby u nas są indywidualistami, niejako z natury ale głównie w sferze godnościowej. „Pan nie wie kim ja jestem. Pan nie będziesz mówił co mam robić". To znamienne, że już nawet Wałęsa rzadziej mówi — „bierzcie ludzie wszystko we własne ręce". Bo co miało być brane w nasze ręce okazało się tak bezkształtne, że ci nieliczni co wyciągnęli ręce nie byli w stanie niczego chwycić.

Muszę się w końcu uderzyć w piersi i przyznać, że mimo wszystko z bliska widzę Polskę o wiele lepiej niż gdy przez lata przyglądałem się jej z daleka. Ale czy to nie kolejne złudzenie — teraz jestem tak blisko, że wszystko mi się zamazuje. I to zdumiewające, kiedy jestem na miejscu o wiele trudniej mi o Polsce pisać.

Będąc pesymistą wpadałem w swoich tekstach w ton powiedzmy lamentu, który zresztą znakomicie wtapiał się w lamentujące chóry naszych chłopów, robotników, emerytów, urzędników oraz inteligentów. Lament przypominający czasami zawodzenie bab w kościele wydaje się polską specjalnością i ma w sobie jakąś wyraźną wschodnioazjatycką naleciałość. Zauważyłem, że młodsze pokolenie, tak w kościele jak i poza nim, już tak nie zawodzi. Polacy narzekają niemal zawsze, nawet jak im się powiedzie, a jako budulca do narzekania używają doświadczeń porażek całych pokoleń. To jest głęboko ugruntowana tradycja. Czy uda mi się wyskoczyć z kolein tak głębokich i tak długo żłobionych? Czy więc winienem koncentrować się na przykładach optymistycznych i siać otuchę w serca czytelników? Tylko kto będzie wtedy czytał takie poczciwe nudziarstwa?

Podstawowe dzisiaj pytanie — czy Polska nadal posuwa się do przodu, bo bez wątpienia te pięć lat to jednak był... no może nie skok, ale krok? Boję się, że początek był łatwy, bo dno leżało niezwykle blisko. Słuchając wypowiedzi ekonomistów trudno dowiedzieć się czegokolwiek, chyba sami nie wiedzą.

Mieszkam w centrum miasta i doprawdy ta cała sieć usług jest zdumiewającą mieszaniną nowego ze starym, to nowe rzadko jest na poziomie zachodnim, ale i stare zwykle jednak powyżej tego co było za socjalizmu. Jakbyśmy tworzyli jakość pośrednią. Sprzedawcy pół na pół, połowa gada ze sobą, a klient im przeszkadza, połowa bardzo się stara. Tuż obok mojego domu otwarto nagle i szybko Pizza Hut. Z wyglądu ten lokal niczym się nie różni od amerykańskiego. Nawet w toaletach tak czysto, że można lizać ściany. Nadal mnie w Polsce wzrusza do łez — marsz naszych toalet do

Europy. Socjalizm był rzeczywiście u nas niebywale kloacznie obrzydliwy. Siedzę więc w tym Pizza Hut i doprawdy nie wiem, w jakim kraju jestem. Jest coś przerażającego w tym estetycznym kosmopolityzmie. Ale gdzie jestem uświadamia mi szybko nieporadność kelnerek i klientów, wszyscy się uczą nowych reguł gry. W barze sałatkowym, gdzie można brać tylko raz do miseczki, ludzie nakładają sobie takie góry sałatek, że niosą je potem ostrożnie jakby szli na linie.

Cały ten plastikowy wystrój lokalu jest estetyką rzędu niższego, ale nie ma w tym jednej rysy i nic z naszego powszechnego świerzbu. Nie jest to nauka dobrego gustu, ale konsekwencji i czystości. Czyli tworzone są jednak nowe standardy i wymagania.

A te ciepłe ciasteczka i bułki na obskurnym Dworcu Wschodnim, pakowane przez czystą panienkę w czyste torebki, o każdej godzinie!

Warszawa zmienia się, nie po prostu a raczej mimo wszystko, czyli bez dynamiki, lecz w oczach. Mieszkając przez lat kilka poza krajem, gdy tu przyjeżdżałem, zwolnione klatki mojego filmu ujawniały jak przepoczwarza się parter tego miasta. Tak, parter zmienił się najszybciej. Czy nie kosztem piwnic, myślałem czasami? Urosło kilkanaście budynków publicznych w centrum. Wydawały się już znakiem nowego czasu, budowano je szybko, a ich kształt sugerował, że należymy do zachodniej Europy. Trudno było jednak nie dostrzec, że chociaż te obiekty są lepsze niż socjalistyczny standard, ale stanowią jedynie ślepe i spóźnione kalki zachodnich wzorów. Komplikować też zaczęła się wymiotna prostota domów mieszkalnych, ale czy wystarczająco? Małe prywatne budownictwo, co też widać gołym okiem, poczęło szukać własnego znaku dostatku i indywidualizmu, jest lepsze od bunkrowej zabudowy dawnych lat, ale z szeroką blizną złego smaku. Nie narzekajmy jednak, bo to początek drogi a każda komplikacja po mdłym uproszczeniu dawnej architektury nadal wydaje się korzystna. Socrealizm miał gębę, a gęby czasami dobrze się starzeją. Nieszczęściem architektury lat 60-tych i 70-tych jest brzydota, która źle się starzeje, bo źle starzeje się mechaniczne uproszczenie formy i pewne materiały, jak plastik, szkło, beton. Jeśli socrealizm posiadał gębę, to nowe dzielnice lat 70-tych mają tylko płaskie, betonowe plecy. To jednak ostatnie chwile gdy oceniamy architekturę „dzisiaj" przez porównanie z architekturą „socjalizmu".

W triumfie brzydoty u nas istotną rolę gra historia. To miasto było najpierw ofiarą wojny, potem komunizmu, ale również ofiarą naszego niechlujstwa zrozumiałego historycznie, bo nieszczęścia historii rwały u nas wszystkie tradycje, oprócz jednej — tradycji niechlujstwa. Dom gdzie od niedawna mieszkam ma dwa piętra i stoi na podwórku przy skrzyżowaniu dwóch dużych ulic centrum Warszawy.

Ten dom, który cudem przeżył wojnę, ma podwórko, obszerny ale niezwykle zaniedbany plac, jak niemal wszystkie warszawskie podwórka. Bramy są otwarte na ulicę, ale do niej już nie należą, każdy może tu wejść, ale nikt nie otrzyma tam niczego. Czy więc nadal trwa socjalistyczny podział na przestrzeń prywatną, mieszkania — oraz publiczną, czyli niczyją — klatki schodowe i podwórka? Jedyne schludne i ładne miejsce jest przed wejściem do mojego domu. Stoi tam ławka i jest ogródek pełen kwiatów i krzewów, podlewanych i przycinanych ręką starej kobiety z parteru. Ławka też cała i zdrowa, co nieczęsto się zdarza warszawskim ławkom, a jest tak, bo codziennie siadają na niej mieszkańcy tego niewielkiego domu, by plotkować i obserwować się nawzajem. Ta przestrzeń publiczna została zagarnięta przez mieszkańców i zagospodarowana jako teren użyteczności prywatnej. A co z resztą podwórka? Czyż podwórka centrów Zachodu nie stają się przestrzenią czysto prywatną, odizolowaną szczelnie od ulicy, lub odwrotnie, zostają wchłonięte przez prywatną, ale zarazem publiczną bo handlową część miasta. W obu przypadkach podwórka są żywe i pełne, u nas nadal marnieją.

Chyba tutaj gdzieś tkwi nie rozwiązany do końca węzeł dawnego i nowego? Jesteśmy już kapitalistyczni, ale nie do końca. Mówi się, że nie można być częściowo w ciąży, ale czy stan naszej architektury dzisiaj nie jest takim prawie niemożliwym stanem pośrednim, przed jakimiś niepewnymi narodzinami?

Problem polskiej mafii stał się niezwykle popularny od kiedy w Warszawie właściciele lokalów na Starym Mieście zbuntowali się przeciw płaceniu haraczy gangsterom. Wygląda na to, że przestępcze grupy już od dawna i niemal wszędzie ściągają haracze od właścicieli sklepów i restauracji, ale na skutek różnych okoliczności, dopiero na Starym Mieście zrobił się z tego hałas, a właściciele lokali rozpoczęli strajk zamykając restauracje. Ten strajk pokazały nawet sieci światowej telewizji satelitarnej. Więc są dwa polskie akcenty światowe w ostatnim czasie, to Powstanie Warszawskie, gdzie głównym bastionem była Starówka, a teraz proszę, po hitle-

rowcach Starówkę próbuje opanować mafia. Rzeczywiście bezczelność przestępców jest niebywała, a bezradność policji nie mniejsza. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj żyliśmy w policyjnym państwie, dzisiaj żyjemy w państwie bezsilnej policji.

Nudzić się w Polsce trudno, to ktoś bombę gdzieś podłoży, to jak na dzikim zachodzie dochodzi do pistoletowych pojedynków. Dlatego Polacy dzisiaj boją się. Podobnie jak nowojorczycy, ale bez olśniewającej symfonii Manhattanu, boją się więc z konieczności niżej i brzydziej. Represji komunistycznych bała się stosunkowo mała grupa ludzi, bo szaleńców co się jawnie buntowali było niewielu. A lęki wolności dotykają niemal wszystkich. Oto wpada do mojego mieszkania znajoma ledwie żywa ze strachu, bo jak zobaczyła moje podwórko to była pewna, że musi stracić życie. Podaję jej dla otuchy herbatę, a ona nie może jej utrzymać w trzęsącej się dłoni.

Wszyscy właściciele samochodów, czyli ja też, gdy zmierzamy rano w kierunku postoju swych pojazdów, mrużymy oczy, jest, jednak stoi, chwała Bogu, znowu udało się.

Coraz bardziej dwuznaczną postacią wydaje się minister spraw wewnętrznych Milczanowski. Niemal gołym okiem widać skorupę, która wyrosła mu na grzbiecie od kiedy rezyduje w obszernym budynku, gdzie w ścianach żyje nadal tyle demonów. Etos pracy policjanta minister rozciąga na lata komunistyczne i broni tego etosu. Dlatego tak łatwo zaakceptował mianowanie Mariana Zacharskiego, superszpiega PRLu w USA na szefa wywiadu, który po awanturze zmuszony został jednak podać się do dymisji. Ta nominacja to nie tylko wielki afront wobec USA, co zresztą Stany dały nam do zrozumienia, ale policzek w twarz wszystkich, co nie akceptowali przeszłości.

Andrzej Olechowski, minister Spraw Zagranicznych publicznie rozpacza, że mu się niszczy politykę zagraniczną. Jakiego politycznego partactwa trzeba, by na szefa wywiadu mianować superszpiega PRLu. U nas amatorstwo decyzyjne przybiera tak groteskowe postacie, że nawet mianowanie profesjonalisty bywa aktem niebywałego amatorstwa.

Coraz jednak ciężej powoływać się na przeszłość, bo zaczyna to brzmieć śmiesznie. Zbliża się chwila, gdy będzie można powiedzieć, że Polska przeszłości nie ma. Czy to jest amerykanizacja? Ale oni mają za to przyszłość i żyją jutrem. A jak się gada z Polakami, to najbardziej zdumiewa, że oprócz niewielkiej prężnej grupy przedsiębiorców, Polacy uważają, że nie posiadają przyszłości.

Pewien polityk mówi mi „dzisiaj największą satysfakcję powinni mieć ci co w opozycji, być liderem opozycyjnej partii winno być wielką przyjemnością, a z tego też jakoś nikt nie potrafi się cieszyć".

„Mamy PRL na 10 lat" — mówi gorzko inny znajomy polityk, a Unii Wolności, do której zresztą należy, daje recenzję krótką i aż sam się wzdrygnął na to co powiedział, lecz słów nie cofnął — „zlali się z liberałami" — nie było wątpliwości w jakim znaczeniu, miałem nawet wrażenie, że chce biec się przebrać.

Wykluczenie z „Unii" Barbary Labudy za jej proaborcyjne rozpasanie doleje tylko oliwy do ognia konfliktów w tej partii. Och ci nasi intelektualiści!

Z pewnym opóźnieniem została u nas wydana książka Paula Johnsona „Intelektualiści". Nie tylko jak widać w Europie wschodniej ludzie padają ofiarą idei lustracji. Johnson lustruje moralnie kilkunastu wielkich intelektualistów, którzy kładli podwaliny pod myśl i kulturę świata. I dowodzi, że to wszystko były niebywałe świnie i bydlaki. Czasami ma bez wątpienia rację, jest kilka świetnych portretów oraz inteligentnych spostrzeżeń, w końcu autor bywał wybitnym eseistą. W tej książce przez cały czas jest prokuratorem w wielkim procesie, który został wytoczony intelektualistom. Przy takim nastawieniu można załatwić prawie każdego. Pisząc o tej książce udało mi się chyba zawrzeć problem w jednym zdaniu, a technikę myślenia i zapisu wziąłem od Johnsona.

Życie człowieka widziane z lotu ptaka zawsze karleje, a jeśli ten ptak jest sępem, staje się ścierwem.

Nasza prawica, ta jej bęcwałowata część, oczywiście piać będzie z zachwytu nad tym dziełem i postulować stworzenie takiej książki w Polsce. Zarodek jej dał Paweł Szymański w „Urokach dworu" gdzie lustrował Dąbrowską, Przybosia i Nowaka. Tylko pióro i głowa nie ta, ale zastosowana metoda podobna. I ten sam rozkoszny perwersyjny dreszczyk podglądania. Można teraz się brać za Mickiewicza, a zakończyć sądem nad Miłoszem. A gdy wszyscy intelektualiści zostaną już ujawnieni, gdy ze sceny wytrze się spermę i odchody po intelektualistach, na jeszcze wilgotne deski wkroczą ludzie prości, prowadzeni za ręce przez wielkich prokuratorów.

Kiedy oglądam marszałka Aleksandra Małachowskiego z Unii Pracy w telewizji — jednego z nielicznych ocalałych z rzeszy intelektualistów, których porwała fala polityki — to chociaż go osobiście lubię, coś mnie brzydko tyka. Dlaczego

tak okropnie się denerwuje, gdy prowadząca cytuje fragmenty jego tekstów, by mu sprawić kłopot. Uważa, że winno być po przyjacielsku. Wydaje się być zupełnie nie przygotowany na rodzaj boksu jakim jest polityka i publiczne występy polityka. I jakby nie brał odpowiedzialności za każde słowo jakie napisał. To typowe u nas mieszanie porządku, polityk, pisarz, moralista.

Ciekawe jak niewielu intelektualistów zostało dzisiaj na placu polityki, a jak zostali, to nie wiem czy im to wyszło na zdrowie.

Małachowski od dłuższego czasu występuje jako zawodowy dobry człowiek, czyli ludzki polityk, wrażliwy niebywale na krzywdę. Zawód dobry człowiek, bardzo to jednak ryzykowne. Jako polityk Unii Pracy, który niby zna się na ekonomii, mówi na jej temat rzeczy wielce jak się zdaje bałamutne. Nic dziwnego, że gdy naprzeciw staje Lewandowski, czołowy ekonomista liberałów, to twarz temu się krzywi w grymasach obrzydzenia i protestu. Punktuje zresztą bardzo celnie Małachowskiego, tu jednak fachowiec, tam półprorok z siwą brodą a z górą podejrzanie brązową, czyżby farbowaną? Ale czy Lewandowski ma rację do końca? Czy jego arogancja, ta pogarda trudna do ukrycia dla tych co nie dzielą jego liberalnych poglądów, nie jest innego typu grzechem? Małachowski zbyt blisko stawia przed sobą człowieka i tak włazi między upadające PGRy i głodnych emerytów, że już nie widzi całego kraju i ekonomii. A Lewandowski mam wrażenie nie widzi ludzi w ogóle, tylko żelazne prawa ekonomii. I ta pogarda dla kretyna co nie podziela tego widzenia. Prawa liberalne są doskonałe, problemem tylko są ludzie jak piasek sypany w tryby.

W pobliskim sklepie spożywczym robię zakupy i dziwię się, że jest taki marny. Wszystko teraz zależy od właściciela, a właścicielka gruba i zaniedbana identycznie jak jej sklep. Zresztą wszystkie sklepy spożywcze ostatnio nieco zmarniały, bo cła, które chłopi narzucili nam na zagraniczne produkty żywnościowe, przepłoszyły wiele towarów. Patrzę, a tu na jednym ze stoisk wystaje *Gazeta Polska*, pismo naszej prawicy, tej najbardziej bezkompromisowej, ideowo czystej. Na pierwszej stronie krzyczy tytuł „Kto rządzi światem". No to się nareszcie dowiem, pomyślałem, a przy okazji obejrzę sobie na jakim etapie jest Piotr Wierzbicki i jego prawicowa trzódka.

Jako pesymista zawsze spodziewam się najgorszego, co jak wiadomo jednak nie chroni od bolesnych zaskoczeń, więc nie warto być pesymistą. Przy lekturze jednak zatkało mnie. Jakby wszyscy co piszą w *Gazecie Polskiej* mieli żylaki, hemoroidy i zapalenie okostnej.

Z tekstu „Kto rządzi światem" Anatola Arciucha nie dowiedziałem się niczego nowego, same oczywistości: światem rządzą Żydzi, masoni, Fundusz Walutowy i garść organizacji o niezwykle trudnych nazwach. Polska specyfika spisku to Magdalenka. Autor poleca „Protokoły mędrców Syjonu" i twierdzi, że Unia Wolności podobnie jak ONZ ma strukturę masońską, nie przypadkiem rzecz jasna.

Jest też w *Gazecie Polskiej* stały kącik antysemicki pod szyldem „DOSYĆ". Jak to Żydzi na całym świecie przeciw nam spiskują. Ale zdarza się, chociaż rzadko, że pochodzenie spisku jest trudne do ustalenia. Oto na amerykańskim kanale CNN, gdzie reklamują czasami hotele, była reklama polskich hoteli, ale co wypatrzyło czujne oko *Gazety*, owe tło dla hoteli było obrzydliwe i zniechęcające. Co oczywiście nie jest przypadkiem. Rzeczywiście, ciekawe kto podmienił piękne polskie krajobrazy i wsadził paskudne obce, „które mogą tylko od Polski odstraszyć".

Najbardziej poruszyło mnie jakieś niezwykłe podobieństwo *Gazety Polskiej* do *Nie* Urbana, jakże inne są te pisma, ale jest sztywny wspólny kręgosłup — to nienawiść. Jednym z jej źródeł jest poczucie porażki, jakże paradoksalne, bo *Nie* chociaż triumfuje i ma milion nakładu, i mimo że nadal wszystko się szczęśliwie w Polsce paskudzi, to zarazem historycznie przegrali. *Gazeta Polska* jest natomiast historycznie górą, ale faktycznie dołuje, bo to nie prawica ma władzę, a w Polsce królują trzy dzienniki, które zostały opanowane przez lewicę, Żydów i masonów i pederastów. Rozumiem, że od tego można zwariować.

Gazeta Polska wyrosła z pnia „Solidarności", a mówi językiem swoich wrogów. Niestety gdy czyta się pismo związku „Tygodnik Solidarność", to widać, że chociaż droga daleka, ale zmierza on w podobną stronę.

U znajomej, która od wielu lat pracuje w telewizji. Pamięta rozkwit tam gierkowskiego socjalizmu, czasy słynnego Szczepańskiego, karnawał „Solidarności", grozę stanu wojennego, gdy telewizja jako twierdza kłamstwa była miejscem przerażającym. K. była tam naszym człowiekiem, jak ona to przeżyła sama nie wie. Ale wie, że teraz nie czuje się w tym budynku o wiele lepiej niż wtedy. Atmosfera jest równie

ciężka, doprawdy nieprzyjemnie, a co płynęło z góry teraz często płynie z dołu splotami intryg. Przewalają się tabuny nowych ludzi, często niezwykle młodych.

Ta młodzież próbuje rozmontować tę bizantyjską świątynię kłamstwa. Kłamstwa już nie ma od kilku lat, ale zostały mury, szare linoleum na podłogach i zastępy pracowników, z propagandzistów przefarbowanych na „fachowców". To zdumiewające, że Drawicz i kolejni szefowie zostawili te kadry nietknięte, a o ich fachowości zamilczmy. Wysokość honorariów jest nadal niebywała, więc nic dziwnego, że wszyscy chorują na szczękościsk mając taki cycek.

Pytanie więc tylko co powstaje w miejsce demontażu? I tu chyba nie ma jeszcze jasnej odpowiedzi.

Tak samo jest w prasie i w wielu państwowych urzędach. Oto jedyne dziedziny, gdzie można u nas mówić o rewolucji.

Wszędzie gdzie są u nas pieniądze rzecz się niebywale i beznadziejnie paskudzi. Okazało się, że Fundacja Kultury stworzona przez Izabellę Cywińską, gdy była jeszcze ministrem, straciła prawie całe pieniądze. Ten akt stworzenia fundacji przez Cywińską za jej ministrowania a potem przejęcia jej po odejściu z ministerstwa był moralnie wielce podejrzany. Ale fundacja zrobiła tak wiele dobrego, że zdawało się że sukces zamknie usta krytykom. Teraz gdy okazało się, jak skandalicznie gospodarowano pieniędzmi, wygląda to fatalnie. Cywińska twierdzi, że nie zna się na pieniądzach i umywa ręce.

Waldemar Dąbrowski jako minister kinematografii wiele dobrego zrobił dla naszego filmu. Ale kontrola NIKu odkryła, że w naszej kinematografii skandalicznie gospodarowano pieniędzmi, przekraczając wiele przepisów. Domyślam się, że jak wszędzie głupie przepisy przeszkadzały pięknym ideom. Ale czy tylko taka jest prawda? Czy jedynie idiotyzm prawny niszczy u nas idee? Boję się, że również nasza niekompetencja, bezradność, brak reguł gry, nieustanne umywanie rąk. Skandal u nas sunie za skandalem, a potem nikt nigdy nie ponosi za nic odpowiedzialności. Janusza Zaorskiego oskarżano o Bóg wie co, z niczego się nie wytłumaczył, więc został przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Nikt nigdy u nas nie podaje się do dymisji, czyli zawsze winne są okoliczności, nie ludzie. Rzeczywiście bardzo jest ludzko w naszym permisywnym przedszkolu, można nawalić

kupę na środek publicznej sali w czasie przyjęcia i wszystko jest w porządku. I nie ma takiego skandalu, po którym jego twórca nie otrzyma następnej równie odpowiedzialnej pracy.

Film dokumentalny Macieja Drygasa „Stan nieważkości" to świetny dokument o sowieckich kosmonautach, ten brud ZSSR, świerzb codzienności był we wszystkim, nawet w ich kosmicznym programie, w gębach tych ludzi, w ich autodestruktywnym szybkim starzeniu się. Reżyserowi udało się dotrzeć do wielu byłych kosmonautów, a czasy takie, że wszyscy mówią. Nawet o zbrodniczych eksperymentach medycznych do jakich używano kandydatów na kosmonautów. Ale jak to tam zwyczajne, ma miejsce dziwne przemieszanie pogardy do siebie z dumą, jak mówi jeden z nich: „Jak ja się czułem dumny, że człowiek pokonał siebie, radziecki człowiek".

Wstrząsającym kontrapunktem tej dawnej dumy jest zakończenie filmu, to nagranie rozmowy kosmonauty krążącego niedawno na orbicie ze swoją żoną, która jest na Ziemi.

On, z kosmosu — co robić, latam, już osiem miesięcy, dzisiaj upływa osiem miesięcy, czy człowiek pracuje czy nie, jeden czort, nie ma stymulacji do pracy.

Ona, z Ziemi — U nas dzieją się takie rzeczy, że już nic nikogo nie stymuluje. Nie możecie sobie nawet wyobrazić, co się teraz tutaj dzieje. Ludzie mówią, że nie myśleli, że dożyją takich czasów, mówią, że to jeszcze nie jest dno.

On, z kosmosu — gdzie jest to dno?

Ona, z Ziemi — nie wiem, trudno powiedzieć, ale to na pewno nie jest jeszcze to dno.

Jaki literat wymyśliłby taki koniec imperium?

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Zaszłam niedawno na dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego prosto z tętniącego życiem i zadbaniem Krakowskiego Przedmieścia. Zapaść. Pordzewiałe dachówki na zabytkowych budynkach, pokiereszowane chodniki, chwastowiska

w miejscu trawników. Ważny dla kultury narodowej obiekt w centralnym punkcie miasta wydaje się z tego miasta wyłączony, zieje zniszczeniem i zapomnieniem. Jesienne „melancholijne" słońce pogłębia wrażenie czegoś odchodzącego w przeszłość — wrażenie ruiny. Dopóki oko nie spoczęło, nie myślałam, że jest aż tak źle...

Z przerażeniem stwierdzam, że muszę z emerytury odkładać „na doktora". Nasza służba zdrowia, do której mam prawo, pogrąża się w niebyt; praktycznie, przestała leczyć z wyjątkiem wypadków nagłych, zawałów i „raków". Ze wszystkim *de facto* trzeba chodzić do lekarzy prywatnie, bezpłatna opieka zdrowotna to pozór. Moi znajomi emigranci-emeryci, przybywający do Polski na wakacje z krajów tradycyjnie mało opiekuńczych, jak np. USA, gdy zaboli ich ząb czy noga, udają się do najlepszych tutejszych specjalistów, biorą rachunek, za który „w domu" odpłaca im ubezpieczalnia. U nas emeryt bezpieniężnie leczyć się już nie może. Nie mówiąc o podróżach! W tym względzie nasi demokratyczni dygnitarze zawarowując sobie specjalne kliniki rządowe okazali niebywałą dalekowzroczność, jaka niestety nie dopisuje im przy pełnieniu funkcji politycznych...

Takich osuwających się instytucji użyteczności publicznej przybywa w Polsce w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do rozwoju wolnego rynku, ukazując coraz to wyraziściej pogłębiającą się przepaść między tym, co rządzone przez państwo, a tym, co rządzi się samo.

Toteż apel mojej młodej znajomej skierowany do mnie wydał mi się pozytywistycznie naciągnięty.

— Proszę cię, mniej skażenia w tych twoich KARTKACH. Jednak coś się u nas robi — powiedziała, wskazując palcem na kolorowe śmietniki z napisami: „śmieci", „szkło", „papier", „plastyk"...

Robi się. Najpierw, co prawda, te pojemniki palono i demolowano, ale po pewnym czasie stała się rzecz zadziwiająca, ludzie zaczęli samorzutnie selekcjonować odpadki, i teraz tam, gdzie owe pojemniki są, pełnią swoją funkcję. Wszyscy zrozumieliśmy, że nie jesteśmy do końca beznadziejni, tylko że musi upłynąć czas, zanim te „trochę porządku wokół siebie" przebije się przez ataki chuliganerii, głuchą ścianę biurokracji, żywą jak za dawnych lat, bierność i naszą wrodzoną gnuśność.

To już wiemy, tylko że nie o to mi chodzi. Nie chodzi mi o trafione inicjatywy społeczne, małego czy dużego kalibru, jak choćby ta, która pierwsza przychodzi mi na myśl: akcja Ochojskiej dla Kazachstanu, gdzie pomocą objęte są wszystkie dzieci na terenie: polskie, kazachskie, rosyjskie i jakie tam jeszcze są; akcja trafiona w każdym calu, humanitarnym, społecznym i politycznym. W takich nagłych intuicyjnych inicjatywach, podejmowanych *ad hoc*, jesteśmy bezbłędni, szybcy i wizjonerscy, i nie warto tego powtarzać.

Toteż mój KARTKOWY pesymizm nie dotyczy tego typu samorzutnej działalności, która bez niczyjej pomocy toruje sobie drogę, ale dotyczy sposobu rządzenia państwem. Tutaj nie widać ruchu w górę. Przeciwnie, robimy krok w dół. Panuje coraz większy chaos, bezhołowie, niekompetencja i rozleniwienie przy objawach pozornej aktywności. Niestety, można powiedzieć, że ci „pracowici rządcy" to już u nas byli, że epoka miniona. Takie osoby, jak choćby ekipa Balcerowicz-Misiąg-Kawalec, ekipa ludzi kompetentnych, którzy po prostu „zasuwali" — odeszła w siną dal. Na placu została magma, z której nie wyłania się nic konstruktywnego. Nie wykluwa się typ urzędnika państwa, rozumiejącego swoją rolę, swoje obowiązki i powinności w demokratycznym ustroju.

Czas tu jakby się cofnął. W naszych sferach rządzących zaczyna znowu hulać typ dawnego aparatczyka, tyle, że w demokratycznej uwięzi, w jakiej czuje się on nieswojo, która go uwiera i której celowości nie rozumie. Właściwie, nie wie, kim jest. Jedyne, co wie, to to, że ma się „bogato nosić". Zupełnie nie pojmuje, że w jego sytuacji przysłowie „jak cię widzą, tak cię piszą" pracuje na jego niekorzyść, bo „piszą" go coraz gorzej, w miarę jak porasta w piórka.

Pomijając fakt nagminnego braku kompetencji i ogólnej kultury, wysoki urzędnik polski anno Domini 1994 nie ma wyobraźni. Ani rusz nie rozumie, że jeśli kraj, którym zarządza, jest biedny, to on sam nie powinien być bogaty. (Chyba że z domu!) Nie ma pojęcia, że musi tu istnieć pewne zharmonizowanie, a nie dysproporcja. Dla przykładu, jeżeli wspomniana na wstępie największa w kraju Alma Mater chyli się ku ruinie, to w najbliższym sąsiedztwie, na Krakowskim Przedmieściu, nie należy ogromnym wysiłkiem finansowym społeczeństwa restaurować na najwyższy połysk siedziby prezydenckiej w Pałacu Namiestnikowskim. Kolejność winna być odwrotna.

Ale wysoki urzędnik tego nie pojmuje. Nowobogacki pęd do posiadania i komunistyczne poczucie, że skoro mam władzę, to mam i „rzeczy", zmieszało się w jego głowie ze

staropolskim „hulaj, dusza, bez kontusza!" oraz „zastaw się a postaw się". Tylko że w starej Polsce obywatel „zastawiał się" na własne ryzyko i własny koszt, obecny rządca czyni to na nasz, i nie wie, nie przeczuwa, że zastawione przez niego weksle społeczeństwo płaci coraz niechętniej. Nie wie, bo nie odebrał odpowiedniej szkoły politycznej. Nikt go nie pouczył, a potem, nie wyegzekwował od niego odpowiedniego zachowania. Nie wbito mu do głowy, że co ujdzie, a nawet przystoi, prywatnemu miliarderowi, który, im bogatszy, tym więcej wpłaca do skarbu państwa, żadną miarą nie uchodzi ani nie przystoi temu, który z tego skarbu bierze. Nie uświadomiono mu, że jego poziom życia powinna określać wstępna zamożność, z którą do urzędu przychodzi, a nie zaharapczone w toku pełnienia funkcji apanaże. O tym wszystkim wysoki urzędnik nie ma pojęcia, toteż pęd do okazałości i co tu gadać, bezwstydna prywata stały się jego główną cechą, czynnikiem, który go określa, niezależnie z jakiej orientacji politycznej się wywodzi.

Pan prezydent lata co *weekend* specjalnym samolotem do domu w Gdańsku. Nie żenuje go bynajmniej fakt, że to my, podatnicy, płacimy za jego „rozłąkowe", które jest jego prywatnym wyborem, bo miejsca w Pałacu Namiestnikowskim w bród dla całej rodziny. Posłowie, przestając być posłami, notorycznie nie rozliczają się z kasą Sejmu. Nie oddają zaciągniętych pożyczek ani pożyczonego sprzętu. Przywoływanie ich po nazwisku w prasie też zupełnie ich nie peszy. Jeden z wicemarszałków senatu o ustach pełnych demokracji, nie krępuje się, kiedy spacerując po Łazienkach z damą, zostawia za bramą szofera drzemiącego w służbowej lancii. Jako reguła, ministrowie biorą płatne uczestnictwa w radach nadzorczych banków i spółek skarbu państwa, nie tając, że po to, żeby sobie dorobić do pensji. Dorabianie może dochodzić do 50 mln zł miesięcznie, podczas gdy pensja jest rzędu 15-20 milionów. I tak dalej, i tak dalej, lista robi się nudna.

Konkluzja: istnieje pilna potrzeba — pilniejsza niż nowa konstytucja — precyzyjnego określenia statutu i statusu urzędnika państwowego. Ludziom łatwiej będzie płacić wysoką cenę za przestrajanie państwa, gdy u steru zobaczą kogoś skromnego, bardziej przypominającego ich samych. To proste prawo socjotechniki powinno się u nas jakoś wreszcie przebić i zadomowić.

Piszę to w nieprzyjemnym przeświadczeniu powtarzania komunałów i rzucania grochem o ścianę.

PS. Zostaliśmy poinformowani o zmianach w Kancelarii Belwederu. Rzecznik prasowy prezydenta, Andrzej Drzycimski, popadł w niełaskę i wraca do Gdańska odrabiać wielomiesięczny zaległy urlop. Awansuje w łaskach Andrzej Zakrzewski. Nie wiadomo, czy współczuć mu, czy gratulować. Współczuć, bo łaska w Belwederze może oznaczać cenę, z której trudno mu się będzie wypłacić nie tracąc twarzy. A gratulować? To raczej nam, bo może dobrze mieć w Belwederze kogoś kulturalnego, a takim Andrzej Zakrzewski niewątpliwie jest, kto będzie próbował obłaskawiać niedźwiedzia?

●

Udaje mi się przyczepić do oficjalnej dwuosobowej grupy i w sześć dni na początku września br. robimy samochodem trasę Warszawa-Wilno (z Trokami)-Kowno-Kłajpeda-Palanga (czyli Połąga)-Mierzeja Kurońska, w niej osada Nida-Druskienniki-Warszawa. Posuwamy się szybko, przeważnie autostradami wybudowanymi tu „za Sojuza" dla celów strategicznych; znikomy ruch na szosie w porównaniu z naszym. W północno-zachodniej części kraju — bezludnie. Jestem pierwszy raz na Litwie.

Pierwsze wrażenie po przekroczeniu granicy — bieda z nędzą. Przy starych chałupach nie wyrastają, jak u nas — nowe. Kontrast taki, jak w przejściu granicznym na Słowację w Chochołowie po naszej stronie — bogata, zdobna wieś, po tamtej — chałupinki. Tutaj podobnie. U nas — Puszcza Augustowska, tu — łyse pagóry, opuszczone PGR-y, chude krowy i dzieciaki na bosaka, zjawisko w Polsce już nie oglądane. W miarę zbliżania się do Niemna krajobraz pięknieje; las mroczny, zróżnicowany, inny, bogatszy od naszych, tajemniczy. Przykuwa oko.

Zbaczamy do Trok. Nie wiadomo, co bardziej tu podziwiać, położenie, czy dzieło człowieka. Zamek i miasteczko z przedziwną dzielnicą karaimską, pieczołowicie restaurowane, ale — „po komunistycznemu", czyli „nie dla ludzi", to znaczy, bez sprawnej infrastruktury i z krótkimi, „urzędowymi" godzinami otwarcia.

Do Wilna zajeżdżamy o zmroku. Główna ulica — pierwotnie Świętojerska, później Mickiewicza, potem krótko Giedymina, za komuny Lenina, teraz znów Giedymina — w ciemności, co dziesiąta latarnia zapalona; bruki kostropate, trolejbusy wraki, a w źle oznakowanych sklepach kolejki do żywności. Oj, daleka droga do wolnego rynku! Nigdzie żad-

nych McDonaldów, *fast-foodów*, *salad*-barów, żadnych reklam i neonów. Mimo to miasto tętni jakimś wewnętrznym ożywieniem, które się udziela. W wylewającym się z kina tłumie widać dużo uderzająco dorodnych, wysokich dziewczyn, ciemnych i jasnych. No, i niebywałe uczucie dla Polaka za granicą: polszczyzna jest tu przyjmowana jako coś zupełnie naturalnego; bez emocji, ale jako jeden z języków w obiegu. Wrażenie wielonarodowości, przy braku zalewu amerykanizmem. Rzadkość na świecie. Coś bardzo krzepiącego.

Zwiedzanie Wilna mam ułatwione, gdyż Jerzy Timoszewicz, jego znawca i miłośnik, zaopatrzył mnie w małą kartkę z marszrutą pod hasłem „Program minimum dla barbarzyńców z Królestwa". Oto on:

1. Ostra Brama (wota!). Z lewej cerkiew (barokowa!), z prawej Bazylianie (więzienie filomatów), tudzież ambasada RP.
2. Koło klasycystycznego Ratusza, kościół Św. Kazimierza, do niedawna Muzeum Ateizmu.
3. Uniwersytet, wszystkie dziedzińce, najważniejszy Skargi: najpiękniejsza fasada świata (prawda! — EB).
4. Gotycka Św. Anna i Bernardyni. Obok najlepszy, jaki istnieje, pomnik Mickiewicza (prawda! — EB).
5. Kościół Św. Piotra i Pawła na Antokolu — obłęd rzeźby barokowej (święta prawda! — EB).
6. Cmentarz na Rossie.
7. Któreś z nowych osiedli — nic nie napaskudzone w środku miasta.

Prawda. Osiedla idą „graniami" wzgórz okalających miasto, ledwie widoczne z dołu, gdzie rozciąga się jedna z największych „starówek" w Europie: kompleks miejski układający się warstwami architektury w głąb historii po XIV wiek. Wrażenie tych historycznych związków pogłębia stan ruiny. Litwini ostrożnie wpuszczają tu obcy kapitał, który szybko doprowadziłby rzeczy do porządku, robiąc z zabytków hotele i banki; restaurują budynki punktowo, na ile stać, a stać ich na niewiele. Wielka szkoda! Możni tego świata powinni natychmiast zrobić „zrzutkę" na zachowanie tego miasta, które każdy Europejczyk obowiązkowo musi ujrzeć choć raz w życiu przed śmiercią. Z tego, co widziałam na Litwie, wyryte trwale w mojej pamięci pozostaje jedynie Wilno. Wilno jako całość w sensie urbanistyki i zbiorowości ludzkiej. Te perspektywy roztaczające się za każdym krokiem, te zaułki, te bramy, te przejścia, pełne przeszłości i współczesnego zwykłego życia. Wilno, raz zobaczone, wiąże człowieka

na zawsze. Mówię tu komunały. Moje świadectwo potwierdza jednak przekaz wyrażany tylekroć doskonalej w prozie i poezji.

Do Ostrej Bramy wiedzie mnie z daleka śpiew polski. Przesłaniana kościołami, Brama ukazuje się w ostatniej chwili. Zupełny brak monumentalizmu cechującego Jasną Górę! Zwyczajność. Prostota. To uderza. Nabożeństwo z okazji rozpoczęcia roku szkolnego, tłum ludzi, trzech celebrantów. W wąskiej nitce korytarzy do kaplicy ktoś w ścisku ściąga ze mnie szalik — skojarzenia z Jasną Górą narzucają się same: podobni jak tam pielgrzymkowi kieszonkowcy. Wreszcie, oko w oko z obrazem. Jaka młoda twarz! O ileż młodsza od Pani Jasnogórskiej, która wygląda jak babka dziecka trzymanego w ręku.

Po pospiesznym i chaotycznym z konieczności udeptaniu bruków Starówki i podłóg kościołów, kolej na obrzeża.

Rossa. Gdy stajemy przed „sercem" Piłsudskiego u stóp jego matki, dziewięcioletni Witek, polski chłopak mieszkający obok, oświadcza prędko, że może nas jeszcze zaprowadzić na grób brata i pierwszej żony Marszałka, oraz Lelewela, Syrokomli, ojca Słowackiego i dziadka Landsbergisa, co też czyni raz-dwa. Na pożegnanie oprócz gumy do żucia dostaje od nas pięć litów, którymi natychmiast dzieli się ze starszym kolegą. Młodociana mafia? Tak czy inaczej, można przyjąć, że zarabia lepiej od ojca w fabryce. Średnia pensja wynosi na Litwie ok. 300 litów, a bochenek chleba — ponad dwa.

Góra Zamkowa z basztą Giedymina, zapuszczona jak stare koszary. Drzewa u podnóża wyrosły tak wysoko, że dokładnie przesłoniły widok na miasto. Mało kto tu zagląda. Za to Plac Katedralny z dzwonnicą-wieżą u podnóża, oblepiony młodzieżą sączącą na murkach litewskie piwo z butelek, którego w restauracjach i prywatnych budkach nie uświadczysz, bo nie trzymają, za tanie. Ceny na produkty litewskie są regulowane, na obce — dowolne.

Wieczorem, do restauracji „Lokys" ulicą Tatarską. Chciałoby się ją zatrzymać w stanie półruiny, w jakiej jest, bo to sama malowniczość, pełna tajemniczego życia, gdyby nie lęk, że postępująca ruina doprowadzi ulicę Tatarską do zagłady.

Kelnerka w knajpie przeprasza za swoją polszczyznę, która wszakże, jak mówi, jest lepsza od litewskiego jej męża, tutejszego Polaka. Tutejszego Polaka zawsze poznać po akcencie, jak mówi po litewsku; litewski jest językiem nie do ogarnięcia. Dziewczyna oferuje nam w jadłospisie wieprzowi-

nę, wołowinę i... jeleninę. Wybieramy tę ostatnią, czyli sarninę. Doskonała. Tak samo jak obsługa, swobodna i fachowa. Ale gości brak. Dawniej do tej piwnicy ustawiały się kolejki, odkąd jednak ceny skoczyły, knajpy opustoszały.

Litwini żyją biednie. Widziałam, jak w sklepie mięsnym ludzie rozbierają wieprzowe serca, u nas raczej kupowane dla psów. W ogóle, rzadko jedzą mięso, chodzą w starych ubraniach, nie mówiąc już o samochodach, a dziewczyny, często o figurach modelek, dokonują cudów, żeby nosić się modnie. Nie zdołałam dociec, czy tęsknią za komuną. Sądząc jednak po ożywieniu, wyczuwalnym wszędzie, chyba umieją cieszyć się wolnością.

Na drugi dzień wizyta w *Kurierze Wileńskim*, zaskakująco przyzwoicie robionym dzienniku polskim. Nakład 10 tys. rozchodzi się niemal bez zwrotów. Choć redaktor naczelny, Zbigniew Balcewicz, z detalami obznajomiony z tym, co dzieje się w Polsce, na jedenaście kolumn, tylko jedną przeznacza na Polskę, resztę na kraj, czyli Litwę. Daje dwie kolumny przedruków z prasy litewskiej. W rubryce ogłoszeń czytam: „Gramy na weselach polskich, rosyjskich, litewskich", „Skupujemy złoto, platynę, rozliczamy się od razu", „Kupujemy i sprzedajemy walutę". Bardzo to różne od reklam polskich, bardzo zamerykanizowanych. *Kurier Wileński* dotuje państwo litewskie. Red. Balcewicz nie chce sprząc się z żadnym prywatnym polskim kapitałem. Był kiedyś wicemerem Wilna i ludzie mówią, że ma chody, ale trudno oprzeć się myśli, że jeśli państwo w pewnym momencie nie da, to gazeta padnie. A dawać wcale nie musi. Red. Balcewicz narzeka na młode stylistki, starsze znacznie lepsze...

Za to na osiemnastym piętrze tego prasowo-telewizyjnego wieżowca, w polskiej radiostacji „Znad Wilii" (zasięg 80 km) — sami młodzi. Związani z warszawskim radiem ZET, kapitałowo i programowo. Od Zetki przejęli styl — mocnego rocka przerywanego depeszami dnia. Ten rock przyciąga do audycji nawet Litwinów. Nie najszczytniejsza to może propaganda polskości, ale dobrze, że jest. Redaktorzy rzeczywiście bardzo młodzi; bezbłędna polszczyzna, z przedniojęzykowym „ł", w Polsce już nie słyszanym. Pewni siebie, wiedzą, czego chcą, i czego nie chcą. Nie chcą nadmiaru wiadomości z Polski. Przykładowo, wybór prezydenta, tak, to będzie *news*, ale nie są *newsem* przetoczki z warszawskiego Sejmu, które nikogo tutaj nie interesują. Mają swój Sejm, na miejscu. A tak naprawdę, bliżej im do Rosji, z którą łączą ich żywotniejsze w tej chwili niż z Polską interesy gospodarcze; toteż

o niej powinni obszerniej informować. Tak właśnie myślą. Czują się Polakami, ale stąd, i nie lubią pouczeń z Polski. Sami wiedzą, co dla nich lepsze. Tutejsza „konserwa" polska nazywa ich „zdrajcami". Głównym „zdrajcą" jest Czesław Okińczyc, szef radiostacji. Pamiętam go, jak płakał prawdziwymi łzami w polskiej telewizji, gdy jednostki OMONu atakowały parlament w Wilnie w roku 1991. Wtedy „konserwa" oskarżyła go, że płakał za Litwinami.

Myśląc o „konserwie", staje mi w oczach Dom Polski w samym sercu Starówki. Karygodnie zaniedbany. Wygląda tak, jakby Związek Polaków na Litwie celowo wystawiał swoją biedę na pokaz. Podobno, pan Moskal z Polonii Amerykańskiej dał milion dolarów, ale gdy przyjechał po rozliczenie, spotkał się z oburzeniem: jak to, żąda się od nich rachunków?! Stelmachowski rachunków nie wymaga, daje „po uważaniu".

Podział postaw na „młodych" i „starych" bardzo wyraźny. Ostatnio dał o sobie znać w kwestii uniwersytetu. „Konserwa" chce odrębnego uniwersytetu polskiego, podczas gdy „młodzi" uważają, że wystarczy porządna katedra polonistyki na Uniwersytecie Wileńskim. Absolutnie się z nimi zgadzam. (Biorę w cudzysłów przymiotniki „młodzi i starzy", bo nie zawsze pokrywają się z kategorią wieku.)

Wszystko inne, co pozostaje mi w pamięci z dalszej podróży, jest już tylko dalekim echem, odbiciem Wilna.

Zapamiętane z Kowna: skromna, prosta w linii Starówka; trochę funkcjonalnego budownictwa międzywojennego, kiedy Kowno było stolicą; miejsce wystąpienia Jana Pawła II, pokazywane skwapliwie przez pobożnych Litwinów (bardzo tu naszego Papieża kochają), oraz maksymalnie zatłoczony deptak, czyli Aleja Wolności. Za mało, wszędzie za mało kawiarń, do których ludzie się garną, ale tam gdzie są, kawa wyśmienita, daleko lepsza niż u nas.

Z autostrady: budki z „cepelinami", robionymi na oczach i spożywanymi przez podróżnych przy stolikach z parasolami. Są to podłużne pyzy nadziewane mięsem i polewane śmietanowym sosem. Doskonałe. Kosze mirabelek, po których u nas się depcze, sprzedawane tu jako szlachetne owoce.

Z Kłajpedy: ciągnąca się w nieskończoność jedna ulica wzdłuż wybrzeża. Wojna zrównała Kłajpedę z ziemią i wyludniła. Tutejsi mówią, że na początek ostało się w mieście tylko siedmiu Litwinów, w tym czterech pijanych.

Z nadmorskiej Palangi, czyli po naszemu, Połągi: no, Ostenda Północy to nie jest, jak zapewniał Jerzy Timoszewicz,

ale czysto, bardzo czysto. Ani śladu tego upokarzającego brudu plaży, w jakim coraz bardziej pogrąża się nasze Wybrzeże. Ostatnio o Palandze na Litwie głośniej z powodu roszczeń hrabiego Tyszkiewicza, potomka tego, który Palangę w XIX wieku stworzył jako kurort. Gazety doniosły, że domaga się małego domku w tej miejscowości. „Niechby dostał", mówią Litwini.

O wielkiej urodzie natury można natomiast mówić w odniesieniu do pobliskiej Mierzei Kurońskiej. Prom, którym docieramy z Kłajpedy na jej cypel, pełen jest dzieci z wielkimi plastykowymi wiadrami — na grzyby! Jazda 45 km dziewiczym lasem, na końcu którego osada Nida. Po obu stronach morze. Coś jak nasz Hel, tylko trzy razy dłuższy, dzikszy i pokryty wysokimi na kilkadziesiąt metrów wydmami o przedziwnych kształtach. Tak zwana, Sahara Litewska. Poczucie ciszy i całkowitego wyodrębnienia. Tym większego dla Litwinów, że tuż za Nidą granica z Okręgiem Królewieckim, czyli Rosją, do którego oni obecnie potrzebują wiz. My nie potrzebujemy, ale po namyśle odrzucamy ewentualność powrotu do Warszawy drogą o połowę krótszą przez Królewiec i przejście graniczne w Bartoszycach, bo boimy się Rosjan, z nimi nigdy nic nie wiadomo.

Zawracamy więc i jedziemy drogą okrężną, zahaczając o Druskienniki — w ten sposób „wyleczając się" z Druskiennik. Trudno opisać spustoszenia, jakie w krajobrazie może poczynić komunistyczna architektura! Niemna nie widać zza ponurych „budów" socrealizmu. Oby miłosierna, a bujna tu natura czym prędzej to paskudztwo zarosła! Natomiast frustracja, ksenofobia i niechęć miejscowych, okazywane jedynie tutaj, wobec snujących się łańcuszkami po parku zdrojowym tłumów polskich kuracjuszy są dobrą ilustracją mechanizmu porządku komunistycznego w stosunkach międzyludzkich. Bo gdyby sanatoria, zabiegi i cały pobyt były w rękach prywatnych, cieszyłby tu każdy nowy przybysz, jak cieszy w tego typu miejscowościach na Zachodzie. Niestety, usługodawcy są tu na nędznych państwowych pensjach. Co raczej może dziwić, to fakt, że w tej sytuacji, niezależnie od emocji, Litwini wykonują te zabiegi niesłychanie sumiennie, czego namacalnym dowodem jest nie słabnący run Polaków na Druskienniki. Rezerwacje na letnie miesiące trzeba robić w polskich biurach podróży w styczniu.

Za ostatnie lity nie bez trudu kupujemy razowiec „boczu" i 75-procentową nalewkę litewską o nazwie „Żalgiris", czyli „Grunwald". Resztówkę dajemy dwunastolatkowi, który nalewa benzynę i objaśnia drogę. Skacze z radości wołając: „oczeń, oczeń dziękuję!"

Przejścia graniczne to osobny temat. Codziennie przywoływany w Polsce przez specjalny komunikat przy porannych radiowych wiadomościach. Ogrodniki, czyli granica z Litwą, nie spadają w tej taryfie niżej dwunastu godzin oczekiwania, często jest ich trzydzieści. A jak jest naprawdę? Ten tylko się dowie, kto przeczekał.

My nie czekamy, ale nie bez zażenowania wklinowujemy się w kilometrową podwójną kolejkę na pełnym gazie. Mamy przepustkę od Litwinów na jazdę poza kolejnością, ale głupio. Gdy wreszcie dojeżdżamy do oka cyklonu, czyli do odprawy polsko-litewskiej, okazuje się, że granica jakby nie pracowała; nie widać ani przepływu pojazdów, ani rozbebeszania bagażu, ani żadnej kontroli. Nic. Wszystko stoi. Czekać! Zastajemy wopistów i celników siedzących na ławeczce. Jeden najspokojniej mówi, że czasem pojazd musi postać i z tydzień — „to handlarze..." Wobec takich słów i takiej sytuacji, choćby się bardzo nie chciało, trudno opędzić się logicznie nasuwającej się myśli, że te służby z kolei czekają na nic innego, jak na łapówki.

W ostatnim pięcioleciu zmieniło się u nas kilka garniturów władz celnych; ostatnio, pierwszym celnikiem został Ireneusz Sekuła, główny ekonomista w rządzie Rakowskiego. Ale trudno za stan rzeczy winić jedynie polską postkomunę. Metoda „na przeczekanie" cechuje równie dobrze litewskie straże, co tym bardziej dziwi, bo przecież Polska jest dla nich najlepszym oknem na świat, jeżdżą do nas bez wiz. Może nie chcą, żeby ich zajeździli polscy turyści?

W rezultacie kraje Europy Wschodniej są państwami półzamkniętymi z własnej woli.

Po polskiej stronie jeszcze dłuższa kolejka. Z Litwy Litwini ciągnęli za samochodami puste wózki, teraz ciągną do siebie na tych wózkach samochodowy złom, jaki my ciągnęliśmy z Zachodu przed paru laty.

Jadąc przez Polskę, w rozmowie intensywnie dodajemy do słów końcówkę „as" w złudnym przeświadczeniu, że brzmi to z litewska. Chcemy w ten sposób dłużej zachować Litwę w sobie. O jedenastej w południe wyruszyliśmy z Połągi, o jedenastej wieczorem jesteśmy w Warszawie. 800 km. Nie najlepszy czas, ale balowało się po litewskiej stronie.

7 września 1994

Ewa BERBERYUSZ

Sprawy i troski

Rozmowa ze Stanisławem Macionisem*

Wojciech Popławski: — *W Polsce przeprowadzana jest powoli reforma administracji państwowej. Dlatego chciałbym porozmawiać z Tobą o administracji Stanu Queensland. Proponuję, by na wstępie przedstawić się czytelnikom KULTURY.*

Stanisław Macionis: — Moje kwalifikacje zawodowe są następujące. Uzyskałem stopień *honours*[1] na wydziale inżynierii oraz magisterium w dziedzinie gospodarki przedsiębiorstwami (*business management*). Pracowałem ponad 20 lat w administracji federalnej najpierw jako inżynier a potem na stanowiskach menedżerskich. Od 4 lat pracuję na obecnym stanowisku w administracji stanowej.

W.P.: — *Ja uzyskałem doktorat w inżynierii środowiska w Polsce. Pracuję na stanowisku menedżera d/s jakości wody w Departamencie Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Wodnej. Jestem tzw. menedżerem liniowym (średniego szczebla). Ty jesteś w grupie* Senior Executive Service *(najwyższy szczebel). Powiedz mi jak wygląda procedura selekcji pracowników Twojej grupy? Czy nominacja na takie stanowisko jak Twoje ma charakter polityczny?*

* Zastępca dyrektora generalnego Departamentu Więziennictwa i Zakładów Poprawczych Stanu Queensland.

1. *Bachelor with honours* nie ma odpowiednika w Polsce. Jest to stopień wyższy niż inżynier a mniej niż magister. Wymaga czterech lat studiów i napisania dysertacji.

S.M.: — Absolutnie nie. Pozycja taka jak moja jest niemal zawsze ogłaszana w prasie na terenie całej Australii a nie tylko w prasie queenslandzkiej. Podania rozpatrywane są przez specjalnie nominowany zespół, który dokonuje selekcji (*short listing*). Wyselekcjonowani kandydaci odbywają rozmowę, po czym ich referencje są dokładnie sprawdzane. W moim przypadku członkami zespołu byli: dyrektor generalny naszego departamentu, przewodniczący rady nadzorczej[2] departamentu oraz członek komisji administracji stanowej[3]. Czasami członkiem zespołu może być zewnętrzny doradca albo wysoki rangą urzędnik innego departamentu. Ja jestem związany kontraktem pięcioletnim, który może być odnowiony. Kontrakt może być rozwiązany w każdym momencie, jeżeli ocena mojej działalności jest negatywna albo jeżeli z różnych powodów przestanę być potrzebny mojej organizacji. Należy dodać, że w Queensland jest coraz mniej pozycji kontraktowych. Niemniej szefowie departamentów i ich zastępcy pozostaną na kontraktach. Wszyscy pozostali pracownicy administracji będą zatrudniani na stałe (*tenure*).

W.P.: — *Moja sytuacja jest nieco inna. Moje stanowisko zostało również ogłoszone w prasie na terenie całej Australii. W zespole selekcyjnym uczestniczyli mój szef, szef mojego szefa oraz menedżer z Departamentu Ochrony Środowiska. Procedura usunięcia mnie z pracy w przypadku niewywiązywania się z nałożonych obowiązków trwa około 18 miesięcy. Dlatego dla usunięcia niewygodnych urzędników stosuje się inne metody, np. reorganizację części bądź całości departamentu. Wiąże się to zawsze z likwidacją danego stanowiska i ogłoszeniem w prasie innego o zbliżonym charakterze. W ten sposób delikwent nie ma wyboru, musi ubiegać się o nowo utworzone stanowisko jak każdy inny kandydat. Koszt każdej z tych operacji jest z reguły wysoki dla organizacji.*

Chciałbym Ci teraz zadać następujące pytanie. Załóżmy, że po wyborach następuje zmiana rządu. Czy kontrakt z Tobą może być w tej sytuacji zerwany?

S.M.: — Oczywiście i to bez podania powodów. Tyle tylko, że zerwanie wiąże się z koniecznością wypłaty poborów do koń-

2. Tylko niektóre departamenty mają rady nadzorcze.

3. Komisja nadzoruje działalność całej administracji, np. zaleca liczebność personelu departamentów, ustala priorytety działania poszczególnych departamentów i nadzoruje zgodność ich działania z polityką rządu stanowego.

ca kontraktu. Tak jak powiedziałeś, usunięcie urzędnika zatrudnionego na stałe jest o wiele trudniejsze i dlatego obecny rząd zmniejsza ilość pozycji kontraktowych chcąc zapewnić poczucie bezpieczeństwa pracownikom administracji.

W.P.: — *Z tego co powiedziałeś wynika, że w przeciwieństwie do zwyczajów w Stanach Zjednoczonych wraz ze zmianą ekipy rządzącej nie następuje u nas wymiana wysokich urzędników administracji.*

S.M.: — Istotnie na ogół nie. My działamy zgodnie z zasadami systemu westminsterskiego. To znaczy, administracja jest niezależna od układów politycznych. Nasze zadanie to służenie radą i obiektywną informacją każdej partii przy władzy niezależnie od jej charakteru politycznego. Niestety trzeba stwierdzić, że w ostatnich latach jest więcej ludzi na wysokich stanowiskach, szczególnie w instytucjach centralnych (bezpośrednio obsługujących rząd), zatrudnionych ze względu na powiązania partyjne. W mediach ukazała się wzmianka, że w ostatnich 12 miesiącach zatrudniono na wysokich stanowiskach administracyjnych znane osobistości z Partii Pracy, które nigdy przedtem nie zajmowały wysokich stanowisk w administracji. Pragnę podkreślić, że miało to miejsce w ostatnich miesiącach a Partia Pracy jest przy władzy w Queensland od czterech lat.

W.P.: — *Przejdźmy teraz do innego tematu. Za czasów rządów partii konserwatywnej zadaniem mojego departamentu było służenie przede wszystkim rolnictwu a w mniejszym stopniu rządowi. W związku z tym struktura departamentu była inna. Było więcej służb doradczych i większy nacisk rząd kładł na prace badawcze. Ostatnio powiedziano nam bez ogródek, że mamy służyć przede wszystkim rządowi a rolnictwu tylko za pośrednictwem rządu. W związku z tym jest proporcjonalnie więcej planistów niż agronomów, co często wywołuje niezadowolenie wśród rolników. Sytuacja Twojego departamentu jest nieco inna ze względu na waszą „klientelę". Jak to wygląda?*

S.M.: — Tak masz rację. Nasi „klienci" są inni. To więźniowie i ludzie z zawieszonymi wyrokami przebywający pod pewnym nadzorem wśród społeczeństwa. Są również i podobieństwa do waszej sytuacji. Nam również powiedziano całkiem jasno, że mamy służyć społeczeństwu naszego stanu za pośrednictwem jego wybranych przedstawicieli. W konsekwencji wypracowane przez nas strategie nie są wdrażane przez

rząd, bo sprawy więziennictwa w odczuciu społecznym są drugoplanowe. W efekcie środki finansowe, które dostajemy, są niewystarczające. Podsumowując, rzeczywiście nasza „klientela" jest specyficzna ale jednocześnie rząd wpływa decydująco na naszą działalność.

W.P.: — *Czy chciałbyś podsumować teraz blaski i cienie zmian jakie nastąpiły w ostatnich latach w administracji? Wydaje mi się, że to może mieć istotne znaczenie dla nowej administracji publicznej w Polsce.*

S.M.: — Spróbuję podsumować następująco. Od szeregu lat Canberra zmieniła system finansowania administracji. Obecnie finansowane są programy, które są realizowane przez departamenty. Ten system został przyjęty również przez rząd Queenslandu. W związku z tym rząd wymaga większego wysiłku przy formułowaniu planów oraz lepszej sprawozdawczości. Osobiście sądzę, że to podejście ma swoje dobre i złe strony. Plusem jest, że dobre sformułowanie programu pozwala jasno wytknąć cele, do których organizacja powinna dążyć przy realizacji danego programu. Niewątpliwie łatwiej wtedy sprawdzać wykonywanie programu pod względem merytorycznym i finansowym. Personel może się skoncentrować na sprawach zasadniczych. Minus i poważne niebezpieczeństwo to łatwość w rozbudowaniu kompleksu planistyczno-sprawozdawczego ze szkodą dla grup obsługujących klientów (*service providers*). W ten sposób bardzo łatwo można zużyć znaczne środki na planowanie zamiast na właściwe usługi. W tym przypadku ważne, aby utrzymać delikatną równowagę w obu sferach działalności. Niewątpliwie istnieje społeczna presja, żeby rozliczać administrację. Muszę jednak przyznać, że nasze planistyczne wysiłki przyniosły nie najlepsze wyniki. Nie zawsze to co jest zapisane w planach odzwierciedla codzienną działalność pracowników.

W.P.: — *Uważam, że to co powiedziałeś jest bardzo ważne dla administracji każdego szczebla w Polsce, szczególnie, że po blisko 50 latach systemu nakazowo-rozdzielczego złe nawyki są głęboko zakorzenione. Jakie masz zdanie na temat tak modnych w Australii megadepartamentów?*

S.M.: — Sądzę, że powodem utworzenia dużych departamentów była chęć zmniejszenia liczby ministrów do ilości umożliwiającej sprawne działanie rządu. Można chyba założyć,

że podatnicy uznali to za słuszne. Prawie na pewno podobało to się wielu politykom.

Osobiście uważam, że duże departamenty nie sprawdziły się w działaniu z dwóch powodów. Po pierwsze jest bardzo trudno rozliczyć megadepartament z działalności. Po drugie wydajność pracy jest niższa ze względu na trudności w rozliczaniu. Moim zdaniem departamenty nie powinny być zbyt małe, bo wtedy jest dużo ministrów i trudno osiągnąć to co po angielsku nazywa się economy of scale. Nie wierzę, żeby megadepartamenty były dobrym rozwiązaniem.

W.P.: — *Osobiście nie widzę powodów, dlaczego ministrowie nie mieliby mieć kilku tek. Przecież w ten sposób mogą uzyskać lepszą informację od naczelnych kilku departamentów a nie jak obecnie od praktycznie jednego człowieka.*

S.M.: — Masz rację, ale tylko do pewnego stopnia. Mój minister ma dwie teki: policję i więziennictwo. Oba departamenty są duże i ciągle pod obstrzałem środków masowego przekazu. Musi on podejmować decyzje dotyczące skomplikowanych problemów będąc cały czas pod silną presją. W tej sytuacji łatwo o błędy.

W.P.: — *Prasa podała parę lat temu, że jedno więzienie sprywatyzowano. Czy posunięcie to zdało egzamin?*

S.M.: — To interesująca sprawa. Queensland był pierwszym stanem w Australii, który oddał więzienie w ręce prywatne. Więzienie to zostało sprywatyzowane przez poprzedni, konserwatywny rząd. Posunięcie to było wbrew tradycyjnej linii Partii Pracy. Niemniej kiedy obecny rząd doszedł do władzy okazało się, że eksperyment ten zdaje egzamin. Dlatego nie zmieniono decyzji. Obecnie mamy dwa więzienia w prywatnych rękach. Pierwsze więzienie jest niewątpliwie najlepsze w Queensland, a być może nawet w Australii. Można je określić jako modelową instytucję rehabilitacyjną. Z drugim mamy drobne kłopoty, ale jest to trudniejsza instytucja do prowadzenia. Operacyjnie — duży sukces. Bodajże ważniejsze, to wprowadzenie konkurencji. Z pojawieniem się prywatnych więzień również styl pracy w państwowych więzieniach uległ zmianie. Obecnie więzienia pod naszą administracją są znacznie lepiej prowadzone. Ludzie zdali sobie sprawę, że jeżeli nie nastąpi poprawa to sprywatyzujemy dalsze instytucje. Okazało się również, po wyeliminowaniu wielu mało wydajnych praktyk, że obecnie koszt prowadzenia tych instytucji

został obniżony przy utrzymaniu a nawet podniesieniu standardu działalności rehabilitacyjnej. Uważamy, że eksperyment się udał, ale nie mamy zamiaru sprywatyzować wszystkich więzień. Uważamy, że układ mieszany jest optymalny.

W.P.: — *Przyznaję, że mam pewne wątpliwości. Przecież prywatne przedsiębiorstwa są nastawione na maksymalizację zysku. To może doprowadzić do przymykania oczu na „niedociągnięcia". Jak sobie z tym radzicie?*

S.M.: — Kontrakty są precyzyjnie formułowane i egzekwowane. Oni wiedzą, że jeżeli będą niedociągnięcia to kontrakt nie zostanie odnowiony.

W.P.: — *Nie wiem czy wiesz, że w Polsce wojewoda jest mianowany przez rząd a wojewódzki sejmik jest wybierany tak jak w Australii. To znaczy władzę wykonawczą w województwie sprawuje biurokrata a nie polityk. Co o tym sądzisz?*

S.M.: — Nie wiedziałem. Trudno mi się wypowiadać na ten temat. Odpowiem ogólnie. Demokracja wtedy działa dobrze, jeżeli decyzje na każdym szczeblu zarządzania — federalnym, stanowym i lokalnym — podejmują politycy tzn. osoby wybrane przez społeczeństwo. Służby administracyjne powinny wykonywać decyzje polityków.

W.P.: — *Ostatni temat. Dużo się mówi w Polsce na temat podniesienia statusu administracji państwowej. Mówi się o starannej selekcji i o lepszych wynagrodzeniach po to, by pracę w administracji uczynić atrakcyjną dla wartościowych ludzi. Myślę, że zgodzisz się że mną, że we wszystkich krajach demokratycznych administracja jest traktowana jako zło konieczne, bo finansowana jest z kieszeni podatnika. Niemniej status pracownika administracji jest wysoki, mimo że płace są niższe niż w sektorze prywatnym. Nie ma problemu z naborem dobrych pracowników. Moim zdaniem dzieje się tak, bo społeczeństwo wie, że zasadniczo administracji nie używa się do „naukowego" uzasadniania decyzji politycznych. Powiedziałem — zasadniczo, bo pokusa istnieje i niestety znamy wypadki, na szczęście sporadyczne, niewłaściwego wykorzystywania administracji przez polityków. Druga przyczyna atrakcyjności służb administracyjnych, to mniejsze prawdopodobieństwo utraty pracy. Przy bezrobociu w Australii około 11% jest to duża zachęta. Kolejną przyczyną atrakcyjności jest percepcja w społe-*

czeństwie o uczciwości i obiektywizmie służb administracyjnych. Przykład — farmerzy zwracają się o poradę raczej do nas aniżeli do producentów nawozów sztucznych, bo wiedzą, że nie będziemy ich zachęcać do kupowania nadmiernej ilości tych chemikaliów. Naszym obowiązkiem jest pomoc w maksymalizacji plonów i jednocześnie ochrona zasobów wodnych przed zanieczyszczeniem. Myślę, że zgodzisz się ze mną, że korupcja w naszej administracji nie jest tolerowana.

S.M.: — Tak, to są słuszne uwagi.

Rozmowa została przeprowadzona w Brisbane w języku angielskim.

Rozmowę nagrał na taśmę i tłumaczenia dokonał

W. POPŁAWSKI

MARC S. FRANCISZKOWSKI

LETTRES SLAVES

LIBRAIRIE — EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS

Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

●

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową

●

Na życzenie wysyłamy katalogi

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Koniec sierpnia 1994 zapisze się w dziejach Rosji. Rosyjscy żołnierze opuścili Niemcy, w których stacjonowali pięćdziesiąt lat, i wyprowadzili ostatnie swe pułki z Nadbałtyki. Na tym skończyła się druga wojna światowa i skończyło się imperium sowieckie, następca imperium rosyjskiego. Leopold Unger odnotował z zadowoleniem w *International Herald Tribune* (2.9.94), że dzisiejsze państwo rosyjskie wróciło do granic sprzed trzystu lat, tj. przed unią z Ukrainą. W rzeczywistości obecne rosyjskie granice są gorsze niż w roku 1654, kiedy Bohdan Chmielnicki oddał Ukrainę pod „wysokie berło cara rosyjskiego". Dzisiejsze granice odpowiadają mniej więcej granicom Moskowii za Iwana Groźnego w drugiej połowie XVI wieku.

Może dlatego, że imperium rozpadało się znienacka i — jeśli nie liczyć konfliktów na obrzeżach — bezboleśnie — może dlatego, że Rosjanie jeszcze nie uprzytomnili sobie ogromu straty, ostatnie wycofanie wojsk przebiegło niezwykle łagodnie. Borys Jelcyn, obecny na ceremonii w Berlinie, po ostatniej paradzie i złożeniu wieńca pod Pomnikiem Żołnierza Radzieckiego, wesoło zaintonował wraz z chórem: *Kalinka, Kalinka, Kalinka moja...* Miejmy nadzieję, że tą żwawą pieśnią prezydent Rosji pożegnał imperialną przeszłość swego kraju i powitał inną przyszłość.

Formalnie Rosja stała się imperium w 1721 roku, kiedy po zwycięstwie nad Szwedami senat nadał Piotrowi I tytuł imperatora. W rzeczywistości już po 1552 roku, kiedy Iwan Groźny zdobył Kazań i, mniej więcej w tym samym czasie, podbił Sybir, państwo rosyjskie stało się imperium. Tytułu imperatora użył po raz pierwszy Dymitr Samozwaniec, nieszczęsny małżonek Maryny Mniszech.

Ten krótki przegląd historyczny podaję po to, aby zapytać, czy Rosja pogodzi się z obecnymi granicami i utratą Morza Bałtyckiego i Czarnego, o które przez stulecia walczyła. Nie jestem jasnowidzem, przyszłości czytać nie potrafię, odpowiedzi na to pytanie nie znam. Mogę tylko szukać analogii w dziejach Rosji. Angielski historyk Arnold Toynbee, który tłumaczy dzieje cywilizacji zdolnością społeczności ludzkich do znajdowania odpowiedzi na wyzwania, jakie rzuca im przyroda albo sąsiedzi, m.in. w historii Rosji znalazł potwierdzenie swych poglądów. Pisząc o „potężnym nacisku Zachodu na XVII-wieczną Rosję", który zaprowadził polskie wojska pod Moskwę i oddał Szwedom brzegi Bałtyku, Toynbee stwierdza: „Na ten napór Piotr Wielki odpowiedział w 1703 roku budową Petersburga na terenach, które odbił Szwedom".

Można więc, idąc za myślą Toynbee, zastanawiać się, czy Rosja znajdzie dziś odpowiedź na wyzwanie, które przed nią stoi. Jeśli tak, to jaką? Tradycyjną, która już wiele razy pozwoliła jej odbudować potężne państwo, czy też nowatorską, powiedzmy — demokratyczną?

Odpowiedzi na to pytanie nikt dziś nie zna, ale wydarzenia wskazują, w jakim kierunku toczą się zmiany i czego pragnie społeczeństwo.

W trzecią rocznicę sierpniowego puczu 1991 kolegium wojskowe Sądu Najwyższego uniewinniło uczestnika Państwowego Komitetu ds. Stanu Wyjątkowego, generała Warennikowa. Generał, aresztowany razem z innymi puczystami, razem z nimi zwolniony i razem z nimi ułaskawiony na początku bieżącego roku, zrezygnował z łaski i zażądał sądu. Na sądzie prokurator odmówił oskarżania podsądnego. Powody tej decyzji wprawiły w osłupienie nawet rosyjskich prawników. Po pierwsze, oświadczył prokurator i pułkownik Daniłow, „nie istnieje ani przedmiot przestępstwa — ZSSR, ani jego podmiot — obywatel ZSSR". W obliczu nicości trudno nawet mówić o możliwości przestępstwa, a co dopiero o przestępstwie. Prawnicy osłupieli, bo świadomie lub nie, prokurator Daniłow obalił zasadę ciągłości prawnej między ZSSR i Rosją, przy której — kiedy trzeba — obstają przedstawiciele Rosji. Ponadto, co jeszcze dziwniejsze, pułkownik oświadczył, że nie żywi do podsądnego pretensji, bo stał on „w obliczu najwyższej konieczności", chciał zapobiec „niebezpieczeństwu, grożącemu interesom państwa sowieckiego i ogółu". Niebezpieczeństwem tym był układ między republikami związkowymi, który miano podpisać 20 sierpnia 1991.

Innymi słowy, generał Warennikow chciał zapobiec najgorszemu, czyli rozpadowi imperium sowieckiego. W obliczu takiej groźby wybacza się nawet zbrojny bunt i przewrót państwowy.

20 sierpnia odbyła się w Moskwie pod auspicjami kancelarii prezydenckiej konferencja naukowo-praktyczna pt. „Nauczki sierpnia 1991 a władza". Borys Jelcyn nadesłał tekst, w którym m.in. oświadczył: „Trzeba przyznać, że wciąż jeszcze nie powiedziano całej prawdy o puczu". Puczu, który był główną legitymacją władzy Jelcyna, bo to on odegrał decydującą rolę w jego unicestwieniu. Jeśli więc nie znamy prawdy o puczu, jeśli kolegium wojskowe nie uważa go za przestępstwo, to wypada zapytać, skąd się wzięły dzisiejsze władze rosyjskie.

Podkreślam, że chodzi o kolegium wojskowe. W sierpniu — z rozmaitych powodów — wiele mówiono o generałach. Miesiąc temu cytowałem słowa premiera Czernomyrdina, że „Rosja doszła w stosunkach z Czeczenią do etapu konkretnych decyzji". Decyzje najwyraźniej zostały podjęte: w Czeczenii toczą się walki. Opozycja wobec prezydenta Dudajewa uzbroiła swoich stronników w czołgi, o których poplecznicy Dudajewa mówią, że nie tylko pochodzą z Rosji, ale i znajdują się w rękach rosyjskich żołnierzy. Obficie wypowiadał się w prasie i telewizji barwny generał Lebied, dowódca 14-ej armii, która stoi w Naddniestrzu, zamieszkałej głównie przez Rosjan części Mołdawii, która ogłosiła niezależność. Moskwa i Kiszyniów podpisały układ, zgodnie z którym wojska rosyjskie pozostaną w Mołdawii jeszcze trzy lata. Jednocześnie, jak można przypuszczać, osiągnięto porozumienie w sprawie wycofania 14-tej armii. Generał Lebied rwie się do boju i zapowiada katastrofę, jeśli każą mu wycofać się. Armia, która wyszła z Niemiec, nie ma pojęcia, dokąd ją skierują. Żołnierze się specjalnie nie martwią — namioty zawsze się znajdą. Ale mieszkań dla oficerów nie ma. Z domów, które miano wybudować za pieniądze rządu niemieckiego, stanęła tylko jedna trzecia.

Wiele się pisze i mówi o kradzieżach, korupcji i związkach z mafią dowództwa armii stacjonującej w Niemczech. Jej były dowódca, generał Matwiej Burłakow, został mianowany wiceministrem obrony.

Wiara w cuda była jeszcze ważniejszym instrumentem systemu sowieckiego aniżeli terror. Ludziom sowieckim wciąż obiecywano raj: niech się tylko skończy industrializacja, kolektywizacja, niech wzejdzie kukurydza... Dziś obiecuje im

się akcje. Akcje są lepsze od industrializacji i kukurydzy, bo w ogóle nie trzeba pracować. Bank MMM wprawdzie upadł, ale po dziś dzień tysiące akcjonariuszy wierzy, że się odrodzi. Upadł bank „Rosyjski Dom Selenga", za to rośnie mir akcji spółki akcyjnej „System Tele-Market". Tysiącrublowa akcja przynosi — obiecuje „System" — 100 rubli na dzień, 700 na tydzień, 3000 na miesiąc, 36.500 na rok. A gdyby tak kupić dwie akcje?

W styczniu bieżącego roku Wiktor Czernomyrdin pozbył się ministrów, zwanych reformatorami, i ogłosił program szczodrych wydatków. Inflacja nam nie straszna, zapewnił premier. W rzeczywistości przez minione siedem miesięcy robił to, co zalecał Gajdar. Jakie są wyniki? Wszyscy zgadzają się, że życie się nie pogorszyło. W sierpniu premier ogłosił, że tempo spadku produkcji zdecydowanie zmalało, w lipcu było wręcz równe zeru. Skończył się spadek, wypada czekać wzrostu. Ale liczby — oficjalnie — nie potwierdzają optymizmu Czernomyrdina. Przez siedem miesięcy 1994 roku poziom produkcji przemysłowej spadł o 25,8 %. Rok temu spadek — też za siedem miesięcy — wynosił 16,2 %.

Liczby i procenty to rzecz zdradliwa: bywają oficjalne, bywają nieoficjalne, bywają fałszywe, bywają pół prawdziwe, pół fałszywe... Amerykański sowietolog Marshall Goldman, specjalista od gospodarki sowieckiej, który w swoim czasie pokładał wielkie nadzieje w Gorbaczowie i jeździł do Moskwy z radami, opublikował w *New York Times*'ie artykuł pt.: „Interesy z Rosją? Na razie nie!" Amerykański ekspert przytacza sześć powodów, dla których należy się — na razie! — wstrzymać od interesów z Rosją. Po pierwsze, ok. 80 % firm prywatnych znajduje się pod kontrolą kryminalistów, którzy już zaczęli ściągać haracz i nawet domagają się formalnego partnerstwa z zagranicznymi firmami w Rosji. Po drugie, zwyczajna przestępczość, przede wszystkim kradzieże. Po trzecie, brak elementarnych warunków dla działalności przedsiębiorstw (nawet samoloty nie latają, a jeśli już uda im się wznieść w powietrze, to spadają). Po czwarte, brak systemu bankowego. Po piąte, brak lub nieposzanowanie ustaw ogólnych i handlowych. Wreszcie, po szóste, niedorzeczny system podatkowy, który nie dość że jest „najbardziej krwiożerczy na świecie", to na dodatek jeszcze co dzień się zmienia. Niektórzy przedsiębiorcy obliczyli, że w sumie państwo żąda od nich 120% podatku od dochodu.

„Przyczyny" Marshalla Goldmana wiernie odzwierciedlają gospodarczy pejzaż Rosji. Niektóre z tych braków doskonale

można by zlikwidować, gdyż są — jak mawiano w socjalizmie — trudnościami wzrostu. Inne powody trudności ekonomicznych są znacznie trudniejsze do rozwiązania aniżeli, na przykład, reforma systemu podatkowego. Do dziś np. nie wiadomo, co zrobić z ziemią. Kwestia rolna, której Rosja przez setki lat nie umiała rozwiązać, znów stoi na porządku dnia. Po pierwsze, rozwiązać trzeba zadania bieżące: zboże jest (urodzaj tego roku był znośny), ale — z rozmaitych powodów — nie ma jak go zebrać ani składować. Po drugie, trzeba znaleźć odpowiedź na pytanie, jak prywatyzować ziemię (niektórzy są temu przeciwni) i co zrobić z kołchozami i sowchozami, które nadal są głównymi producentami zboża.

Dzisiejsze dyskusje o ziemi i chłopach zdumiewająco przypominają debaty, które toczono w Rosji począwszy od XVIII wieku: czy należy dać wolność chłopom pańszczyźnianym (u pana żyje im się spokojnie), a jeśli tak, to czy nadać im ziemię, czy nie? Czy może powinni ziemię wykupić? Ale skąd wezmą na to pieniądze? Dziś mówi się: nie należy rozwiązywać kołchozów i sowchozów, które dają chłopom schronienie, mogą sobie nawet pozwolić na to, żeby nic nie robić. Ale jeśli je rozwiązać, to czy nadać chłopom ziemię, czy zostawić ją przewodniczącym? 24-go sierpnia zebrał się w Moskwie Wszechrosyjski Zjazd Chłopstwa. Decydującą rolę odegrał na nim przewodniczący rosyjskiej partii agrarnej, 60-letni agronom, wieloletni dyrektor sowchozu, deputowany do Dumy Michaił Łapszyn. W imieniu partii agrarnej zażądał od państwa pomocy dla kołchozów i sowchozów, potępił „antychłopską politykę Jelcyna" i groził utratą milionów głosów chłopskich. Agrariusze są wrogami kapitalizmu.

Kapitalizm mimo to stopniowo podminowuje socjalistyczne idee. Cerkiew prawosławna podpisała z kalifornijskim biznesmanem umowę (biznesman najwidoczniej nie zdążył przeczytać artykułu Marshalla Goldmana) o wspólnej produkcji butelek, do których będzie się wlewać wodę ze świętego źródła pod Kostromą.

Na Zachodzie przeprowadza się systematycznie badania opinii publicznej przed wyborami. W Rosji sondaże regularnie dotyczą drogi, jaką ma wybrać kraj i jego obywatele. Moskwiczanie, których w rocznicę puczu pytano, co myślą o kapitalizmie, odpowiadali dość pesymistycznie. Tylko 30 % indagowanych uważa, że kapitalizm polepszy ich sytuację życiową. Prawda, że rok temu w świetlaną przyszłość wierzyło zaledwie 26 %. Dziś 23 % spodziewa się, że będzie im gorzej.

Ten odsetek, ok. jednej czwartej społeczeństwa, odnajdujemy i w innym, wszechrosyjskim sondażu, w którym pytano obywateli, czy uważają, że jedynym wyjściem z sytuacji jest wprowadzenie dyktatury. Zwolennicy dyktatury — sondaż trwa już dwa lata — stanowią 25-30 %. Przeciwnicy — 40-50 %. Wyniki tego sondażu wskazują — nie jest to fakt bez znaczenia — że „pinochetowcy", jak socjolodzy rosyjscy nazywają zwolenników dyktatury, to na ogół ludzie ubodzy i w średnim wieku. Przywódcy nie mają. Jedynymi kandydatami na ich wodza wydają się generał Ruckoj i Władimir Żyrynowski, ale 46 % „pinochetowców" płci męskiej nie ufa Ruckiemu, a 53 % — Żyrynowskiemu. Wśród kobiet procenty te są jeszcze wyższe.

Socjolodzy podkreślają, że zwolennicy autorytarnych rządów nie mają jednego, ogólnie uznanego wodza i twierdzą, że „szczepionka, jaką zaaplikowano społeczeństwu w latach 1930-1953, powstrzymuje na razie większość ludzi od tego, by rozwiązywać problemy znanym, a obosiecznym sposobem" (*Siegodnia* z 27.8.94).

„Na razie", powiadają socjolodzy. Niebezpieczeństwo istnieje. Borys Mironow, zarządzający (w randze ministra) rosyjską prasą, oświadczył publicznie: jeśli rosyjski nacjonalizm jest faszyzmem, to ja jestem faszystą. Wyrzucono go za to z pracy. Na razie oficjalne osobistości nie mają prawa nazywać się faszystami. Ale niektórzy już mają na to ochotę. Zarazem istnieją jeszcze siły, które — na razie — są zdolne zamknąć drogę faszystowskiej dyktaturze.

5.9.94

Adam KRUCZEK

Pożegnanie z odchodzącą epoką

Jest ostatni dzień sierpnia. Niebo bez chmurki, ciepło. Dla ludzi z wiekiem i pamięcią przypomina rok 1939. Ale w powietrzu nie lecą eskadry bombowców a tylko śmigłowce berlińskiej policji, czuwającej nad bezpieczeństwem Borysa

Jelcyna i jego świty. W Berlinie odbywa się pożegnanie wojsk rosyjskich. Choć jest wśród nich więcej Ukraińców i Białorusinów niż Rosjan, żarłoczna Moskwa — za zgodą w tych sprawach tradycyjnie rusofilskiego Bonn — nazwała owe dywizje — które miały według starych planów zawładnąć Zachodnią Europą — „Zachodnią grupą wojsk rosyjskich". Dzisiaj odbywa się ostatnia parada tych wojsk. Większość z nich już wyjechała. Została tylko berlińska brygada zmotoryzowanej piechoty, ta sama, która według instrukcji, na wypadek wybuchu trzeciej wojny światowej miała zdobyć Berlin zachodni. Po zjednoczeniu Niemiec przeszła jak i inne oddziały na żołd niemiecki. Żołnierze, którym przez pół wieku nie wolno było — z wyjątkiem rzadkich oficjalnych spotkań — utrzymywać jakichkolwiek stosunków z Niemcami, przez cztery lata korzystali z czaru niemieckiej marki i niemieckich towarów. Chętnie by tu pozostali. Ale *nielzia*, naczalstwo uzgodniło z Niemcami, że do pierwszego września ostatni żołnierz opuści ziemię niemiecką. Nie chciano doczekać do 50-lecia zakończenia drugiej wojny światowej. Kanclerz Kohl potrzebował odejścia z Berlina postsowieckiej armii i zachodnich aliantów jeszcze przed wyborami w połowie października. Jest to jeden, nie pośledni, punkt chadeckiej taktyki wyborczej.

Na historycznym Placu Żandarmów, w otoczeniu monumentalnej architektury fryderycjańskiej i wilhelmińskiej, wyprężyły się szeregi niemieckiej kompanii honorowej. Z jednej strony żołnierze, z drugiej zaproszeni goście, a *vis-à-vis* odbudowanego neoklasycznego Starego Teatru, Jelcyn i Kohl, delegacje rządowe, weterani, eks-marszałkowie. Wśród nich z dawno nie istniejącego Paktu Warszawskiego mocno podstarzały Kulikow, w ogromnej czapie z dwunastoma rzędami orderów. Orkiestra gra hymny, oficerowie „Zachodniej Grupy" salutują. Widzę, że mają rozmaite mundury. Stare z sierpem i młotem na guzikach i nowe z dwugłowym orłem. Jelcyn i Kohl podchodzą do czerwonego podwyższenia. Kanclerz — olbrzym idzie raźnym krokiem. Jelcyn trochę się wlecze niepewnie. Potem, dziękując generałowi Burłakowowi będzie mu trudno znajdować słowa, zwłaszcza nazwiska. Któryś z dziennikarzy rosyjskich zauważa cynicznie: „widać, że sobie kropnął pół litra na śniadanie". W międzyczasie dowódca Zachodniej Grupy, duży, trochę otyły, generał Matwiej Burłakow, Sybirak, ordynarny wobec oficerów, mocny w piciu (dwa lata temu wypili we dwójkę z Jelcynem litr wódy w ciągu dwudziestu minut). Chodzą o nim legendy,

że zorganizował całe gangi i mafijne firmy we wschodnich i zachodnich Niemczech, przerzuty setek tysięcy skradzionych w ostatnich miesiącach samochodów niemieckich drogą morską do Kłajpedy i powietrzną przy pomocy wojskowych samolotów transportowych. A kiedy Burłakow podchodzi do Jelcyna mnie się akurat przypomniał dowcip o owym generale rosyjskim, który widząc orła w zoologu pyta, „a gdzie jego druga głowa, oderwaliście co?" Sam się śmieję z dowcipu, a marszałek Kulikow patrzy na mnie zgorszony karcącym wzrokiem. Burłakow melduje Jelcynowi bilans akcji ewakuacji wojsk. I znowu po głowie chodzi mi wspomnienie jak to po upadku Chruszczowa opowiadał dziennikarz Kukuszkin, że Breżniew musiał ten zamach stanu uzgadniać z ówczesnym dowództwem wojsk sowieckich w Niemczech. „Odtąd żadna polityczna decyzja nie zapadnie bez zgody tej armii". Prokuratura wojskowa chciała Burłakowa posadzić do więzienia za nadużycia. Jelcyn wyznaczył go jednym z wiceministrów obrony. Ale półmilionowa armia zostaje rozlokowana w rozmaitych garnizonach. Głównie według klucza osiedli zbudowanych za niemieckie pieniądze. Burłakow melduje: wycofano pół miliona ludzi, 4 tysiące czołgów, ponad trzy tysiące pięćset dział, 1374 samoloty. Prezydent Rosji jest rozczulony, dziękuje generałowi i całuje go trzykrotnie.

Do wieczora będzie jeszcze wiele ceremonii. Jelcyn w okresach trzeźwości ustawicznie proponuje Niemcom specyficzne bilateralne stosunki w imię odpowiedzialności obydwu największych państw za losy Europy. Kanclerz Kohl jest ostrożny, ale powtarza stare niemieckie ciągotki wobec Rosji, powołując się na Piotra Wielkiego i carycę Katarzynę. Jelcyn głosi tezę o wyzwoleńczej roli Rosji i żołnierza rosyjskiego w drugiej wojnie światowej. A ta dla niego zaczęła się w czerwcu 1941 roku. Zupełnie stalinowskie tezy. O agresji na Polskę w 1939 roku ani słowa. Pod pomnikiem sławy oręża Armii Czerwonej odbyły się przemarsze wojsk rosyjskich i niemieckich. Borys Jelcyn wypiwszy zdrowo u prezydenta Niemiec Romana Herzoga zaprodukował się jako dyrygent orkiestry policji berlińskiej i jako śpiewak przed berlińskim ratuszem, a potem na przyjęciu w ambasadzie rosyjskiej. Na drugi dzień odjechał spod Berlina ostatni pociąg z żołnierzami rosyjskimi. Pozostały zdewastowane koszary, zatrute poligony i tysiące porzucanych bezdomnych psów i kotów.

A w tydzień później Berlin żegnał żołnierzy USA, Wielkiej Brytanii i Francji. Ceremonia miała inny charakter. Była bardziej uroczysta. I chociaż akcenty położono na wyrazie

wdzięczności, to jednak podtekst pożegnania Rosjan był ciekawszy i bardziej dwuznaczny. Zachodnich żołnierzy żegnała Bundeswehra. Po raz pierwszy od czasu wojny niemiecka armia urządziła przed Bramą Brandenburską tradycyjny rytuał wielkiego capstrzyku. Był to bardziej niż wyraźny znak zakończenia minionej epoki. Nazajutrz opustoszały koszary Francuzów „Quartier Napoleon", wojskowe osiedla amerykańskie i angielskie. Zamilkły radiostacje, zamknięto kluby i restauracje. Berlin stał się znowu niemiecki. Dla wielu berlińczyków jest to polityczne i duchowe zubożenie. Berlin, oczywiście zachodni, był w ciągu pół wieku miastem międzynarodowym. Stąd było bliżej do Paryża, Londynu, Nowego Jorku i Waszyngtonu niż z jakiejkolwiek innej metropolii europejskiej. I dlatego wyrósł tutaj zupełnie inny gatunek ludzi, bardzo liberalny, bardzo otwarty na wszelkie kultury i nacje, zupełnie nie znany w historii Niemiec. I dlatego też po tym pożegnaniu i wielkim wyjeździe, w mieście odczuwa się atmosferę depresji. Tym bardziej, że do przeniesienia stolicy z Bonn nad Sprewę potrwa jeszcze dobrych kilka lat. A co będzie w międzyczasie?

Nie ma żadnej recepty i żadnej namiastki na to co było. Niemcy szukają na razie bez skutku swej nowej tożsamości pookupacyjnej, a państwa zachodnie też błądzą w mgle niewiedzy. Wydaje się, że dawne źródła inspiracji w toku „zimnej wojny" wyczerpały się, a nowych nie widać. Dowodem na to był światowy kongres nauk politycznych, odbywający się co trzy lata. Na berlińskim spotkaniu politologów kryzys teorii wobec upadku komunizmu był tak oczywisty, że czasami aż było przykro przyglądać się tej naukowej degrengoladzie. Wielu poważnych ludzi nie przyjechało. Widocznie bali się konfrontacji z pustką. A inni zajmują się drobiazgami. I tu skończyła się epoka poszukiwań i programowych tez, które obaliło życie.

Kilka tygodni wcześniej, pogrzeb Wolnej Europy w Poznaniu. Narodowy, imponujący, ale mimo to — jak każdy zresztą pogrzeb — smutny. Amerykanie zachowali się nędznie. Tylko kilku, dziś prywatnych ludzi, jak jeden z najbardziej politycznie zaangażowanych doradców za czasów Jana Nowaka, profesor politologii w Bostonie, William Griffith, wzięło udział w tych uroczystościach. W pomysłowej „ostatniej audycji" zabrakło wspomnień o takich filarach programu jak Żenczykowski-Zawadzki, Wolski lub Zaremba. A ja wspominam te lata jako bardzo owocny i stały przyczynek do normalizacji i pogłębiania stosunków polsko-ukraińskich. Nowak od początku przywiązywał do tej tematyki wielką wagę.

Kontynuował ten kurs jego następca Zygmunt Michałowski i dwaj późniejsi szefowie Najder i Łatyński. Zanik tego działu nastąpił podczas ostatniej kadencji zupełnie niekompetentnego i nie zainteresowanego „szefa" Mroczyka.

Amerykanie, jak stwierdziłem, zachowali się nędznie. I robią to nadal. Zmienili już, przed szalonym exodusem do Pragi, monachijską centralę w mauzoleum. Niszczą nawet te pozycje wydawnicze i dokumentacyjne, które są potrzebne wielu naukowcom i dziennikarzom, zajmującym się sprawami wschodnimi. Bieda w tym, że politycy w naszych krajach nie uważali za stosowne wystąpić z potrzebną krytyką infantylnych decyzji administracji Clintona.

Bohdan OSADCZUK

W kręgu imperium

Forum Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji im. Stefana Batorego, Stowarzyszenie „Memoriał" oraz Ośrodek KARTA organizują spotkanie „Związek Radziecki - Polska 1919-89. W kręgu imperium", które odbędzie się w dn. 6-10 października br. w Podkowie Leśnej i w Warszawie (Ośrodek KARTA). Spotkanie to będzie próbą prezentacji badań historycznych odtwarzających zależność imperium sowieckiego i jego satelity — Polski. Podsumowana zostanie dotychczasowa współpraca Ośrodka KARTA z „Memoriałem" — zaprezentowany dorobek rosyjskich badaczy w ramach programu „Wspólne miejsce — Europa Wschodnia". Przedstawione zostaną nowo odnalezione dokumenty z archiwów posowieckich.

Oprócz przedstawicieli „Memoriału" w spotkaniu wezmą udział pracownicy największych rosyjskich archiwów oraz reprezentanci środowisk zajmujących się badaniem historii najnowszej z Armenii, Białorusi, Czech, Francji, Kazachstanu, Litwy, Niemiec, Rumunii, Słowacji, Ukrainy. W grupie polskiej znajdą się wybitni eksperci — historycy i archiwiści.

Na zakończenie spotkania planowana jest dyskusja „Piętno i wartość przeszłości" poświęcona wpływowi najnowszej historii na świadomość zbiorową, sztukę i politykę w krajach Europy Wschodniej.

UCZESTNICY:

Rosja: Arsienij Roginskij (Moskwa — M) — przewodniczący, Pawieł Aptiekar (M), Olga Apuszkinskaja (Riazań — R), Andriej Blinuszow (R), Wasilij Chaniewicz (Tomsk), Władimir Chaustow (M), Iwan Czuchin (M), Siergiej Filippow (M), prof. Anna Griszina (M), dr Aleksandr Gurjanow (M), dr Natalia Jelisiejewa (M), Aleksandr Kokurin (M), Tatiana Kosinowa (Petersburg), Siergiej Kriwienko (M), prof. Natalia Lebiediewa (M), Wiktor Łozinskij (R), Jekatierina Murkiełowa (M), Dina Nochotowicz (M), Nikita Ochotin (M), Nikita Pietrow (M), Michaił Rogaczow (Syktywkar), Walentina Tichanowa (M), Olga Zajcewa (M), Anatolij Zubczenko (M).

Polska: prof. Andrzej Paczkowski (Warszawa — W) — przewodniczący, dr Aleksander Achmatowicz (W), dr Andrzej Biernat (W), dr Andrzej Chmielarz (W), prof. Stanisław Ciesielski (Wrocław), dr Andrzej Drawicz (W), dr Andrzej Friszke (W), Paweł Juzwa (W), Sławomir Kalbarczyk (W), Ryszard Kalicki (W), Aleksander Kochański (W), prof. Wojciech Materski (W), dr Jerzy Poksiński (W), prof. Szymon Rudnicki (W), prof. Tomasz Strzembosz (W), Stefan Śnieżko (W), Michał Żórawski (W).

OBSERWATORZY:

Armenia — Anaid Dżanajan; **Białoruś** — Walerij Domoskurow, Aleksander Litwin; **Czechy** — Vilém Prečan; **Francja** — Natasza Gorbaniewska; **Kazachstan** — Zauło Ajtambetow; **Litwa** — Jarosław Wołkonowski; **Niemcy** — Günther Häufele; **Rumunia** — Nina Dombrowski, Maria Lesiecka; **Słowacja** — dr Michal Stefansky; **Ukraina** — Inna Fieduszczak, dr Wadym Kowaliuk, prof. Wołodymyr Reprincew.

Kronika kulturalna

Przyrodnicy Pierwszej Rzeczypospolitej

Staropolscy przyrodnicy nie mają szczęścia do pamięci historycznej Polaków. Z okresu świetności i upadku Rzeczypospolitej pamiętamy najchętniej zwycięskich wodzów lub zręcznych dyplomatów. Spośród ludzi kultury Polski przedrozbiorowej szczycimy się częściej artystami lub twórcami myśli polityczno-państwowej niż ludźmi nauki, z wyjątkiem może Kopernika. Zdając sobie sprawę z tego, iż nie sposób porównywać znaczenie przyrodników Pierwszej Rzeczypospolitej z rolą jaką odgrywa w kulturze polskiej i europejskiej Jan Kochanowski czy Andrzej Frycz Modrzewski, myślę iż nie wolno jednak zapominać, że pośród przyrodników tamtego okresu są także i wybitni prekursorzy nowoczesnej nauki, że niektóre z prac i obserwacji przyrodniczych na trwałe weszły do historii myśli przyrodniczej i to pomimo tego, iż Rzeczpospolita upadła wcześniej nawet niż Lamarck wymyślił słowo biologia.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech pierwszego okresu historii polskiego przyrodoznawstwa jest jego silny związek z kulturą zachodniej i południowej Europy. Prawie wszyscy polscy przyrodnicy owego okresu odbywali przynajmniej część swoich studiów na uniwersytetach włoskich, niemieckich, francuskich czy szwajcarskich. Większość z nich utrzymywała korespondencyjny kontakt z przyrodnikami całej Europy. Konrad Gesner, nazywany niekiedy Pliniuszem Renesansu, wielokrotnie w swoich dziełach korzystał z życzliwości polskich naturalistów. Jan Boner, krakowski mieszczanin, przyjaciel Erazma z Rotterdamu wspierał Gesnera finansowo w trudnych okresach życia tego wielkiego przyrodnika. Swoim

polskim przyjaciołom i respondentom Bonerowi i Suslidze dedykował Gesner pracę „De rerum fossilum". Związki z Zachodem wzmacniane były przez przyrodników cudzoziemców pracujących w Rzeczypospolitej. Często nie sposób zresztą określić narodowość staropolskich przyrodników. Wynika to nie tylko z wielokulturowego charakteru Rzeczypospolitej, ale także z faktu iż niedopuszczalne jest stosowanie dzisiejszych zdeformowanych nacjonalizmami pojęć narodowości dla opisu historii Renesansu i Oświecenia. Uczeń Gesnera, spolonizowany Szwajcar Antoni Schneeberger opublikował w 1557 roku „Catalogus quarundum stirpium latinae et polonicae conscriptus". Bolesław Hryniewiecki uznał dzieło Schneebergera za pierwszą polską botaniczną pracę naukową. Guillaume Beauplan, kartograf i inżynier ściągnięty przez hetmana Koniecpolskiego w celu umocnienia twierdz na Ukrainie wydał w Rouen w 1640 roku „Description d'Ukraine et des provinces adjacentes". Dzieło hugenockiego uczonego zawierało mapę Rzeczypospolitej, liczne ilustracje roślin i zwierząt, opisy obyczajów suhaka, dzikich koni, kotów i bobaka. Jan Johnston, urodzony w Polsce syn szkockich emigrantów, współpracownik Komeńskiego, wydał w 1662 „Dendrologię". Jest on także autorem popularnej encyklopedii przyrodniczej oraz „Theatrum Universalae Historiae Naturalis". Prace Johnstona należały do najpopularniejszych publikacji przyrodniczych siedemnastego wieku, były wielokrotnie wznawiane i tłumaczone. Bernard O'Connor, irlandzki przyrodnik, uczeń i współpracownik wielkiego włoskiego uczonego Malpighiego, nadworny lekarz Jana Sobieskiego w swojej Historii Polski zamieszcza także informacje dotyczące flory i fauny naszego kraju. Urodzony na Łużycach Bernhardi de Bernitz, lekarz i bibliotekarz Jana Kazimierza założył w Warszawie ogród botaniczny, opracował katalog roślin okolic Warszawy i utworzył jedno z pierwszych muzeów przyrodniczych na ziemiach polskich. W „Miscellanea Curiosa" opisał kiełża spod Sokala, przywiezionego z wyprawy wojennej przeciwko Tatarom i skrzypłocza znalezionego przypadkiem w jednej z wrocławskich aptek. Baltazar Hacquet, Alzatczyk, lekarz armii austriackiej prowadził badania paleontologiczne i mineralogiczne Karpat. W 1787 roku objął katedrę historii naturalnej Uniwersytetu Lwowskiego. Jan Filip Carosi, przybyły do Polski w 1773 roku aby opiekować się kolekcją przyrodniczą Poniatowskich, oprócz powszechnie znanych badań geologicznych badał także faunę głazów narzutowych. Wspólnie z Dubois opracowywał

on także podręcznik historii naturalnej dla Komisji Edukacji Narodowej. Karol Perthées, Saksończyk, adoptowany syn posła carskiego w Warszawie, zięć Canaletta pozostawił dziewięć tomów entomologicznych rękopisów. Związkom z Zachodem sprzyjała także z pewnością uniwersalność łaciny, w której drukowano większość prac, jak i doskonała, wzbudzająca podziw wśród cudzoziemców, znajomość języków obcych wśród mieszkańców Rzeczypospolitej. Wiele prac wydawano bezpośrednio we Włoszech, Niemczech i Francji, jak choćby doskonałą rozprawę Brocha o trufli piemonckiej „Lettres sur les truffes du Piemont" wydaną w Mediolanie czy też rozprawy o mineralogii Sycylii tego samego autora.

Rzeczpospolita była zresztą zwrócona nie tylko na Zachód. Michał Boym, misjonarz ze Lwowa jako pierwszy Europejczyk opisał florę chińską. Dzisiaj w dobie ponownego odkrywania kultury chińskiej mało kto pamięta, że to właśnie Boym jako pierwszy udostępnił naszej kuchni np. owoce kiwi. „Flora sinensis", odkryta dla Zachodu przez wielkiego znawcę cywilizacji chińskiej, znanego angielskiego przyrodnika Josepha Needhama do dzisiaj stanowi referencję w historii odkrywania przez Europę wielkich cywilizacji Wschodu. Gdański botanik, Erndtl, opracował florę Japonii. Należy także pamiętać o wpływie przyrodoznawstwa Rzeczypospolitej na rozwój nauk jej wschodniej części, a pośrednio i Rosji. Wydany w 1588 roku przez Hieronima Spiczyńskiego zielnik „O ziołach tutecznych i zamorskich i o morzy ich..." został przetłumaczony na język ruski i otworzył kartę ukraińskiego i rosyjskiego zielarstwa. Zesłańcy z Konfederacji Barskiej prawdopodobnie jako pierwsi informowali Europejczyków o halucynogennych grzybach stosowanych przez ludność tubylczą Syberii.

Gdańsk dzięki swojemu specyficznemu statusowi odegrał znaczącą rolę w historii nauk przyrodniczych. Mieszkańcy tego zamożnego kupieckiego miasta, do którego docierały relacje marynarzy i podróżników, z dużą namiętnością oddawali się kolekcjonowaniu egzotycznych roślin, muszli i opisom przyrody. Związki z kulturą niemiecką, jak i imigranci zwłaszcza holenderscy w sposób decydujący przyczynili się do narodzin nowoczesnego przyrodoznawstwa w Środkowej Europie. Gdański zoolog Johann Eichhorn jako pierwszy przyrodnik związany z Rzeczypospolitą badał już w osiemnastym wieku mikroskopijne organizmy wodne. Opisał on wiele nowych gatunków organizmów. Wawrzyniec Eichstad, przyjaciel Komenskiego i Heweliusza, opisał około czterystu roślin

z okolic Gdańska. Zasłynął on także jako pionier nowoczesnej pedagogiki przyrodniczej organizując dla swoich uczniów wycieczki terenowe i sekcje zwierząt. Helwing założył w połowie siedemnastego wieku ogród aklimatyzacyjny. Jest on także autorem pracy o ptakach mazurskich, w której opisał m.in. warzęchę. Kristian Erndtl opisał na początku osiemnastego wieku około dziewięciuset gatunków roślin. Jego spis florystyczny długo stanowił jedną z najważniejszych referencji dla botaników tej części Europy. Odwoływał się do niego między innymi Jean Emmanuel Gilibert w swojej „Florze Litewskiej". Krzysztof Gotwald, gdański lekarz, członek Academiae Leopoldinae Imperialis Naturae Curiosum zgromadził kolekcję muszli, fauny morskiej, zielników. Zbiory zakupione od spadkobierców przez cara Piotra I opisał Łomonosow. Adrian Pauli odrzucił w swojej rozprawie „Disquisto philosophica de succini natura" hipotezę o nadnaturalnym pochodzeniu bursztynu, wykazał on, że kamień ten jest skamieniałą żywicą i sporządził rejestr znajdujących się w nim zwierząt. Michał Hanovius pozostawił dwadzieścia tomów prac przyrodniczych, próbował on zrozumieć i wytłumaczyć przyczyny białego koloru niedźwiedzi polarnych. Adam Olehafius, nadworny lekarz Zygmunta III Wazy, stworzył podstawy nauczania anatomii przeprowadzając w 1613 roku publiczną sekcję potworka ludzkiego. Jego syn Mikołaj, lekarz króla Władysława IV, był autorem flory Gdańska, w której po raz pierwszy na ziemiach polskich zastosował binominalny system nazewnictwa szwajcarskiego przyrodnika Bauhina. Jakub Breyne siedemnastowieczny gdański botanik związany z Uniwersytetem w Lejdzie dzięki swoim korespondentom z Cejlonu, Jawy, Japonii, Przylądka Dobrej Nadziei i Indii opisywał flory krajów egzotycznych. Albumowe opracowanie „The Flora Capensis of Jakob and Johann Philipp Breyne" ukazało się w 1978 roku w Johannesburgu. Jego syn Filip wydał kilka rozpraw o czerwcu polskim, handel którym stanowił ważny element gdańskiej gospodarki. Specjaliści uznają je za jedne z najlepszych opracowań entomologicznych osiemnastego wieku.

Śląskie tradycje przyrodoznawcze nie odegrały takiego znaczenia w życiu umysłowym Rzeczypospolitej jak gdańskie, chociaż to właśnie stąd wywodził się pierwszy znany związany z Polską badacz przyrody, trzynastowieczny matematyk i filozof Witelo. Pierwsze badania przyrodnicze Śląska, opis jego flory i fauny przypisuje się Mikołajowi Henelowi autorowi wydanej w 1653 „Silesiographiae". Kasper Schwenckfeld,

szesnastowieczny przyrodnik śląski, współpracownik Bauhina pozostawił dokładne i stosunkowo kompletne opisy kręgowców i roślin tego regionu. Opisał on także skójkę perłorodną i perły znajdowane na Śląsku. Oglądając zdewastowany przez przemysł Śląsk trudno jest nam uwierzyć, że perły znajdowano na Dolnym Śląsku jeszcze w drugiej połowie dwudziestego wieku.

Podobnie jak w całej Europie pierwsze dzieła przyrodników Rzeczypospolitej miały charakter encyklopedii, słowników, kalendarzy, herbarzy i spisów. Jan Stanko, który wraz z Długoszem był posłem na rokowania pokojowe z Krzyżakami w Toruniu, pozostawił jeden z najobszerniejszych w średniowiecznej Polsce katalogów roślin i zwierząt zawierający dwadzieścia tysięcy terminów łacińskich, dwa tysiące polskich, osiemset niemieckich, opisał on pięćset dwadzieścia trzy gatunki roślin i dwieście dziewiętnaście zwierząt. Jan Wels z Poznania, nauczyciel synów Kazimierza Jagiellończyka, jest autorem rękopisu opisującego kilkadziesiąt gatunków roślin z okolic Krakowa. Maciej z Miechowa, lekarz Władysława II Jagiellończyka, w swoim traktacie geograficznym „Tractatus de duabus Sarmatiis Asiana et Europeana et de contentis in eis" zamieścił kilka opisów florystycznych i faunistycznych. Gabriel Joannicy jest autorem szesnastowiecznego katalogu „Plantarum Cracoviensum Index." Stefan Falimierz przełożył z inicjatywy krakowskiego drukarza Unglera encyklopedię przyrodniczą „O ziołach i moczy ich". W duchu średniowiecznych herbarzy botaniczno-medycznych tworzył także Syreniusz. Bolesław Hryniewiecki, najwybitniejszy znawca historii polskiej botaniki, najwyżej oceniał „Herbarz Polski to jest o przyrodzeniu ziół i drzew rozmaitych i inszych rzeczy do lekarstw służących księgi dwoje" autorstwa Marcina z Urzędowa, lekarza nadwornego Jana Tarnowskiego.

Bardzo wcześnie przyrodnicy Rzeczypospolitej podjęli próby opisu i zrozumienia mechanizmów rządzących przyrodą. Jan Brożek, renesansowy astronom i matematyk napisał traktat „Dlaczego pszczoły budują plastry w formie komórek sześciokątnych" próbując odpowiedzieć na pytanie o celowość form geometrycznych w przyrodzie. Jan Ostroróg, wojewoda poznański, senator i pisarz doradca królewski napisał pierwsze polskie dzieło o pszczelarstwie i szereg traktatów o myślistwie. Mikołaj Firlej, syn Jana marszałka wielkiego koronnego po zwiedzeniu Muzeum Aldrovandiego zainteresował się skamieniałościami i badał wraz z Foxem zwierzęta kopalne w Kazimierzu nad Wisłą zapoczątkowując w ten sposób, wraz z

pismem Hermana „De Rana Et Lacerta Succino Prussico Insitis Carmen", już w szesnastym wieku historię polskiej paleontologii. Jan Broch, polski przyrodnik z Inflant, autor memoriału przedstawionego w Dijon „Mémoires sur l'indication des mineraux par les plantes" był prekursorem biogeochemii. Napisany po polsku traktat o chorobach drzew i ich leczeniu czyni go także prekursorem nowoczesnej fitopatologii. Filip Carosi już w osiemnastym wieku dostrzegał zagrożenia płynące z nieracjonalnej gospodarki lasami. Nie opublikowane prace entomologiczne Peerthesa o kilkadziesiąt lat wyprzedzały wiele oficjalnych opisów nowych gatunków. Dzięki niemu częściowo chociaż wiemy jak zmieniła się entomofauna Polski, opisał on w okolicach Warszawy wiele gatunków dzisiaj już w Polsce nie występujących lub bardzo rzadkich jak np. modliszka. Nieocenionym źródłem wiedzy o historii polskiej przyrody są także pomimo wielu nieścisłości prace Gabriela Rzączyńskiego i Remigiusza Ładowskiego. Gdańscy lekarze jako pierwsi w Środkowej Europie docenili znaczenie eksperymentu dla nauk przyrodniczych. W siedemnastym wieku doktor Izrael Conradt eksperymentował nad wpływem zimna na ciecze i na organizmy żywe. Współczesny mu doktor Jan Schmiedt badał możliwości dożylnego podawania leków. Wspominając osiągnięcia polskiego przyrodoznawstwa nie sposób zapomnieć o grupie przyrodników schyłku Rzeczypospolitej, prekursorów nowoczesnej botaniki, i pominąć księdza Kluka i grupę przyrodników wileńskich: Giliberta, Forstera, Jundziłłów.

Rzeczpospolita pozostawiła znaczący dorobek nauk przyrodniczych. Jest niezrozumiałe dlaczego prace przyrodników tamtego okresu są praktycznie — poza małą grupą specjalistów — nie znane ludziom wykształconym w Polsce. Studia nad historią przyrodoznawstwa Rzeczypospolitej pokazują jak bardzo tolerancja wobec ludzi innych kultur i religii i mądry mecenat mogą wpłynąć na rozwój nauki.

Piotr DASZKIEWICZ

Norwid-Staff-Leśmian po białorusku

W 1993 roku w Mińsku ukazał się zbiorek poezji Cypriana Norwida pt. „Idzi za mnoju" („Vade mecum"). Do zbiorku weszło ponad osiemdziesiąt utworów, m.in. „Scherzo", Vade mecum", „Do obywatela Johna Browna", „Beatrix", „Stolica", „Improwizacja", „Post scriptum", „Pielgrzym", „Fatum", „Memento", „Fortepian Chopina" i inne. Całość tłumaczył na język białoruski Aleh Minkin.

Norwid w przekładzie Minkina w języku białoruskim zaistniał po raz pierwszy. Białoruskie bibliografie przekładów literatury obcej nie odnotowują, by dotychczas jakiś utwór autora „Vade mecum" przetłumaczono na białoruski. Zresztą wydawca, „Mastackaja Litaratura", w nocie wydawniczej podkreśla, iż utwory Norwida wydane zostały na Białorusi po raz pierwszy. Tłumacz zadał sobie ogromny trud przetłumaczenia aż tylu wierszy wybitnego polskiego poety.

Książka została wydana bardzo starannie, w twardej okładce, z rysunkami znanego grafika S. Czaranowicza. Zbiorek poprzedzony został przedmową o życiu i twórczości C.K. Norwida pióra A. Minkina. Na końcu książki są przypisy, w których autor podaje czas powstania utworu, wyjaśnia niektóre określenia i nazwiska.

Tłumacz starannie i z pietyzmem, a także ze zrozumieniem podszedł do utworów polskiego poety. Poezja Norwida w języku białoruskim brzmi naturalnie i pięknie, Minkin potrafił bowiem oddać wszystkie subtelności słowa autora „Fatum". Oto jak po białorusku dźwięczy ósma strofka wiersza „Fortepian Chopina":

Hladzi, Frederyk!.. Woś — Warszawa:
Nad joju, za pasmami dymu,
Zorka haryć krywawa — —
Hladzi, wuń — abrysy Fary! Wobraz Radzimy:
Paŭsiul — kamianicy,
Staryja, niby Paspalitaja Recz,
Bruk placou, szery i nicy,
I Żygimonta u abłokach miecz.

Po raz pierwszy w języku białoruskim ukazały się także wiersze Bolesława Leśmiana. W 1994 r. nakładem „Naszej Niwy" w Wilnie i „Mastackiej Litaratury" w Mińsku ukazał się tom wierszy Bolesława Leśmiana „Pan Błyszczyński" w przekładzie Aleha Minkina. Do zbiorku weszło 56 wierszy polskiego poety, ponadto tom poprzedzono przedmową Siarhieja Dubowca, w której autor stara się dowieść, iż poezja autora „Malinowego chruśniaku" jest bardzo bliska twórczości Janki Łuczyny (wł. Jan Niesłuchowski) i Janki Kupały (wł. Jan Łucewicz), Maksima Bahdanowicza z ich okresu modernistycznego, dopóki poeci ci nie stali się twórcami narodowymi, białoruskimi. Dubowiec z radością wita Leśmiana z jego baśniową fantastyką i groteską, ze zmysłową obserwacją konkretu, a przede wszystkim przedstawieniem świata przyrody.

Tłumacz musiał pokonać wiele zwrotów i neologizmów Leśmiana, przystosować je do języka białoruskiego tak, by czytelnik zrozumiał sens i intencję oryginału. Minkin sprawił się dobrze z postawionym przed sobą zadaniem: Białorusini otrzymali porcję pięknej, dźwięcznej poezji polskiego modernisty.

W lipcu 1994 roku wyszła drukiem trzecia książka poezji polskiej: Leopold Staff, „Wysokija drewy" („Wysokie drzewa") w przekładzie Aleha Minkina. Jest to również po raz pierwszy wydany po białorusku tom poezji L. Staffa. Wprawdzie osobne wiersze poety były drukowane na Białorusi. Pierwszy wiersz autora „Wikliny" pt. „Pokój" w przekładzie Iwana Kaleśnika wydrukowała w 1954 roku gazeta *Czyrwonaja zmiena*. Następnie w 1958 r. wiersz „Wiosna" przełożył Maksim Tank (wł. Jauhien Skurko) i ogłosił w tygodniku *Litaratura i mastactwa*, utwór „Kowal" przetłumaczył O. Rumar i opublikował w 1958 roku w gazecie *Czyrwony ściah*, wydawanej w Mołodecznie. Poza tym w latach 60-tych i 70-tych ukazały się drukiem po białorusku jeszcze następujące wiersze Staffa: „Wiosna", „Matka", „Most", „Natchnienie" i „Mickiewicz" w tłumaczeniach Maksima Tanka i Piatrusia Makala.

Aleh Minkin przełożył 82 wiersze autora „Jesiennego deszczu" z lat 1901-1958. Jest to najobszerniejszy wybór utworów Staffa w języku białoruskim. Tłumacz postanowił przybliżyć białoruskiemu czytelnikowi przekrój twórczości polskiego poety, zaprezentował najlepsze jego wiersze, ukazał Staffa jako wybitnego mistrza słowa. Minkin doskonale potrafi wczuć się w nastroje, środki ekspresji, język i filozofię

autora „Snów o potędze". Zmaganie się ze słowem poetyckim Staffa nie było łatwe, bowiem dorobek poety współtworzył kilka epok, poczynając od modernizmu, kończąc na literaturze Polski Ludowej. Staff najpierw wyraził nietzscheańskie skłonności Młodej Polski, jej estetyczne stylizacje, później wkroczyła do jego poezji skamandrycka codzienność, motyw „szarego człowieka", wreszcie poezja jego przeszła przez okoliczności wojenne i okupacyjne. Następnie — jak pisze Włodzimierz Maciąg — w „lirykach lat 1945-53 zjawia się świadomość rozmiarów katastrofy, jaką przyniosła wojna i okupacja, świadomość dramatu literatury, którą przyniosły lata powojenne, a wreszcie potrzeba głębszej rewizji własnej postawy artystycznej".

Tłumacz doskonale zrozumiał całą złożoność etapów rozwoju poezji Staffa i potrafił wszystko to przekazać po białorusku. Poezja autora „Wikliny" brzmi prawdziwie i swojsko. Oto pierwsza zwrotka znanego wiersza „Deszcz jesienny":

Ab szyby dożdż zwonić, dożdż zwonić markotny,
Kastrycznicki dożdż, adnastajny, niazwodny,
Bjuć kropli niaspynna u aslepłyja wokny...
Szkło płacza i jenczyć... a szyby u mhle moknuć,
I soczycca pryciemak szary drymotna...
Ab szyby dożdż zwonić, dożdż zwonić markotny...

Zbiór poezji Staffa „Wysokija drewy" poprzedzony został przedmową literaturoznawcy Uładzimira Kaleśnika, w której autor daje wzmianki o życiu poety i krótko charakteryzuje jego twórczość.

Trzy nazwiska polskich poetów — Norwid, Staff, Leśmian — trzy zbiorki ich wierszy w języku białoruskim to bardzo ważny wkład do wzajemnego poznawania się, do zapoznania białoruskiego czytelnika z najpiękniejszą poezją sąsiedniego, polskiego narodu. Trud tłumacza, jakże odpowiedzialny i ciężki, należy powitać z radością i życzyć Minkinowi, by jego szlachetna praca zaowocowała innymi, nie znanymi dotychczas Białorusinom wierszami polskimi.

A kim jest Aleh Minkin, tłumacz poezji Norwida, Staffa i Leśmiana? Minkin, jak na razie, nie figuruje w białoruskich encyklopediach, ani w słownikach biograficznych pisarzy. Minkin jest poetą i prozaikiem, z zawodu inżynier-elektryk, z zamiłowania dziennikarz i działacz kultury. Urodził się na Mohylewszczyźnie i, jak powiada, pochodzi z plemienia Radymiczów. W dzieciństwie i wczesnej młodości nie stykał się z językiem polskim. Po ukończeniu studiów mieszkał za Kołem Polarnym w dawnym Związku Sowieckim, później powrócił na Białoruś. Będąc na studiach zainteresował się poezją polską, ale czytał ją w przekładach rosyjskich. Gdy zamieszkał w Brześciu, poznał wielu Polaków, tam mieszkających.

Poezję polską Minkin poznawał czytając wiersze Władysława Syrokomli i Jana Czeczota, „jako najbliższych, bo pochodzących z Białorusi, znających jej język i ludzi". Potem zainteresował się poezją Cypriana Norwida, Leopolda Staffa, Bolesława Leśmiana, Juliana Tuwima, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza. Aleh Minkin od 1990 roku mieszka w Wilnie, przyjął obywatelstwo litewskie i chce zostać tu na stałe. Jest członkiem Związku Pisarzy Litewskich, choć aktywnie uczestniczy w białoruskim życiu kulturalnym. Jest dziennikarzem gazety *Nasza Niwa*, utrzymuje kontakty ze środowiskiem literackim na Białorusi. Wydał w Mińsku dwa tomy poezji: w 1985 r. ukazał się zbiorek „Surma", zaś w 1989 — „Raskolina" („Szczelina skalna"). W Polsce był zaledwie dwa razy. Obecnie stara się o twórcze stypendium, dzięki któremu będzie mógł dłużej zabawić w Polsce, poznać kulturę i historię naszego kraju.

Aleh Minkin jest prawdziwym i bezinteresownym przyjacielem Polski, popularyzatorem naszej literatury na Białorusi. Jego szlachetny trud przybliżania poezji Norwida, Staffa, Leśmiana Białorusinom jest godzien najwyższej pochwały i wdzięczności Polaków.

Mieczysław JACKIEWICZ

Działalność PEN Clubu na wschodzie

Wśród organizowanych przez Polski PEN Club konferencji i innych imprez wiele poświęconych było aktualnej politycznej i kulturalnej sytuacji w państwach tzw. „dawnego bloku wschodniego". Wymieńmy ważniejsze:

PRELEKCJE:

W 1991 r.:
w marcu — Ryszard Kapuściński mówił o wrażeniach z rocznej podróży po ZSSR; w czerwcu — Andrzej Szczypiorski wygłosił prelekcję „Kultura niemiecka a problem zjednoczenia".
W Gdańsku odbyły się PEN-clubowe wieczory: „Pisarze rosyjscy wobec systemu totalitarnego" (29 kwietnia 1991), „Spotkanie z Ukrainą" (17 maja 1991).

W 1992 r.:
w kwietniu Stanisław Stomma wygłosił prelekcję na temat stosunków polsko-litewskich; w październiku odbył się uroczysty wieczór w 36 rocznicę wydarzeń węgierskich. (Przemawiali: Andrzej Sieroszewski, Wiktor Woroszylski oraz uczestniczący w wieczorze ambasador Węgier w Polsce, Akos Engelmayer i prezes Węgierskiego PEN Clubu, Miklos Hubay. Utwory polskie i węgierskie czytał Andrzej Łapicki. W grudniu Polski PEN Club wraz z Instytutem Goethego w Warszawie zorganizował spotkanie z Günterem Grassem w związku z opublikowaniem polskiego przekładu jego powieści „Unkenrufe" („Wróżby kumaka"); także w grudniu Polski PEN Club współorganizował wraz ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich wieczór autorski Tomasa Venclovy.
W Gdańsku staraniem środowiska PEN odbył się w grudniu odczyt dr Selima Hazbijewicza na temat „Tatarzy i ich związki z Polską". Krakowskie środowisko PEN zorganizowało w październiku spotkanie z Miklosem Hubayem, prezesem Węgierskiego PEN Clubu i z Lubomirem Feldekiem, przedstawicielem Zarządu Słowackiego PEN Clubu.

W 1993 r.:
W lutym prof. Jerzy Kłoczowski wygłosił prelekcję „Dziedzictwo Rzeczypospolitej w perspektywie czterech narodów"; także w czerwcu odbyło się spotkanie z Josifem Brodskim (współorganizatorem były „Zeszyty Literackie"). O Josifie Brodskim mówili Artur Międzyrzecki i Andrzej Drawicz.

W 1994 r.:
W marcu gościem Polskiego PEN Clubu był Arkady Vaksberg; wygłosił w Warszawie prelekcję „Co się dzieje w Moskwie (o życiu politycznym i kulturalnym)"; w Krakowie miał spotkanie autorskie.

Gościmy często pisarzy z zaprzyjaźnionych PEN Clubów — byli u nas m.in.:

W styczniu 1991 — Natalia Astafjewa i Włodzimierz Britaniszski z Rosji, w maju 1991 — Prezes Litewskiego PEN Clubu, Kornelius Platelis, we wrześniu 1991 — Romualdas Lankauskas, wiceprezes Litewskiego PEN Clubu, w lutym 1992 — Julianna Matrai, przedstawicielka Komitetu Helsińskiego z Bratysławy, w maju 1992 — Vidautas Pavilionis, przewodniczący parlamentarnej Komisji Spraw Zagranicznych Rady Najwyższej Republiki Litewskiej, także w maju — Bułat Okudżawa, w marcu 1993 r. — Eugenijus Alisanka, litewski poeta i krytyk literacki, oraz poetka Judita Vaiciunaite. W marcu 1993 r. Władimir Jemelianowicz Maksimow, też w marcu 1993 r. — Prezes Związku Pisarzy Białoruskich, Wasil Wasiliewicz Zujonak.
28 czerwca 1993 r. odbyło się spotkanie Zarządu z Ivanem M. Dziubą, ministrem kultury Ukrainy oraz ambasadorem Ukrainy w Polsce.
W październiku 1993 r. odwiedziła nas Helena Stachova, czeska laureatka Nagrody PEN Clubu 1992.
9 marca 1994 r. — konferencja prasowa z Arkadym Vaksbergiem. Stałymi gośćmi wieczorów PEN-clubowych byli ambasadorzy Litwy i Białorusi; odwiedzali nas także w siedzibie Zarządu.

NAGRODY

16 grudnia 1991 wręczono nagrodę dla tłumaczy za przekłady z języków litewskiego, łotewskiego, białoruskiego, estońskiego na język polski Jerzemu Litwiniukowi.
8 czerwca 1992 r. wręczono Nagrody Polskiego PEN Clubu za tłumaczenia literatury polskiej na języki obce: m.in. Natalii Gorbaniewskiej (za przekłady na rosyjski).
19 października 1992 r., podczas uroczystego wieczoru poświęconego wydarzeniom węgierskim, wręczono przyznaną po raz pierwszy Nagrodę Polskiego PEN Clubu i Węgierskiego Instytutu Kultury im. Gracji Kerenyi. Nagrodę odebrała przybyła z Budapesztu laureatka Erzsebet Szenyan, tłumaczka literatury polskiej.
16 listopada 1992 wręczono nagrodę dla tłumaczy Helenie Stachovej za przekłady literatury polskiej na język czeski.
7 lutego wręczono nagrody dla tłumaczy Natalii Astafjewej i Włodzimierzowi Britaniszskiemu — za przekłady literatury polskiej na język rosyjski oraz Henrykowi Beresce za przekłady literatury polskiej na język niemiecki.

DZIAŁALNOŚĆ MIĘDZYNARODOWA

Od 19 do 24 października 1992 r. Polski PEN Club, inicjując robocze spotkania prezesów i przedstawicieli naszych czterech cen-

trów, gościł prezesa Węgierskiego PEN Clubu, Miklosa Hubaya oraz członka Zarządu Słowackiego PEN Clubu Ludomira Feldeka, reprezentującego PEN Cluby Czech i Słowacji.
22 października odbyła się konferencja prasowa z udziałem wymienionych wyżej gości oraz radców kulturalnych: Ambasady Czechosłowacji — Ladislava Volko, i Ambasady Węgier — Istvana Kovacsa.
15-18 marca 1991 r. odbyła się w Budapeszcie Trzecia Konferencja Regionalna, z udziałem prezesów PEN Clubów Białorusi, Chorwacji, Czecho-Słowacji, Bułgarii, Macedonii, Polski, Rosji, Rumunii, Serbii, Węgier. Obecni byli również prezesi i reprezentanci innych PEN Clubów. Debatowano m.in. o szerzeniu się nacjonalizmów w Europie środkowo-wschodniej i o problemach książki związanych z wolnym rynkiem. „Uczestnicy Międzynarodowej Konferencji PEN Clubów w Budapeszcie" —głosi tekst przyjętej rezolucji — „zwracają się z apelem do intelektualistów i pisarzy, aby przeciwstawiali się agresywnemu nacjonalizmowi w swoich krajach. Dar języka winien być używany dla wzmacniania tożsamości kulturalnej społeczeństw, nigdy zaś jako narzędzie nacjonalistycznej przemocy. Wzywamy pisarzy i intelektualistów, aby służyli sprawie tolerancji oraz wzajemnego szacunku między ludźmi i skłaniali opinię publiczną do spokojnego dialogu między sprzecznymi orientacjami".
10-12 kwietnia 1991 r. z inicjatywy Centrum Słowackiego, odbyła się w Budmericach koło Bratysławy międzynarodowa konferencja na temat „Aktualna sytuacja powieści w Europie środkowej", w której wzięli udział przedstawiciele Austrii, Czecho-Słowacji, Jugosławii (nie przybyli Chorwaci), Polski, Węgier i Włoch. Polski PEN Club reprezentowali Jacek Bocheński (referat „prowincjonalizm czy uniwersalizm") oraz Paweł Huelle (referat „Kilka uwag w obronie formy").
Od 3 do 8 listopada 1991 obradował w Wiedniu 56-ty Kongres Międzynarodowej Federacji PEN Clubów. Polski PEN Club, wraz z PEN Clubami Rosji, Stanów Zjednoczonych, Anglii i krajów skandynawskich, przedłożył rezolucję wyrażającą solidarność z pisarzami gruzińskimi, przyjętą następnie jednogłośnie przez delegatów.

W dniach 25-26 marca 1993 r. odbyło się w Bratysławie spotkanie przedstawicieli PEN Clubów Czech, Polski, Słowacji i Węgier, poświęcone zagrożeniom wewnętrznym i zewnętrznym w państwach postkomunistycznych, zwłaszcza zaś tendencjom szowinistycznym.
Zebrani przygotowali deklarację wyrażającą wspólne stanowisko PEN Clubów wobec narastających na tym tle konfliktów.
Delegat Polskiego PEN Clubu wziął udział w odbywającej się w dniach 7-9 października 1993 w Pradze konferencji „Kultura w miastach — dzisiejsza polityka kulturalna europejskich miast: ocena i perspektywy".
W dniach 22-25 października 1993 odbyła się w Budapeszcie konferencja regionalna PEN Clubów, nawiązująca do wcześniejszego spotkania przedstawicieli PEN Clubów Czech, Słowacji, Węgier i Polski w Warszawie; braliśmy w niej udział.
Na zaproszenie organizatorów Artur Międzyrzecki wziął udział w Zjeździe Czeskiego PEN Clubu w Pradze 18 listopada 1993 r.

W dniach 19-22 marca 1994, na zaproszenie Litewskiego PEN Clubu, przebywała w Wilnie delegacja 10 poetów — członków Polskiego PEN Clubu. Poeci odbyli szereg spotkań z poetami, pisarzami i naukowcami litewskimi, a także dr Haliną Kobeckaite, generalnym dyrektorem rządowego Departamentu Mniejszości Narodowych. Na zakończenie Polski i Litewski PEN Club ogłosiły wspólny „Apel z Celi Konrada".
W dniach 18-20 maja 1994 odbyła się w Mińsku na Białorusi międzynarodowa konferencja pt. „Społeczeństwo post-totalitarne: osoba i naród", zorganizowana przez Białoruski PEN Club i Fundację Sorosa. Przedstawicielem Polskiego PEN Clubu był wiceprezes Jacek Bocheński, który wygłosił referat pt. „Osoba — naród — demokracja — literatura".

Alina KOWALCZYKOWA

KOMUNIKAT

Komisja Funduszu Stypendialnego im. Jana i Suzanne Brzękowskich (siedziba w Bibliotece Polskiej w Paryżu) informuje o akcji stypendialnej, organizowanej na rok 1995.

Stypendia im. J.S. Brzękowskich przeznaczone są dla osób prowadzących prace naukowe w dziedzinie historii Polski, historii literatury polskiej, krytyki literackiej, i dla których pobyt w Paryżu jest niezbędny, aby korzystać z tutejszych archiwów i bibliotek, a w szczególności ze zbiorów Biblioteki Polskiej Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

Mieszkańcy Paryża i okręgu paryskiego nie mogą być kandydatami do stypendium.

Stypendium Funduszu im. J.S. Brzękowskich wynosi 5.000 franków. Koszty podróży do Paryża pokrywa sam stypendysta, i sam musi zapewnić sobie mieszkanie na cały czas pobytu.

W podaniach o otrzymanie stypendium, sprecyzować należy temat pracy oraz podać z jakich dokumentów i publikacji kandydat pragnie korzystać.

Podania kandydatów, którzy mają mały dorobek naukowy w postaci publikacji, powinny być poparte pisemną opinią profesora, względnie innej osoby, będącej uznanym autorytetem w dziedzinie badań prowadzonych przez kandydata.

Do podania dołączyć należy życiorys. Można również załączyć opublikowane przez kandydata prace, które wejdą do zbiorów Biblioteki Polskiej. Konieczna jest pełna lista tych publikacji.

Przed przyjazdem do Paryża, stypendysta powinien się ubezpieczyć w Polsce (względnie w innym kraju swego zamieszkania) na cały czas pobytu we Francji.

Przed wyjazdem, należy złożyć krótkie pisemne sprawozdanie z dokonanej pracy i wykorzystania stypendium.

Podania o stypendium należy kierować na adres Towarzystwa Historyczno-Literackiego: Société Historique et Littéraire Polonaise — Fondation Jean et Suzanne Brzękowski — 6, quai d'Orléans — 75004 Paris — France.

Ostateczny termin nadsyłania podań upływa w poniedziałek 2 stycznia 1995 roku.

Przewodniczący Komisji Funduszu Stypendialnego im. Jana i Suzanne Brzękowskich
Tadeusz DOMAŃSKI

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Ci, co odeszli

Norbert

Na początku lat 30-tych minister Józef Beck reorganizował Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wprowadzając gruntowną zmianę kadr. Akcję tę przeprowadzał kpt. Tomir Drymmer, zaufany ministra, mianowany na stanowisko dyrektora departamentu personalnego. Nowy personel przyszedł głównie z wojska. Myśląc jednak o wyszkoleniu młodych kadr, Drymmer stworzył organizację akademicką Ligę. Brałem w tym pewien udział. W Myśli Mocarstwowej, którą wówczas kierowałem, był Norbert Żaba. Urodzony w Estonii (matka Estonka) znał doskonale języki krajów bałtyckich i skandynawskich. Zapisałem go do Ligi, gdzie szybko się wybił. W Lidze był również inny mój „wychowanek" — Wiesław Patek. Obu przyjęto do MSZ i obaj pracowali w krajach skandynawskich.

W czasie wojny, w 1940 roku, pracowałem w Ambasadzie polskiej w Bukareszcie. Ponieważ Rumunia była wówczas jeszcze krajem neutralnym, więc bez przeszkód mogłem korespondować z Norbertem. Korespondencja była bardzo żywa, ale konspiracyjna, mianowicie posługiwaliśmy się „atramentem sympatycznym", używając środków bardzo prostych, wręcz prymitywnych. Zakładaliśmy — co, jak się okazało, było słuszne — że żadnej cenzurze nie przyjdzie do głowy podejrzenie, że można używać tak archaicznych metod. Z tej korespondencji dowiedzieliśmy się o koncentracji wojsk niemieckich w Finlandii, co świadczyło o przygotowaniach do wojny niemiecko-sowieckiej, tym bardziej że podobne zjawisko miało miejsce w Rumunii.

Kiedy po opuszczeniu Rumunii wstąpiłem do wojska, mój kontakt z Żabą urwał się całkowicie i został nawiązany

na nowo dopiero po wojnie, kiedy Norbert przyjechał do Rzymu.

Po założeniu Instytutu Literackiego Norbert, który mieszkał w Sztokholmie, został naszym przedstawicielem na Szwecję i kraje skandynawskie. W bardzo krótkim czasie rozwinął on tam kolosalną i wszechstronną działalność. Nie tylko zjednywał nam wielu czytelników — prenumeraty rosły z miesiąca na miesiąc — ale przede wszystkim rozbudował kontakty z Polską. Szwecja stała się głównym kanałem wysyłania pism i książek do Kraju. Korzystałem z tego bardzo skrupulatnie, zresztą nie tylko ja, ale także wszystkie inne wydawnictwa emigracyjne. Druki przedostawały się do Polski nie tylko za pośrednictwem przyjezdnych, bardzo zresztą licznych, ale poprzez biblioteki uniwersyteckie, redakcje itp. Bardzo była tu pomocna p. Katarzyna Gruber, pracująca w bibliotece Fundacji Nobla. Firma biblioteki Fundacji Nobla była praktycznie nietykalna. Dzięki prowadzeniu tej akcji Norbert stał się wkrótce osobą bardzo popularną w Polsce. Było powszechnie wiadomo, że u niego można zawsze dostać nie tylko literaturę emigracyjną, ale także znaleźć pomoc i opiekę. Norbert, dzięki dobrym stosunkom z władzami szwedzkimi, mógł bardzo wiele załatwić — władze traktowały Go jak eksperta czy adwokata we wszystkich sprawach związanych z przyjeżdżającymi Polakami. Przerzut druków był tak dobrze zorganizowany, że wkrótce można było również wysyłać je do Związku Sowieckiego.

Niezależnie od tej działalności Norbert położył wielkie zasługi na odcinku kulturalnym. Udało mu się spopularyzować w Szwecji takich pisarzy jak Gombrowicz, Miłosz czy Mrożek. Ich książki zaczęto tłumaczyć i wydawać, a ich sztuki były wystawiane w teatrach, w telewizji i weszły do programów radiowych i na łamy pism. Norbert założył także klub dyskusyjny „Towarzystwo Przyjaciół Kultury", w którym przez blisko 20 lat organizował odczyty, konferencje i spotkania z wybitnymi ludźmi z emigracji i z Kraju.

Ta ogromna praca, która była Jego żywiołem, poderwała mu zdrowie. Jego przewlekła choroba spowodowała stopniowe zamieranie całej działalności, co jest tym dotkliwszą stratą, że nie znalazł się dotąd godny następca. Jest to strata nie tylko dla *Kultury* ale i dla Polski.

Norbert Żaba zmarł w Sztokholmie 5 lipca br.

Jerzy GIEDROYC

Norbert Żaba

Będąc przez cztery lata dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie, wiele zawdzięczam życzliwości Pana Norberta. A jego poczucie humoru i niezwykłe anegdoty nieraz rozjaśniały mroki skandynawskiej zimy. Doprawdy miał wiele do powiedzenia. Jego malutkie mieszkanko, które dostał od Szwecji, pomału zarastało książkami i papierami grożąc właścicielowi pożarciem. Zabierał się nieustannie i pracowicie do spisywania swoich wspomnień, odrzucał moje oferty pomocy, ale jak się zdaje na przygotowaniach do tej pracy poprzestał. Kiedy nie ma już jego pamięci, pewne nadzieje można wiązać z piwnicą, do której nieustannie i nadaremno się wybierał po zagubione cenne materiały.

Kiedy byłem jego gościem, lokował mnie zawsze w tym samym zasłużonym fotelu, gdzie w czasie wojny siadywał Bruno Kreisky i Willy Brandt (związany wówczas z norweskim ruchem oporu). Pan Norbert bowiem zajmował się m.in. utrzymywaniem kontaktów z ruchem oporu w Finlandii, Danii, Norwegii i na Węgrzech. Poleciał nawet kiedyś samolotem wojskowym do Anglii by pomóc wyciągnąć Finlandię z aliansu z Niemcami.

Pracując w poselstwie polskim w Helsinkach znał dobrze legendarnego marszałka Mannerheima, bohatera wojny fińsko-bolszewickiej.

W czasie wojny Pan Norbert rezydował w polskim poselstwie w Sztokholmie. Jest to ten sam budynek gdzie była ambasada PRL, a dzisiaj jest ambasada RP. Chociaż mieszkał w pobliżu od chwili przejęcia tej placówki przez komunistów, nie przekroczył progów ambasady. Dopiero po przełomie, gdy Sztokholm i naszą placówkę odwiedził premier Bielecki, Norbert Żaba i Wiesław Patek, też polski dyplomata pracujący kiedyś w Helsinkach i w Sztokholmie, weszli po pół wieku do budynku, gdzie kiedyś reprezentowali w Szwecji wolną Polskę. Pamiętam swoje wzruszenie, kiedy prowadziłem ich po salonach, które obaj obstukiwali laseczkami wydobywając z kurzu pamięci dawne kąty.

O tym poselstwie z czasów II Rzeczypospolitej Pan Norbert opowiedział mi wiele niezwykłych anegdot. Nie wypada ich jednak teraz właśnie powtarzać, chociaż on pewnie byłby z tego zadowolony, bo sam się z nich śmiał do roz-

puku, a jego oczy stawały się wtedy oczami młodego człowieka.

Pan Norbert przy niezwykle licznych zaletach miał pewną wadę. Pod koniec życia grał coraz bardziej namiętnie na loterii pieniężnej, co zagrażało jego finansom. Miał silny reumatyzm, słońce południa było — jak twierdził — jedynym lekarstwem. Mówił mi kilkakrotnie. „Jeśli kiedyś pan do mnie zadzwoni i mnie nie zastanie, proszę się nie martwić. To będzie tylko znak, że wygrałem na loterii i poleciałem jak zwykle na Cypr".

Teraz, kiedy w jego domu nikt już nie podnosi słuchawki, by nieco ironicznie i skrzekliwie przeciągając sylaby, rzucić w słuchawkę — Żaaaba? — przypominam sobie te słowa i myślę, że Pan Norbert w końcu wygrał na loterii i po prostu wyjechał.

Tomasz JASTRUN

Ks. Wojciech Sojka

Ks. Wojciech Sojka, C.M. zmarł po długiej i ciężkiej chorobie 27 sierpnia br. w Bronxie. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1937 roku. Wiosną 1939 r. został wysłany przez kardynała Hlonda na pracę misyjną do Chin.

Po dwuletnim studiowaniu języka chińskiego rozpoczął pracę na terenie misji Shuntenfu położonej o kilkaset mil na południe od Pekinu.

Następnie kolejno wykładał filozofię i Pismo św. w seminarium księży misjonarzy w Pekinie, potem został wicedyrektorem seminarium diecezjalnego.

Rewolucja komunistyczna i represje, więzienie i deportacja zmusiły ks. Sojkę do wyjazdu na Filipiny, gdzie przez pewien czas wykładał łacinę w hiszpańskim seminarium w Cebu.

Gdy zaczęto myśleć o pracy misyjnej wśród nowej emigracji polskiej w Australii, skierowano tam ks. Sojkę, który przez 5 lat brał czynny udział w życiu polonijnym, zakładając m.in. pierwsze pismo. W styczniu 1955 roku został przeniesiony do Brazylii, osiadł w domu misyjnym w Kurytybie,

gdzie pozostał do roku 1960, wykładając w seminarium misyjnym i redagując znany tygodnik *Lud*. Pod naciskiem Konsulatu Generalnego PRL, któremu nie odpowiadała polityka pisma, a specjalnie dział historyczny w tym piśmie, ks. Sojka został przeniesiony do Stanów Zjednoczonych, gdzie uczył łaciny i języków nowożytnych w Zakładzie św. Jana Kantego w Erie, redagując jednocześnie popularny *Skarb Rodziny*. W tym czasie właśnie nawiązałem współpracę z ks. Sojką, wykorzystując jego znakomitą znajomość ośrodków polonijnych na świecie, przede wszystkim Polonii amerykańskiej.

Ks. Sojka pisał często do *Kultury*, ale najcenniejsza była dla mnie jego korespondencja, w której poruszał szereg problemów, o których wolał nie pisać ze względu na dyscyplinę kościelną. Jego stosunek do polityki misyjnej i polonijnej był bardzo krytyczny.

Ks. Sojka współpracował nie tylko z *Kulturą*, był też korespondentem polskich pism południowoamerykańskich i australijskich oraz *Życia*, *Gazety Niedzielnej* i *Wiadomości* w Londynie. Bliższe stosunki łączyły go z dawno zmarłym Janem Bielatowiczem oraz z Archiwum Prasy Polskiej Jana Kowalika w Kalifornii.

Niewykorzystanie ogromnego doświadczenia ks. Sojki i odstawienie Go na boczny tor było niewątpliwie wielką stratą nie tylko dla Kościoła, ale i dla Polski. Przypuszczam, że ks. Sojka nie był wyjątkiem.

Ks. Sojka pozostawił duży dorobek w postaci przede wszystkim przyczynków do historii polskiej diaspory. Byłoby dobrze, gdyby znalazł się ktoś kompetentny, kto by Jego dorobek opracował.

Jerzy GIEDROYC

Książki

Lampasy Jana Dobraczyńskiego

1.

Już pod koniec życia Jana Dobraczyńskiego, gdy pisarz zaniewidział i rzadziej się w druku odzywał, bo zmuszony był dyktować — *Słowo* od czasu do czasu ogłaszało w wyborze jego zapiski *Dzień za dniem*, prowadzone w latach 1945–1990. Ma z nich powstać książka. Gdy autor rozstał się z życiem (5.III.1994) z tychże zapisków wydobyto, uznając ją widocznie za charakterystyczną, taką uwagę spod daty 12.V.1951: „Pisarstwo jest rzadko 'zawodem' czystym. Pisarz rodzi się na zgliszczach: zraniona miłość, instynkt wodza bez możliwości działania, nie wcielone w czyn apostolstwo, poszukiwanie kompensaty, kompleks niższości — często przetapiają się w pisarstwo" (nr 46).

Definicja to licha, autodefinicja — być może — warta zastanowienia. Czterdziestojednoletni Dobraczyński, debiutant literacki z roku 1937, ma za sobą szesnaście książek (z których kilka było wydawniczym sukcesem), ma w Armii Krajowej zasłużony stopień wojskowy rotmistrza, ma w swym otoczeniu więcej życzliwych niż niechętnych, bo pan to dobrze wychowany i uczynny dla każdego. Dzięki własnej wymagającej niezwyczajnego trudu pracy jest człowiekiem zamożnym: redaktorzy ówcześni wydawnictwa „PAX" obliczali, że honoraria przynoszą mu dziennie tyle, ile wynoszą ich uposażenia miesięczne. Prześladowań, których zaznawali w tym okresie jego koledzy (wśród nich również literaci uważający się za katolików — jak Wojciech Bąk czy Jerzy Braun) — nie doświadcza; o ile się — co oczywiste — zdarzają kłopoty z cenzurą, właśnie Dobraczyński ma się do kogo spomię-

dzy wysoko postawionych znajomych bezpośrednio odwołać, jak to było z *Kluczem mądrości*. Weźmy te same zapiski, porównajmy kontekst „26.I.1951 — Ataki w prasie na Episkopat. (...) 15.II. Poszedłem do Rapackiego prosić o pomoc w sprawie *Klucza*." (Ib.).

Krytyka literacka prędko i na ogół trafnie rozpoznała wszechstronność talentu pisarza, który się równolegle zajmował powieścią współczesną, historyczną, później nawet i kryptobiograficzną (o Dmowskim), opowieściami biblijnymi, apokryfem ewangelicznym, hagiografią, szkicami o współczesnej europejskiej twórczości katolickiej, publicystyką literacką. Poza nawiasem pozostały właściwie tylko próby — bo i te spotykamy — dramaturgiczne oraz wierszopisarskie. Reportaże i doraźne interwencje prasowe należą tu do dziennikarstwa nie ubiegającego się o miejsce na Parnasie.

Autor w zasadzie zgodził się z wyrażanymi o swej twórczości sądami. Przyznawał, że jest i życzy sobie pozostać głosicielem prawd skądinąd znanych, rzecznikiem religii maluczkich oraz katolikiem takim, jakim go uformowała przedwojenna warszawska Archikonfraternia Literacka, mająca swe od trzech stuleci uświęcone tradycje. Lekceważył przestrogi, że — mając dar łatwej i płynnej narracji — nie dba o urodę języka, którym się posługuje, co niechybnie osłabia jego literackie wzięcie wśród czytelników o większym wyrobieniu estetycznym; poprzestawał na satysfakcji nakładów idących w miliony egzemplarzy dla tych, co są ciekawi przede wszystkim rozwiązania fabuły; dzięki dobrym tłumaczom, potrafiącym przezwyciężyć mielizny stylu oryginału — nie brakło mu wydawców w większości krajów Europy, a był w pewnej zażyłości również z wieloma na świecie znanymi literatami. Pisał wytrwale. Jeśli doliczyć rzeczy pozostawione przezeń do wydania pośmiertnego, wypadnie tyle mniej więcej tytułów, ile sądzone mu było lat życia.

Autobiografizmu w tym, co beletryzował, nigdy się nie wypierał, a nawet był mu wyraźnie przychylny: wyrażał wręcz zdziwienie, gdy o prawdziwości przedstawianych sytuacji wątpiono. I na odwrót: kiedy w swoich wspomnieniach, zwłaszcza zatrącających o perypetie polityczne, wyraźnie fantazjował, przeinaczał zdarzenia oraz towarzyszące im ważne fakty — był się skłonny naprawdę żalić na tych, którzy z dokumentacją spraw opisywanych mniej byli na bakier. Nie wiedział, nie chciał wiedzieć, że jego rodzaj twórczej wyobraźni pokonywać jest zdolny bodaj i skrupuły sumienia: nad wszystkim górowała — *die Lust zu fabulieren*.

„Pisarzem szczęśliwym" nazwał Dobraczyńskiego kiedyś (1976) Jarosław Iwaszkiewicz, napomykając jedynie o „pewnej niefrasobliwości, która mu się jednak opłaca. Nie ma on strachu przed tematami..."

Najzwięźlejszą charakterystykę tego pisarstwa przedstawił w *Tygodniku Powszechnym* (1970 nr 6) jeden z wytworniejszych naszych krytyków, Jacek Łukasiewicz. Z artykułu tego wyjmuję kluczowe sześć zdań: „Czytanie Dobraczyńskiego przynosi odprężenie po trudach innych lektur, także powieści. W jego utworach zachowany jest tradycyjny porządek czasu. Wszystko dzieje się po kolei. Wątki wiążą się ze sobą; poprzez wszystkie przygody, burzliwą akcją dążymy do sprawiedliwego rozwiązania. Po drodze napotykamy wiele aktualnych i ważnych problemów, łykamy je w fabularnych opłatkach. Czytelnicy wzruszają się i gniewają, kończą książkę i sięgają po następną".

2.

Czyż jest więc tu miejsce na wspominane poszukiwanie kompensaty, na kompleks niższości? — A jednak!

Pierwszy tom swego pamiętnika zatytułował Dobraczyński *Gra w wybijanego*. Na ogół przyjemna ta książka przedstawia nam bohatera, który jest chłopcem spostrzegawczym, uczniem raczej miernym, młodzieńcem o uczuciach trwałych w przyjaźni, kawalerem nieśmiałym, kochliwym bez wzajemności, za to podchorążym wyraźnie już rozgarniętym i wysportowanym. Z „wybijaniem" rzekomo bywało tak, że przeciwnicy w czasie rozgrywek celowali do kolegów czymś się odznaczających, a gdy ci już zostali wytraceni, na placu boju pozostawał on sam, nijaki, ostatni. Ładna to nawet metafora, tyle że — o ile przypominam sobie reguły gry — w wybijanym warto co prawda ustrzelić groźnego wroga, ale w zasadzie wali się w każdego, kto się trafić pozwoli; aby uchronić się na boisku do końca, trzeba nie lada gibkości i sprytu.

Urazy Dobraczyńskiego tropić jest niezbyt łatwo, dają one bowiem znać o sobie znienacka i w miejscach mało oczekiwanych. Oto na przykład podchorążówka kawalerii w Grudziądzu, więc koledzy także z rodzin ziemiańskich, z koniem zżytych. Za każdym razem słowo ziemianin brane jest w cudzysłów. Że sam Dobraczyński uważa siebie za rdzennego mieszczanina — niech mu będzie; lecz przecież

wie on dobrze, skąd jego przed wiekami przodkowie ród wiedli, pamięta o swym walecznym pradziadzie występującym w historycznej trylogii Reymonta, a i my — jego czytelnicy — także, byle zajrzeć do Niesieckiego, łatwo poznajemy zacne Dobraczyńskiego koligacje. Dlaczego więc aż taki dystans uczuciowy do warstwy — jak się w przedbolszewickich czasach jeszcze mawiało — obywatelskiej? Odpowiedź pośrednią, że istotnie coś tu jest zapiekłe z dawna, znajduję dopiero w odezwaniu się Dobraczyńskiego z roku 1987, kiedy to wygrzebuje on jasnogórskie kazanie prymasa Glempa (15.VIII.1982!!!), by stamtąd zacytować akurat taki passus: „Rozdawanie chłopom ziemi obszarniczej było znakiem wolności". (*Wiraże* z 14.VI.1987, nr 24, *Wizyta dobrych nadziei*). Obszarniczej! Jeszcze Słownik Warszawski przy użyciu tej terminologii ma wahania, podaje przytoczenie mówiące „tak zwany obszarnik". Znak wolności! No cóż, jedni pamiętają kapitulację Niemców, drudzy — przede wszystkim manifest PKWN, ogłoszony przez rząd nielegalny...

Inna zagadka psychologiczna. Opowiada w swych wspominkach Dobraczyński, że przed wojną były w samorządzie Warszawy rozgrywki między większością pracowników sympatyzujących z narodową demokracją a nową kadrą, sanacyjną. Skutkiem nich stracił tu posadę, lecz nawinęła mu się analogiczna — w Lublinie. I pisze: „Osobiście zachowałem z tamtych lat jak najmilsze wspomnienia. Pozwoliły mi one „naładować" się wewnętrznie, uzupełnić braki wiedzy. Przeczytałem w tym czasie setki książek, przestudiowałem całe półki biblioteki im. Łopacińskich". W mniej więcej dwadzieścia lat później o tym samym życiowym epizodzie nasz autor powie, że w roku 1935 „aby uniknąć prześladowania ze strony władz sanacyjnych — schronił się do Lublina". (*Słowo Powszechne* z 14.IX.1983, nr 182, *O rehabilitację Adama Doboszyńskiego*). Upominając się o słuszną sprawę, pisząc o człowieku niewinnie ukaranym śmiercią przez władze z obcego nadania — nie umie nie wspomnieć o swoich z racji tych samych przekonań kłopocikach. Egocentryzm mimowolny zapewne, ale potężny, daje o sobie znać u Dobraczyńskiego zbyt często, aby móc przejść nad nim do porządku; pokażą się tu w dalszym ciągu jego inne jeszcze próbki.

Gra w wybijanego kończy się powrotem jej bohatera z niemieckiej niewoli do Warszawy. Jest rok 1945. Wybiegłszy myślą już poza tę datę, zostawia autor czytelnikowi sporo do myślenia intrygującym zdaniem: „Dokonał się w moim życiu wielki przełom".

3.

Samo w sobie zdanie to jest banałem: wszyscyśmy natenczas — chociażby jeszcze nie dorośli — zostali przymuszeni do przebycia wstrząsu, jakim się stała sowietyzacja naszego kraju. Nowy zaborca o tyle był przebieglejszy od dawnych, że pozostawił nam własny język urzędów i szkolnictwa. Istotny sens wyznania Jana Dobraczyńskiego o „wielkim przełomie", jeśli się właściwie go dorozumiewam, tkwiłby w tym, że z katolika, który się chciał uznawać za podporządkowanego społecznej nauce Kościoła, został katolikiem — by się tak wyrazić — prywatnym, to znaczy sprawa czystości sumienia polegać odtąd miała na osobistym porozumieniu penitenta ze spowiednikiem, bez liczącego się związku z tym, co orzeka papież i jakie zalecenia wyznawcom religii przekazują biskupi obrządku rzymskiego. Wątek przeciwstawiania prostaczków Bożych hierarchom Kościoła, nie nowy w literaturze, snuje się w powojennej twórczości Dobraczyńskiego aż nadto czasem wyraźnie.

Następna pamiętnikarska książka Dobraczyńskiego, *Tylko w jednym życiu*, odnosi się już do czasu, kiedy autor został współtwórcą „Paxu". Formalnie — i bardzo to zaznaczał — nie był członkiem tego stowarzyszenia, najwidoczniej chciał pozostać od podległości organizacyjnej w jakimś stopniu wolny, nawet jeżeli z wolności owej, gdy się o nią prosiło, korzystał co najwyżej minimalnie. Przynajmniej do roku 1982.

Gdy się dziś wczytać w publicystykę polityczną dawnych (ze ścisłego grona) współpracowników Bolesława Piaseckiego — dostrzega się wyraźnie, że ich sojusz z komunistycznym ustrojem był wyrachowanym posunięciem taktycznym; tutaj Dobraczyński jest odrębny: on z nową ustrojową formą Polski w bardzo znacznej mierze naprawdę sympatyzował. W tym upatrywałbym główną przyczynę jego niezmiernie daleko posuniętej ustępliwości przez całe lat 44, to znaczy w okresie 1945–1989. Nie ulegał rozczarowaniom, nie odróżniał (modne wciąż słówko!) etapów, był konsekwentny: *Dziś i Jutro*, mandat poselski na sejm PRL, podfirmowanie przejętego od prawowitych właścicieli (po śmierci Stalina) *Tygodnika Powszechnego*, Front Jedności Narodu, Rada Naczelna ZBoWiD (gdy inni, po likwidacji uczciwych organizacji byłych więźniów politycznych do nowego tworu nie przystąpili). Na tej krętej, lecz równej drodze przewodniczenie w stanie wojennym

PRON-owi jest czymś, co by wręcz dziwiło, gdyby... nie nastąpiło.

Znamienny mi się we wspomnieniach Dobraczyńskiego wydaje taki z pozoru drobiazg jak to, co ma on do powiedzenia o głównych postaciach polskiego Kościoła po zakończeniu wojny oraz niedługo przed aresztowaniem kardynała Wyszyńskiego. W roku 1945: „Sapieha był małym staruszkiem o smagłej twarzy. Podczas rozmowy kręcił się cały czas w fotelu". — Hlond, który okazywał Dobraczyńskiemu istotnie bardzo wiele życzliwości, doczekuje się wyrazów szczerego uznania: „Moje słowo uważał za rzecz rozstrzygającą". W niecałe dwa lata później opinia ulega znacznej modyfikacji: „Prymas tracił coraz więcej poczucie rzeczywistości, dawał się opanowywać chorobliwej mistyce. Widział wszystko w świetle wizji Melanii de La Salette, której przepowiedniami od dawna się interesował". — Wyszyński: „Prymas czuł się samotny, ale gdy do niego przyszedłem — 7 marca [1953] — rozmowa między nami nie kleiła się. Miałem uczucie, że nasze rozumowania rozbiegają się w każdym słowie. Ja także czułem się bardzo samotny". (*Tylko w jednym życiu*, 1970, w kolejności cytatów: ss. 367, 363, 373, 383-4).

Zupełne zrozumienie połączyło Dobraczyńskiego tylko z Bolesławem Piaseckim. Jesienią roku 1946 odbywał z nim autem podróż do Słupska. Jechali w zbożnym celu: wodzić na pokuszenie znanego ze swych radykalnych poglądów księdza Zieję. W drodze samochód się popsuł. Gdy go szofer naprawiał — „my dwaj chodziliśmy po szosie i dyskutowaliśmy. W ciągu tych paru godzin powiedzieliśmy sobie wszystko, uzgodniliśmy całą przyszłość. Od tego czasu mogę nie rozmawiać z Bolesławem latami — wiem, czego chce, do czego dąży, czego pragnie".

Dążenia owe (czy pragnienia? — wątpię!) urzeczywistniać się zaczęły niebawem. Na dwudziestego grudnia Ksawery Pruszyński, Aleksander Bocheński i sam Dobraczyński (w charakterze głównego mówcy) zostali zaproszeni na rozmowę do Bieruta. U wejścia do Belwederu powstał jakiś ambaras z przepustkami. Dobraczyński opisuje tę scenę, zachowując i po latach pyszny humor: „Przyszedł dowódca warty, wysłuchał naszych pretensji, po czym oświadczył: 'Ach, to wy jesteście tymi katolikami towarzysza Borejszy? Dobrze.' I kazał otworzyć bramę". (Ib., s. 371–2).

4.

Te rachuby polityczne miały, jak to już wiemy, na długą metę zawieść zupełnie. Ostał się z nich najlepiej sam tylko Instytut Wydawniczy Pax, którego zasługi przeliczne dla ratowania kultury humanistycznej w Polsce komunistycznej pozostaną trwałe. Bolesław Piasecki potrafił je dyskontować; kiedy Dobraczyńskiemu przypadła rola swoistego zarządcy komisarycznego w *Tygodniku Powszechnym*, kiedy prawowici redaktorzy tego pisma byli bez pracy lub nie mogli jej dostać w Krakowie (pani Malewska została bibliotekarką w Kórniku) — grupa pisarzy z tamtego kręgu mogła swe książki wydawać w Paxie, czynili też to nieomal wszyscy z nich. Tu także znalazła schronienie między innymi filozofia.

Kto czasów tych nie pamięta, czasów Bieruta, ale trochę i Gomułki, chciałby zaś w historii szukać porównań — niechaj czyta Tacyta *Żywot Juliusza Agrykoli:* „Snadź sądzono, że tym ogniem wytępi się głos narodu rzymskiego, wolność senatu i świadomość rodzaju ludzkiego, wypędziwszy ponadto nauczycieli filozofii i zesławszy na wygnanie wszelką szlachetną umiejętność, aby nigdzie nic uczciwego na drodze nie napotkać. Daliśmy zaiste wielki dowód cierpliwości; a jak dawne pokolenie widziało skrajną wolność, tak my widzieliśmy skrajną niewolę, kiedy szpiegowaniem odebrano nam nawet wymianę słów i myśli. Samą też pamięć bylibyśmy utracili, gdyby tak samo w naszej mocy było zapomnieć jak milczeć". (Przekład Seweryna Hammera).

Dobraczyński milczał niejednokrotnie, zasłaniając się na przykład poselską niemocą (co nie było nieprawdą, lecz po cóż w takim razie przyjmować taką rolę?), zapominać zaś umiał wprost wspaniale — i to rzeczy, które go nie mogły były nie obchodzić. Na przykład Zofię Kossak, którą uwielbiał, po prostu krzywdzi przedstawiając jej poglądy wedle modły na zabój paxowskiej; że autorka *Dziedzictwa* odważnie przeciwstawiała się zacietrzewionej głupocie Gomułki — o tym cisza głucha.

W miarę upływu lat uwagę naszego pisarza coraz bardziej przyciąga młody robiący karierę generał, który zostawszy w roku 1968 ministrem Obrony Narodowej — jego, Jana Dobraczyńskiego, awansuje do stopnia pułkownika rezerwy. Literatów zaś kombatantów z wyraźną przyjemnością zaprasza na poligon, by się przypatrywali manewrom wojskowym.

Co się kiedyś z tych pogodnych ćwiczeń miało wywikłać

— aż nadto dobrze wiemy. Tymczasem przyszła pora jubileuszy — pomiędzy sześćdziesiątym a siedemdziesiątym piątym rokiem życia zagęszczonych: już to lat przebytych, już to lat niesłabnącej liczebnie twórczości. Znów tu śledzącego te triumfy zadziwienie. Dobraczyński — jakby niepomny, że jest czytywany, że wiele przyczynił tym, co mu ufali, dobrego — wyraźnie cierpi na niedosyt oficjalnego rozgłosu; niepomiernie się też trapi, że się o nim niewiele i nieczęsto pisze w najbardziej teraz szanowanym w Polsce piśmie, w *Tygodniku Powszechnym*! To wynika jasno z wielu wywiadów prasowych. Przy niektórych z nich — po objęciu Stolicy Apostolskiej przez Jana Pawła II — ukazywać się zaczyna zdjęcie autora *Listów Nikodema*, który gdzieś tam siedział kiedyś opodal kardynała Wojtyły.

Życie publiczne Jana Dobraczyńskiego w okresie rządów Gierka szło utartym trybem. Łatwowiernie przyjął do wiadomości, że kraj wspaniale rozkwita. Toteż powstanie „Solidarności" przywitał z wyraźną rezerwą. Sam to grubo później tak wspomina: jej ideały „były mi bliskie, ale zawsze byłem przeciwny metodom walki, które prowadziły do zniszczeń gospodarczych..." (*Wprost* z 4.VIII.1991, *Wszystko po staremu*).

Ogłoszenie stanu wojennego nadeszło, gdy Bolesław Piasecki już nie żył. Stara gwardia „wodza" nie kwapiła się wesprzeć Jaruzelskiego. Z chłodnego nekrologu tak zawsze wobec przyjaciół serdecznego Zygmunta Lichniaka (*Pożegnanie Człowieka i Pisarza, Słowo*, 7.III.1994) wynika, że zaangażowanie Dobraczyńskiego w PRON było dla Stowarzyszenia Pax jak gdyby nieoczekiwane. W imię zatem bezstronności oddam, nie żałując miejsca, głos samemu głównemu bohaterowi. Spomiędzy źródeł łatwo dostępnych najszczerszy (o czym w pewnej mierze świadczy i jego naiwność) jest wywiad, którego Dobraczyński udzielił w sprawie PRON-u Marianowi P. Romaniukowi dla *Gońca Pomorskiego*. Nosi on tytuł *Moje świadectwo prawdzie* i czytać go można w numerze 105 z 31 maja 1992.

Sprawy miałyby się przedstawiać następująco:

Jaruzelski — poprzez Komendera — poprosił Dobraczyńskiego o rozmowę jakoby już w roku 1980. (Mimo wszystko sądzę, że jest to pomyłka pamięci). Rozmowa ta trwała wiele godzin. „Jaruzelski mówił o destabilizacji, niebezpieczeństwach ze strony bolszewików". Zrobił na Dobraczyńskim wrażenie człowieka przemawiającego uczciwie. „Był uwikłany w przynależność partyjną, bo marksistą to on nigdy

nie był. Chciałbym też podkreślić, że nigdy nie miał dojścia [!!!] do katolików i przypuszczam, że nie miał odwagi zaryzykować stosunki bezpośrednie". Kto by przypuszczał, że generał Jaruzelski potrafi udawać aż tak zagubionego i bezradnego! W każdym razie Dobraczyński wyszedł ze spotkania zjednany: Owszem, stanie na czele PRON-u wśród jego założycieli, tym bardziej, że — powiada — „otrzymałem obietnicę, że będę mógł dobrać sobie odpowiednich ludzi". Jak to wyszło z ową Jaruzelskiego obietnicą? — „Zawiódł mnie, niestety, na końcu" — przyznaje udzielający wywiadu — „ale przypuszczam, że zrobił to wbrew własnej woli. Mianowicie dał mi Stanisława Cioska, największego łobuza, jaki mógł być, na sekretarza PRON. Ja się broniłem przeciw temu. On w tym względzie uległ komuś. Przypuszczam, że Rakowskiemu, w stosunku do którego miał zawsze dziwną jakąś słabość". (NB: zwrot o Ciosku liczący się, gdyż Dobraczyński z zasady nie używa słów mocnych, gdy kogoś chce ujemnie scharakteryzować).

Zestawienie tego „świadectwa prawdzie" z oficjalnymi dokumentami wiedzie do wniosków dużo dalej idących. Najważniejszy z nich może jest taki, że generał Jaruzelski wprowadził Jana Dobraczyńskiego w stan — innego określenia tu nie znajduję — otóż w stan histerii. Prasa na ogół nie przekazywała nam swego czasu gorączki nerwowej, w jakiej tworzono Tymczasową Radę Krajową PRON, 15.IX.1982. Jej przewodniczący, czyli Dobraczyński w zagajeniu obrad posunął się do twierdzenia, że sprawa tak jest ważna, że dla niej „nie wolno żałować nawet życia", a to dlatego, że „świat stoi dziś bardziej niż kiedykolwiek [!] wobec grozy wojny i to wojny termojądrowej". (*Kronika PRON* nr 1).

Wedle Dobraczyńskiego — „Zadaniem PRON-u było mobilizowanie bezpartyjnych i tych partyjnych, którzy rozumieli, że czasy dyktatury myśli marksistowskiej już się skończyły". Co innego (pod przewodnictwem samego Dobraczyńskiego) otwarcie głosił członek Biura Politycznego KC PZPR, Marian Orzechowski 10.II.1983: „Przechodząc do paru spraw dotyczących działania, kompetencji i funkcji Ruchu, chciałbym przestrzec zespół redakcyjny przed dążeniem do stworzenia z PRON swoistej superwładzy, jakiegoś jej nadkontrolera. Wydaje się, że skromność w proponowaniu kompetencji i funkcji jest właściwą drogą do tworzenia naszego programu". („Materiały z II posiedzenia TRK PRON" w *Kronice PRON* nr 6, s. 114). Tak też uchwalono w *Deklaracji i zasadach statutowych PRON* (Warszawa, 1983):

„PRON powstaje i kształtuje się jako trwała wartość socjalistycznego systemu w Polsce". Wypowiedź Dobraczyńskiego we *Wprost* (l.c.) jest więc dowolną idealizacją rzeczywistych założeń, gdy już PRON przestał istnieć[1].

Jeszcze 26 maja 1989 r. przewodniczący Dobraczyński na posiedzeniu PRON-u śmiał twierdzić, że ustalenia tzw. Okrągłego Stołu wywodzą się „niewątpliwie z naszych inicjatyw i poczynań", oraz wzywał, by w wyborach do Sejmu i do Senatu w dniu 4.VI. „skupić się na lansowaniu kandydatów bezpartyjnych, przede wszystkim tych, którzy nie należą do opozycji". (*Kronika PRON* nr 25).

Był już wówczas Dobraczyński od kilku lat jednym z dziesięciu specjalnie dobranych oficerów w stanie spoczynku, którym przewodniczący Rady Państwa, Wojciech Jaruzelski, nadał szarżę generała. Doznał wprawdzie zawodu (cf. wywiad dla *Gońca Pomorskiego*, l.c.), że nie przydzielono mu auta tudzież adiutanta, lecz uszyty na miarę mundur z lampasami chętnie przyjął.

5.

W ankiecie *Polityki* „Mea culpa" (29–30.XII.1989) Jan Dobraczyński wyraził coś w rodzaju żalu, że się Ochabowi dał namówić na bycie posłem do sejmu w roku 1952 oraz Jaruzelskiemu na PRON w trzydzieści lat potem. Za usprawied-

1. Przepatrywanie materiałów odnoszących się do PRON zahacza o drugą efemerydę polskiego stanu wojennego: o Obywatelskie Komitety Odrodzenia Narodowego (OKON). Miały one nawet lekkie poparcie ze strony kardynała Glempa, przynajmniej początkowo. Przejawiały ochoczość działania zwłaszcza w mniejszych miastach wojewódzkich; w Lublinie na przykład stanęła na czele OKON dziewięćdziesięciodwuletnia literatka Maria Bechczyc-Rudnicka. Wraz z okrzepnięciem PRON — „Okonie" (jak je zwano) przestały się liczyć, o co ich przedstawiciele zgłaszali pretensje do władz państwowych. I tu — niespodzianka! PZPR przestraszyła się tego ruchu! Pisze o tym niejaki Bogdan Mikołajczyk w artykule *Pierwsze doświadczenia*: „Wyrażane są obawy, czy Komitety nie zostaną potraktowane jako otwarcie furtki dla działań grup, które przed 13 grudnia ubiegłego roku angażowały się w demontaż Państwa i gospodarki". (*Obywatelski Ruch Odrodzenia Narodowego*, Warszawa 1982, „Książka i Wiedza", s. 20). — Episkopat Polski krytycznie wypowiedział się o proklamowaniu PRON w swym memoriale do premiera Jaruzelskiego z 30 września 1982. Dobrze wybrany fragment tego memoriału cytuje Andrzej Micewski: *Kościół wobec „Solidarności" i stanu wojennego*, Paris 1987, Editions du Dialogue, s. 127.

liwienie ma służyć nieumiejętność wybrania „między sprawą a człowiekiem"; odwołuje się on do niezliczonych drobnych pomocy skrzywdzonym, których się podejmował, ilekroć się doń zwrócono. I rzeczywiście, wątpliwa teoria „mniejszego zła" do pewnego stopnia może się sprawdzać. Stan wojenny tak był pomyślany, ażeby minister Kiszczak mógł dać przepustkę internowanemu lub go nawet wypuścić, gdy się ktoś znaczny za aresztantem grzeczną prośbą ujął. Czy w czymkolwiek ktokolwiek był w stanie zapobiec dokonanym wtedy z całą premedytacją — zbrodniom? Mówię tylko, rzecz prosta, o ludziach uczciwych. Dlatego to artykuł ten o Janie Dobraczyńskim piszę z przykrością; artykuł nie o fikcjach literackich, które powołał on do życia, lecz o żałosnych postępkach, w których uczestniczył, a które stanowiły jego własną fikcję polityki. Mamy jednak obowiązek pamiętania.

Toteż nie zapomnimy i tego, że Janowi Dobraczyńskiemu przyszło dożywać swych dni w osamotnieniu. Pod sam koniec dane mu jednak było doświadczyć radosnego wzruszenia: został uznany za Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Przypomniano sobie jego udział w ratowaniu w Warszawie pod okupacją niemiecką dzieci żydowskich[2].

Ostatni ten akt i zwłaszcza moment przed zapadnięciem kurtyny każe myśleć o moralitetach. Że cnota nie wymaga wrzawy, że jej czyny dokonują się prawie zawsze jak gdyby w konspiracji. Nagroda — jeśli przychodzi — zazwyczaj zjawia się późno. I to jest właściwe. Nie ma „mniejszego" bądź „większego" dobra. Sam język ustanowił tu po polsku zaporę i normę. Stopniowanie wygląda inaczej: każde dobro ma wymiar ten sam; i dopiero wobec wieczności może wystąpić od razu superlatyw — gdy się myśli albo mówi o dobru najwyższym.

Bardzo zasłużony dla katolicyzmu pisarz, jakim bez żadnej wątpliwości Dobraczyński był i zostanie, chciał poza tym też odgrywać widoczną rolę jako swego kraju obywatel. W pierwszej połowie życia działał prosto, przeto skutecznie i zaszczytnie: publicysta, społecznik, literat, waleczny oficer. Później — wśród perfidii narzuconego Polsce ustroju — nie zdołał dostrzec, że wróg nasz ościenny, aby skuteczniej po-

2. Zadowolony z siebie, jak zwykle, *Przekrój* w numerze 12 z roku 1994 zamieścił jednozdaniową o tym wzmiankę tej treści: „...przed wojną związany z endecją, a mimo to ma medal 'Sprawiedliwy wśród Narodów Świata'". Redaktorom pisemka polecam lekturę szkicu, który Dobraczyński poświęcił Adolfowi Nowaczyńskiemu, drukowanego w kilku wydaniach *Gwałtowników*.

służyć się wrogami rodzimymi, pilnie poszukuje właśnie ludzi z usposobienia prawych; ich wynalezienie wśród spadkobierców dawnej kultury, ich staranne poddanie omamieniu maskowało — przynajmniej do czasu — istotę knowań. Ci to przede wszystkim biedacy otrzymywali w nagrodę swej gorliwości osławioną błyskotkę: order Budowniczego Polski Ludowej.

Jakże otrzeźwiające bywało niejednokrotnie w naszych dziejach — i da Bóg, nie utraci swej mocy — czytywanie „Potopu". Sienkiewicz, którego Tacyt był lekturą ulubioną, w barwną akcję po mistrzowsku wplatał ważne przestrogi. Chociażby tę, co ją w oblężonym klasztorze jasnogórskim wypowiada „najstarszy wiekiem, powagą i urzędem" pan Zamojski, odradzając paktowania z obłudą:

„Haniebna albowiem i niegodziwa rzecz jest sromotną uległością niepewny pokój u wiarołomnego nieprzyjaciela okupować".

Andrzej BIERNACKI

Ślad poety

Ponieważ zamierzam omówić tu angielską książkę* belgijskiej slawistki o rosyjskim poecie zmarłym dawno temu *in odore mediocritatis* winienem polskim czytelnikom parę słów na temat: co ich to może obchodzić? Za częściową odpowiedź niech posłuży cytat z tekstu Karola Irzykowskiego z 1922 r.: „Gdy w 'Krokwiach' przeczytałem przekład wierszy Siewierianina, musiało to przecież osłabić moją sympatię dla poezyj Wierzyńskiego. [...] Nie zarzucam rozmyślnego plagiatu, lecz już brak kontroli nad 'wpływem' wydaje złe świadectwo". Trochę to za ostro powiedziane, a ponadto autorowi „Wiosny i wina" należy wybaczyć przelotną młodzieńczą miłość do „siewierianizmu", bo zdarzyło się to nie tylko

* Lenie Lauwers, *Igor Severjanin. His Life and Work — The Formal Aspects of His Poetry*. Leuven (Peeters) 1993, XXIV + 289 p. ISBN 90-6831-491-2.

jemu — wiele wczesnych utworów innych skamandrytów (zwłaszcza Tuwima, por. np. „Sen złotowłosej dziewczynki") oraz „średniego" Gałczyńskiego (por. np. „Farlandię") zawiera sporo śladów tej samej inspiracji. Ślady te dotychczas nie zostały systematycznie zbadane, więc choćby z tego względu monografia Siewierianina winna zainteresować różnych -istów, z polonistami na czele. Może też zająć poniektórych zwykłych czytelników, gustujących w kuriozach literackich.

Sława „ego-futurysty" Igora Siewierianina (1887-1941; prawdziwe nazwisko: Łotarew) zaczęła się tomikiem pt. *Gromokipiaszczij kubok* („Kubek kipiący piorunami" [?!], 1913), ale jego znakiem firmowym stał się sławny wiersz z następnego zbioru pod eponimicznym tytułem „Ananasy w szampanskom" (1915), a zaczynający się od słów „*Ananasy w szampanie, ananasy w szampanie — Cudownie smaczne to, skrzące się i cierpkie!*". Mimo toczącej się właśnie wojny (a może właśnie dzięki niej, jako kontrast) rosyjscy czytelnicy Siewierianina zostali na pewien czas urzeczeni bajkowym, choć też i z lekka kiczowatym światkiem jego wierszy pełnych księżniczek, klejnotów, cylindrów, egzotycznych roślin (w rok po „Ananasach" ukazał się tomik pt. „Victoria regia"), *five o'clock*'ów w *chambres séparées*, lodów z bzu (!) tudzież wytwornych pojazdów konnych i mechanicznych (specjalność poety i główny tytuł jego pretensji do „futuryzmu"). Autor tego poetyckiego jarmarku w sposób mistrzowski umiał połączyć popularne rekwizyty operetkowego *high-life*'u, pozór nowoczesności i brawurową formę słowną — melodyjną, pełną pomysłowych neologizmów, a równocześnie nie wymagającą nadmiernego wysiłku intelektualnego. Nim ktokolwiek rzuci kamieniem przypomnę, że podobną aurę — choć dostosowaną do epoki Art Deco — mają przedwojenne wiersze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Siewierianin był meteorem, którego blask przyćmił na kilka lat wszystkich jego współczesnych kolegów po fachu z Majakowskim włącznie. Budził podziw, rozbawienie i nie pozbawioną zazdrości irytację, jak świadczy zacytowany przez Jerzego Stempowskiego (por. jego „Listy do Jerzego Giedroycia", W-wa 1991, str. 27) fragment współczesnego pastiszu: *Nadojeli nam eti ananasy w szampanskom / Uż bolno oni nam pierejelis' / Dawaj chot' kartoszku w zelterskoj / Lisz by czto nibud' drugoje!*

Pora ziemniaków w wodzie sodowej (czy wręcz zwykłej) przyszła wkrótce potem, wraz z rewolucją, emigracją do Estonii i — co najgorsze — zmianą smaku literackiego. Twórczość tego domorosłego Oscara Wilde'a *cum* Frau Courts-Mahler stała się już z początkiem lat 20-tych synonimem złego gustu i przestała być brana na serio. W dziesięć lat później mało kto jeszcze w ogóle wiedział, że eks-pieszczoch petersburski, mieszkający obecnie z żoną-Estonką w małej wiosce nad Bałtykiem nadal sporo pisze i publikuje w emigracyjnych wydawnictwach Berlina, Bukaresztu i Belgradu. Zamiast ananasów w szampanie pokarmem poety stały się raczej ryby, które łowił w większej ilości niż nowych czytelników. Pewne uznanie zyskał sobie jeszcze wśród Estończyków licznymi przekładami poezji swej przybranej ojczyzny na rosyjski, ale to już oczywiście nie było to co dawniej. Siewierianin stał się klasycznym *ci-devant* — z całą goryczą tej kondycji. Jedyną jej dobrą stroną było to, że oszczędziła mu ona na początku II wojny światowej prześladowań ze strony okupantów Estonii — najpierw sowieckich, potem niemieckich. Nie wywieziono go na Sybir ani nie zamknięto w obozie koncentracyjnym. Względnie spokojnie, choć praktycznie w nędzy zmarł w Tallinie w grudniu 1941 i spoczywa tam do dzisiaj.

Ale *non omnis mortuus est*: badania slawistyczne zaczęły z wolna ujawniać jak wielki wpływ jego pozornie bezwartościowe wiersze miały na rosyjską poezję wyższego lotu i jakim był nowatorem w zakresie metrum, *genre*'ów i słownictwa. A co więcej — gusta znowu się zmieniły, poważni badacze uznali Siewierianina za prekursora pop-art'u, a oddalenie w czasie przydało tej „dobrej złej poezji" podobnego uroku, jaki mają niemodne tanga, stare pocztówki i szklane wazony *Gallé*. Napisanie poważnej monografii o tym autorze stało się palącą potrzebą, ale nie była to sprawa łatwa: jego utwory (zwłaszcza z okresu emigracyjnego) są trudne do znalezienia, opublikowanych materiałów biograficznych jest niewiele, a analiza najważniejszej strony jego twórczości — osiągnięć formalnych — wymaga poważnej wiedzy fachowej i lat intensywnej pracy. Na szczęście dla literaturoznawstwa i cieniów zapoznanego poety znalazła się odpowiednia badaczka w osobie louveńskiej slawistki Lenie Lauwers. Jej książka (oparta na pracy doktorskiej obronionej kilka lat temu) jest wzorem sumienności naukowej, olbrzymiej pracy i *last but not least* dobrego stylu: niezwykle rzeczowego, a równocześnie uderzającego powściągliwą elegancją.

Żeby nieco ukonkretnić mój entuzjazm podam pobieżny z konieczności opis tej książki, której tytuł po polsku można

by oddać jako: *Igor-Siewierianin. Życie i dzieło. Formalne aspekty jego twórczości.* Jak już widać z podtytułu, dzieli się ona na dwie części, przy czym pierwsza zajmuje się nie tylko biografią poety, ale daje też tło historyczno-literackie epoki i zwięźle omawia tematykę twórczości Siewierianina. Druga ma charakter techniczny. W czterech rozdziałach autorka omawia kolejno: metrum, rym, neologizmy i gatunki używane — a często też wynalezione (por. np. *carte-postale* lub *habaneretta*!) — przez poetę. Słowo „omawiać" nie ma tu nic ze zwykłej ogólnikowości, gdyż każdy z tych czterech tematów jest poparty dziesiątkami szczegółowych tabel i indeksów; ta część pracy przypomina wręcz tablice logarytmiczne. Żeby dać pojęcie o rozmiarze pracy potrzebnej do ich zestawienia warto wspomnieć, że np. ustalenie schematów rytmicznych wymagało szczegółowej analizy (z ołówkiem w ręku) ponad 40 000 wersów — bo tyle Siewierianin w swym życiu napisał. Samo wyeliminowanie powtarzających się w różnych tomikach wierszy (dla uniknięcia powtórzeń przy prezentacji) wymagało 1.447.551 porównań tekstów. Tutaj akurat pomógł komputer, ale w większości wypadków jedyną pomocą naukową była benedyktyńska praca i perfekcjonizm autorki oraz — co widać, mimo naukowej obiektywności prezentacji — umiłowanie tematu i sympatia do niezbyt mądrego i zdecydowanie niezaradnego życiowo poety. Autorka z wyraźnym współczuciem opisuje samotność i biedę Siewierianina i z dobrotliwym pobłażaniem przechodzi do porządku nad jego nieodpowiedzialnymi romansami i sporą ilością nieślubnych dzieci. W jej prezentacji ten poeta sam był wiecznym dzieckiem obdarzonym talentem do pisania niezbyt głębokich, ale olśniewających wirtuozerią i melodyjnością wierszy. Trochę taki Gałczyński *à la russe* — i czyta się go z podobną, nieco wstydliwą przyjemnością, przypominającą folgowanie wyniesionemu z dzieciństwa zamiłowaniu do kolorowych karmelków.

M. BROŃSKI

Gabriel Laub wraca do Polski

Czasy, w których żyjemy, są coraz bardziej dziwne. Przekonuję się o tym nieustannie, przekonałem się i teraz, gdy zbiegiem okoliczności wpadła mi w ręce mała książeczka aforyzmów Gabriela Lauba*. Po wielu innych przekładach, autor doczekał się tłumaczenia na polski. Czyli — można zasadnie stwierdzić — na język ojczysty. Może lepiej: na język pierwszy. Laub pisze po niemiecku — w czwartym swoim języku. O ile mi wiadomo, istniał dotąd tylko jeden pisarz, który w czwartym języku uzyskał sukces: Joseph Conrad. Laub jest tym drugim: jego książki sprzedały się dotąd w liczbie około pół miliona egzemplarzy.

Urodził się w 1928 roku w Bośni. Z rodziną uciekł przed Niemcami do Sowietów, co oczywiście skończyło się zesłaniem. Maturę zdał w Krakowie w 1946, po czym pojechał na studia do Czechosłowacji, w którym to kraju pozostał do roku 1968, gdy wyemigrował do Niemiec Zachodnich. Pracował dla *Die Zeit*, uzyskał sobie spory rozgłos jako satyryk (np. książki „Cała władza w ręce szpiegów" — oczywista aluzja do sformułowania „cała władza w ręce rad" — czy „Powstanie grubasów"). Jako dziennikarz — także radiowy — sporo życzliwej uwagi poświęcał wydarzeniom w Polsce. Jest żywym przykładem kogoś, kto w epoce internacjonalizmu stawia się raczej po stronie małych niż wielkich narodów. W jednym z aforyzmów powiada: „*Internacjonalizm* jest dzielony następująco: małym narodom daje się *inter*, wielkie narody zatrzymują *nacjonalizm*". Gabriel Laub jest typowym przedstawicielem ideologii *inter*, którą może warto starać się upowszechnić.

Jego aforyzmy to bez wątpienia dalszy ciąg linii wyznaczonej przez Karla Krausa i Stanisława Jerzego Leca. Obok żywej wrażliwości językowej — co oczywiste u kogoś wielojęzycznego — gromadzą one olbrzymi zapas życiowego doświadczenia. Gdy przeczytałem: „Kochać ludzkość? Spróbuj wpierw pokochać jednego człowieka", przypomniałem sobie natychmiast niemal identyczne sformułowanie Wisławy Szymborskiej. Ta zbieżność nie byłaby niczym zastanawiającym, gdyby nie okoliczności, w jakich Szymborska tę myśl wypowiedziała. Otóż odpowiadając w jednym z wywiadów na zapytanie dlaczego zaangażowała się w socrealizm, stwierdziła (cytuję z pamięci): „Bo byłam głupia. Kochałam

* Gabriel Laub: *Myślenie psuje charakter.* Aforyzmy. Autoryzowany przekład, wybór i wstęp Marian Dobrosielski i Jan Koprowski, Studio Plastyczne Eugeniusz Józefowski, Wrocław 1993, s. 72.

ludzkość — czy rozumie Pan, o czym mówię? Nie wolno kochać ludzkości, trzeba lubić ludzi".

Wyczulenie Lauba na sprawy społeczne, na paradoksy rządzące naszym życiem i myśleniem — wszystko to sprawia, że lektura tych aforyzmów jest zajęciem pasjonującym. Tak dla „zwykłego" czytelnika, jak dla teoretyka literatury. Tego ostatniego zainteresują przede wszystkim te teksty, które poświadczają przewrotną samoświadomość literacką autora. Gdy czytam, że „Przyszłość literatury tkwi w aforyzmie. Nie można go sfilmować", od razu widzę — co oby się nie sprawdziło! — referenta wygłaszającego traktat na ten temat. Świat jednak jest okrutny i obawiam się, że niebawem taki referat usłyszę.

Zastanawiałem się czy nie napisać tej recenzji w formie zbioru dedykacji dla poszczególnych ludzi. Dla każdego coś stosownego by się tu znalazło. Gdy jednak przeczytałem całość, wybrałem aforyzm stosowny dla olbrzymiej większości tych, o których myślałem: „Kiedy wreszcie osiągnął stanowisko, które zezwalało mu mówić wszystko, co myśli, myślał już tylko o swym stanowisku". Mam nadzieję, że nożyce się nie odezwą. Nie mam zamiaru umierać ze śmiechu.

Przekład aforyzmów jest autoryzowany, co jednak nie zwalnia od kilku słów krytyki. Tłumacze bardziej zajęci byli treścią niż formą, co w wypadku aforyzmu rzadko wychodzi mu na dobre. Jeśli czytelnik znajduje w takim tekście coś zbytecznego, wówczas oznacza to, że nie jest to tekst doszlifowany. I tak np. w zdaniu „On robił, co potrafił, aby ukryć, że nie potrafi tego, co robi" dosłowność tłumaczenia jest zbyt formalistycznie pojmowana — po polsku należy raczej zaimek osobowy opuścić (w niemieckim jest konieczny). Na szczęście tego rodzaju potknięć nie ma tu zbyt wiele. Piszę o tym dlatego, że warto Lauba polskiemu czytelnikowi przybliżyć, warto tłumaczyć, lecz trzeba — właśnie ze względu na specyfikę form jego utworów — czynić to ze szczególną pieczołowitością.

I na koniec parę słów o dziwności czasów, w jakich żyjemy. Tłumacze Lauba — Marian Dobrosielski i Jan Koprowski — to (w szczególności ten pierwszy) ludzie, którzy w swej drodze życiowej, postawie politycznej i ludzkiej, są dokładnym przeciwieństwem autora, którego przekładają. Ja osobiście do końca życia nie zapomnę wspaniałego aforyzmu, jakim nas, studentów filozofii, obdarował w czasie publicznej dyskusji ówczesny docent Dobrosielski. Spurpurowiały z wściekłości wrzasnął ponad ćwierć wieku temu: „Zebraliśmy się tutaj po to, aby dyskutować, nie po to, byście mnie przekonywali". 8 marca 1968 roku dyskutował dość aktywnie na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego okładając studentów — sam to widziałem. Z tego nie wynika, oczywiście, nic ponad to, że życie i czasy są dziwne.

Zacytujmy Lauba: „Lęk egzystencji? Są ludzie, których egzystencja bardziej mnie przeraża niż moja własna".

Leszek SZARUGA

Aforyzmy

Na tym świecie warto być całe życie turystą. Turystom pokazuje się tylko to, co warte widzenia.

Czas to pieniądz, którego nie można odłożyć w banku na późniejsze lata.

Życie potrafi być miłe. Ale czyni to niechętnie.

Ludzkość może zachować tylko jedno z dwojga — albo pamięć o sobie, albo szacunek dla siebie.

Przy pierwszej próbie myślenia ludzkość zaczęła żyć ponad stan.

Mózg i tyłek to naczynia połączone: nikt nie zacznie myśleć, dopóki nie dostanie kopniaka w dupę.

Dinozaury wymarły, gdyż miały niedorozwinięty mózg. Ludzkość próbuje drogi odwrotnej.

Teoria: nieograniczony zapas cytatów na wszystkie okazje.

Władza teorii? Teoria władzy? Jedni mają władzę, inni teorie.

Niektórzy walczą o Idee, inni o zarobek. Lepsze idee mają w końcu ci, którzy mają lepsze zarobki.

Bogowie stają się niewiarygodni za sprawą wierzących.

Szachy to uczciwa gra: nie wmawia się pionkom, że się je poświęca dla idei, a figury nie wmawiają sobie, że są graczami.

Cytaty są lepsze niż argumenty. Potrafią rozstrzygnąć dyskusję bez konieczności przekonania przeciwnika.

Każda religia mierzy wiarę wyznawców podług gorliwości z jaką znoszą drewno na stosy.

Jakie to szczęście, że do szczęścia nie można nikogo zobowiązać!

Kodeks moralny to zbiór praw, których część ludzi nie dotrzymuje, ponieważ ich nie uznaje, a część ludzi nie uznaje, ponieważ ich nie dotrzymuje.

Dywan nie powinien być wart więcej niż ludzie, którzy go depczą.

W niebezpieczeństwie każdy może się zdobyć na odwagę. Bądź odważny, gdy nie ma niebezpieczeństw!

Kretynizm przenosi się przez stosunki. Służbowe.

Uczyć się od życia? A ma ono plan nauczania?

Jeśli ktoś chce trzymać krok, musi czasem wdepnąć w gówno.

— Spaść z piątego piętra, to nic! — powiedział windziarz. — Ja byłem dawniej dyrektorem w tym hotelu.

Zaharowuje się na śmierć, bo chce dobrze żyć.

Obchodzi się bez wyrazów obcych, gdyż wie, co chce powiedzieć.

Kosmopolita: człowiek z największą ilością rodaków.

Skończył się monopol jednego rodzaju głupoty. Niech żyje wolna konkurencja wszystkich rodzajów!

Za ideologię płaci się stratą samodzielnego myślenia. Dla tych, którzy nie mają nic do stracenia, jest podarunkiem.

Tonące społeczeństwo znajduje wielu ofiarnych ratowników. Większość z nich, niestety, nie umie pływać.

Żaden naród nie jest głupszy od innych — byłby to wyczyn nad siły.

Gabriel LAUB

Bolesław Leitgeber: Polak i kosmopolita

Biografie i autobiografie sławnych ludzi, jako gatunek zwany czasem „literaturą faktu", są — jak nas informują specjaliści analizujący trendy czytelnicze — formą literacką cieszącą się niesłabnącą popularnością. Przyczyną jest zwykle zainteresowanie osobą autora, rzadziej wybitne walory literackie. Dobra (auto) biografia to taka, która komponuje wizerunek osoby portretowanej na tle obrazu epoki.

Autobiografia Bolesława Leitgebera: „Bez przesądów i lęku: Z Albumu Poznańskiego Dyplomaty, Malarza i Podróżnika", wyszła niedawno w drugim, uzupełnionym przez autora na krótko przed jego śmiercią w 1993, wydaniu (pierwsze ukazało się w 1979, nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie). Jest ta książka czymś więcej niż zapisem indywidualnego, nawet jak na nasze niespokojne czasy, niezwykle ruchliwego i czynnego życia. Przeglądają się w nim, jak w lustrze, węzłowe problemy naszego czasu; może nie przypadkiem przyszedł on na świat w roku, którym rozpoczynał się XX wiek.

To właśnie szeroka skala jego zainteresowań — od problemów społeczno-politycznych, poprzez pasje artystyczne do szerszych rozważań filozoficznych (w których próbował dokonać syntezy doświadczeń Wschodu i Zachodu) — wyrażona z żywym talentem gawędziarza, robi tę książkę tak zajmującą lekturą.

Bo też i życie miał niezwykłe Bolesław Leitgeber; urodzony pod zaborem pruskim w zamożnej poznańskiej rodzinie, pochodzenia pierwotnie niemieckiego (przodkowie przywędrowali do Polski w połowie XVIII w.), uczęszczał do szkół niemieckich (fakt, który nie tylko nie stłumił a, paradoksalnie, utwierdził w nim ducha polskości!). Idąc za swoimi inklinacjami artystycznymi, którym pełny upust da w swoim późniejszym życiu, rozpoczyna studia na wydziale architektury. Rychło jednak rzuca je na rzecz zainteresowań natury społeczno-politycznej. Czasy były ciekawe tuż po pierwszej wojnie, gdy jednoczyła się (nie bez problemów) państwowość II Rzeczypospolitej. Młodzieńca o otwartej głowie pociągała kariera dyplomatyczna.

W trakcie swojej dobrze się rozwijającej kariery w MSZ, jest bacznym obserwatorem sytuacji politycznej Polski w między-

wojennym dwudziestoleciu. Nie można się oprzeć refleksji, że położenie naszego kraju mogłoby wyglądać inaczej, gdyby ludzie pokroju Leitgebera stali u steru polityki zagranicznej (szkoda, że nie brano pod uwagę jego dogłębnej znajomości niemieckich sąsiadów).

W czasie drugiej wojny światowej Leitgeber znajduje się w Londynie i powraca do MSZ (z którego został zwolniony za czasów Becka) w charakterze I sekretarza londyńskiej ambasady. Jako taki obracał się w bliskim kręgu gen. Sikorskiego.

Po wojnie udaje mu się, w przeciwieństwie do tylu osobistości emigracyjnego rządu, rozpocząć nową karierę (odziedziczył po ojcu coś, co sam nazywa „automatyzmem powodzenia"). Ze świeżym entuzjazmem włącza się w orbitę nowo ukonstytuowanej Organizacji Narodów Zjednoczonych, której to instytucji służy do końca swojej kariery na arenie międzynarodowej. Pracuje najpierw w jej siedzibie głównej w Nowym Jorku (gdzie mu trochę dokucza „przewaga elementu amerykańskiego"), a potem „w terenie" w różnych egzotycznych miejscach globu jak Liberia w Afryce Zachodniej i Indie. Po przejściu na emeryturę nie zaprzestaje podróży po krajach śródziemnomorskich i Bliskiego Wschodu. Rozwija działalność kulturalną (jest wysłannikiem UNESCO w Egipcie, gdzie pracuje na rzecz międzynarodowej kampanii przeciwko konstrukcji zapory wodnej pod Asuanem); maluje (w siódmej dekadzie życia ma 10 wystaw w ciągu 10 lat, które spotykają się z życzliwym przyjęciem krytyki).

Do końca nie traci idealizmu (który dziś może się nam wydać naiwnie anachroniczny) co do możliwości „harmonizacji interesów państw, bloków, ideologii".

Lekturę tej książki, którą, jako się rzekło, czyta się tak wartko jakby to była powieść przygodowa, warto polecić specjalnie ludziom młodym, wykarmionym na sterylnej pożywce młodzieżowej „kultury uniwersalnej". Może ona być inspirującym przykładem, że nie jest rzeczą niemożliwą godzić „kosmopolityzm" (rozumiany przez autora jako „sposób życia na arenie międzynarodowej" i „identyfikacji z otwartym polem świata") ze szczerym przywiązaniem do wartości wyniesionych z gniazda rodzinnego i ojczystego kraju, który mu dał pierwszą szkołę wychowania obywatelskiego. Dlatego bardzo się chwali poznańskiej firmie o (dziwnej) nazwie „Media Rodzina of Poznań", że przypomniała polskim czytelnikom dzieje życia swego zasłużonego „krajana" i lokalnego patrioty.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Nadesłane nowości wydawnicze

PIWOWARSKI (Krystian). *Paryżanin.* Powieść. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. „Od nowa" S-ka wydawnicza, Warszawa 1994).

ZALEWSKI (Zbigniew). *Pośrodku słońca.* Wiersze. Str. 36. (Wydawnictwo „Myśl", Warszawa 1992).

SOSNOWSKI (Andrzej). *Sezon na Helu.* Wiersze. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Stowarzyszenie Literackie „Kresy", Lublin 1994).

THOMKE-RACHLEWICZ (Krystyna). *Refleksje na cztery pory roku.* Wiersze ilustrowane przez Autorkę. Str. 56. (Wyd. nakładem Autorki, Rosenheim - Bawaria - 1994).

Dom Polski - Ostrava. Informator. Str. 48. (Wyd. Dom Polski S.A., Czeski Cieszyn 1993).

KUSHNER (Karol S.). *Komu potrzebny jest Bóg.* Przekład: Małgorzata Koraszewska. Str. 184 i 4 nlb. (VERBINUM — Wydawnictwo Księży Werbistów, Warszawa 1994).

NICIEJA (Stanisław Slawomir). *Z Kijowa na Piccadilly.* Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza. Str. 220 i 4 nlb. (Wydawnictwo Helonia, Opole 1994).

Ludwika Ogorzelec. Katalog prac i wystaw. Tekst: Zbigniew Makarewicz. Strony nie numerowane w języku polskim i angielskim. (Wyd. Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, Warszawa 1994).

CHRUŚLIŃSKA (Iza). *Była raz „Kultura"...* Rozmowy z Zofią Hertz. Słowo wstępne Czesław Miłosz. Str. 152. (Wyd. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1994).

ŁĘTOWSKA (Ewa). *Po co ludziom konstytucja* Str. 146. (Biblioteka Komitetu Helsińskiego w Polsce — Wyd. Agencja EXIT, Warszawa 1994).

SALLMANN (Jean-Michel). *Czarownice oblubienice szatana.* Przekład: Maja i Adam Pawłowscy. Str. 192. (Wydawnictwo Dolnośląskie, seria: Krajobrazy Cywilizacji, Wrocław 1994).

KOŁAKOWSKI (Leszek). *Obecność mitu.* Str. 152 i 4 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).

IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Opowiadania.* Posłowie Andrzej Zawada. Str. 600 i 6 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, seria: Biblioteka Klasyki, Wrocław 1994).

DI LAMPEDUSA (Giuseppe Tomasi). *Lampart.* Przekład Zofia Ernstowa. Posłowie Gustaw Herling-Grudziński. Str. 340. (Wydawnictwo Dolnośląskie, seria: Biblioteka Klasyki, Wrocław 1993).

VINCENZ (Stanisław). *Outopos.* Zapiski z lat 1939-44. Str. 204 i 28 nlb. — ilustracje. (Wydawnictwo Dolnośląskie, seria: Z Brulionów, Wrocław 1993).

Kultura skupisk polonijnych. Materiały z II Sympozjum Naukowego, Warszawa, 12 i 13 maja 1988 r. Opracowanie: Krzysztof Groniowski, Andrzej Kłossowski, Witold Stankiewicz. Str. 436. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1994).

GOMBROWICZ (Witold). *Iwona, księżniczka Burgunda — Ślub — Operetka — Historia.* Słowo wstępne — Jerzy Jarzębski. Esej *Od bosości do nagości* — Konstanty A. Jeleński. Str. 416 i 4 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1994).

MIERNIK (Ryszard). *Kraina Świętego Jelenia.* Str. 88. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Domu Środowisk Twórczych „Pałac T. Zielińskiego", Kielce 1994).

Historia XCIX Acta Universitatis Wratislaviensis N° 1363. Aleksander Srebrakowski; Sejm Wileński 1922 roku — Idea i jej realizacja. Str. 142 i 26 nlb. — ilustracje. (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993).

Studia Wschodnie. Prace historyczne II. Str .142 i 2 nlb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993).

CIESIELSKI (Stanisław), HRYCIUK (Grzegorz), SREBRAKOWSKI (Aleksander). *Masowe deportacje radzieckie w okresie II wojny światowej.* Prace historyczne III. Str. 178 i 2 nlb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993).

Studia z dziejów kultury i mentalności czasów nowożytnych. Redakcja: Krystyn Matwijowski i Bogdan Rok. Prace historyczne IV. Str. 166 i 6 nlb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993).

Z dziejów Galicji, Śląska, Polski i Niemiec. Prace ofiarowane prof. dr. Adamowi Galosowi w 70-tą rocznicę urodzin. Prace historyczne V. Str. 240. (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1994).

RYBIŃSKI (Maciej). *Moje przypomnienia od urodzenia.* Pamiętniki ostatniego wodza naczelnego powstania listopadowego. Opracowanie Zbigniew Fras i Norbert Kasparek. Seria „Prace Historyczne". Str. 188. (Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993).

JANKOWSKA (Magdalena). *Zbiór otwarty.* Wiersze. Str. 34 i 2 nlb. (Wydawnictwo Lubelskie Nowe, Lublin 1994).

GŁĘBOCKI (Henryk). *Studencki Komitet Solidarności w Krakowie 1977–1980.* Zarys działalności. Str. 270. (Wyd. Krajowa Komisja Koordynacyjna NZS, Warszawa 1994).

KĘDER (Cezary K.). *Sekwencje.* Str. 52. (Wyd. Kwartalnik Literacki „FA-art", Bytom 1994).

BOCHEŃSKI (Adolf). *Między Niemcami a Rosją.* Posłowie Mieczysława Pruszyńskiego. Wydanie II poprawione i rozszerzone na podstawie wydania *Polityki*, Warszawa 1937. Str. 152. (Wydawnictwo „Nałęcz", Cykl „Klasyka publicystyki politycznej" t.I, Warszawa 1994).

DŁUGAJCZYK (Edward). *Tajny front na granicy cieszyńskiej.* Wywiad i dywersja w latach 1919–1939. Str. 283 i 12 nlb. (mapa i fotografie). (Wyd. „Śląsk, Katowice 1993).

BIGOSZEWSKA (Maria). *Ciało niepewne.* Wiersze z rysunkami Grzegorza Kierzkowskiego. Str. 48. (Wyd. Fundacja Literacka TIKKUN, Warszawa 1994).

BUKOWSKI (Charles). *Listonosz.* Przełożył z angielskiego Michał Ratyński. Str. 196. (Wyd. Noir sur Blanc, Szwajcaria 1994).

Kalendarz śląski '94. Str. 200. (Wyd. ZG PZKO, Rocznik XXX, Czeski Cieszyn 1993).

Studia z historii czytelnictwa – tom 5. Instytucje – publiczność – sytuacje lektury. Redakcja: Janusz Kostecki. Str. 318 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Instytut Książki i Czytelnictwa, seria: Z Dziejów Kultury Czytelniczej w Polsce – 9, Warszawa 1994).

HERBERT (Zbigniew). *Martwa natura z wędzidłem.* Szkice i Apokryfy. Str. 180 i 2 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993).

HERBERT (Zbigniew). *Raport z oblężonego miasta.* Wiersze. Wydanie II. Str. 102 i 2 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993).

HERBERT (Zbigniew). *Elegia na odejście.* Wiersze. Wydanie II. Str. 52 i 4 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993).

HERBERT (Zbigniew). *Rovigo.* Wiersze. Str. 60 i 4 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993).

HERBERT (Zbigniew). *Pan Cogito.* Wiersze. Wydanie II poprawione. Str. 90 i 6 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993).

SUTZKEVER (Abraham). *Zielone akwarium.* Przełożył Michał Friedman. Wstęp Ruth Wisse. Str. 164 i 4 nlb. (Wydawnictwo Dolnośląskie, seria Biblioteka Pisarzy Żydowskich, Wrocław 1992).

MIŁOSZ (Czesław). *Wypisy z ksiąg użytecznych.* Str. 342 i 2 nlb. (Wydawnictwo ZNAK, Kraków 1994).

Słownik pisarzy rosyjskich. Redakcja – Florian Nieuważny. Str. 628 i 4 nlb. (Wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1994).

Fundacja „Krzyżowa" dla Porozumienia Europejskiego. Broszura informacyjna – strony nie numerowane. (Wyd. przez Fundację, Wrocław 1994).

KOŚCIUKIEWICZ (Michał). *Na obcym podwórku.* Str. 54 i 2 nlb. (Wydano w Gdańsku w 1994 r.).

BAGHDADI (Nicolas). *Papyrus – Répertoire des bibliothèques et centres de documentation (1992–1993).* Str. 432. (Wyd. C.E.P. Pilotes, Paryż 1992).

Warszawa nad Tamizą. Z dziejów polskiej emigracji politycznej po drugiej wojnie światowej. Redakcja – Andrzej Friszke. Str. 174. (Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1994).

WEŁNA (Matylda). *Listy z końca świata.* Str. 96 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna ZSP, Warszawa 1993).

CHRZANOWSKI (Tadeusz). *Sztuka w Polsce Piastów i Jagiellonów.* Zarys dziejów. Str. 460 i 2 nlb. (Państwowe Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1993).

Nie tylko Pierwsza Brygada. Z dokumentów, wspomnień i listów pozostawionych przez Stanisława Rostworowskiego. Wybór, opracowanie, przedmowa, przypisy i indeksy Stanisław Jan Rostworowski. Tom I – *Z Legionami na bój* – str. 332; tom II – *Przed i po kryzysie przysięgowym* – str. 208 i 4 nlb. (Wyd. P.W. Egross – Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1993).

ABRAMOW-NEWERLY (Jarosław). *Duch Atlantydy.* Sztuka w dwóch częściach. Ilustracje Tadeusz Biernot i Leszek Szurkowski. Str. 152 i 28 nlb. Wydanie 1000 numerowanych egzemplarzy z podpisem Autora. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1994).

Prawa człowieka w społeczeństwie obywatelskim. Redakcja – Andrzej Rzepliński. Materiały konferencyjne. Str. 156 i 2 nlb. (Wyd. Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Warszawa 1993).

BURZYŃSKI „BURZA" (Czesław). *Zgodnie z naszym prawem.* Autentyczne fakty historyczne i przeżycia Autora w latach 1939–57. Z A.K. – do łagrów Workuty. Str. 430 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Goleniów 1993).

Tęczowa nowina czyli wprowadzenie do Ewangelii wierszem. Praca zbiorowa. Str. 298 i 2 nlb. (Wyd. Jerzy Cichwlas, Nowy Jork 1994).

ŚWIĘCH (Zbigniew). *Skarby tysiąca lat.* Str. 408 (Wydawnictwo Wawelskie, Kraków 1994).

ŚWIĘCH (Zbigniew). *Klątwy, mikroby i uczeni.* Opowieść wawelska. T. I – *W ciszy otwieranych grobów* – str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Wawelskie, Kraków 1990); T. II – *Wileńska klątwa Jagiellończyka* – str. 380 i 4 nlb. (Wyd. Wawelskie, Kraków 1994).

SUPRUNIUK (Mirosław Adam). *KULTURA – Materiały do dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu.* Bibliografia działalności wydawniczej 1946–1990 (uzupełnienia). Str. 124 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1994).

Notatki Redaktora

W telewizji polskiej został skasowany program „Prawo i bezprawie" prowadzony przez rzecznika praw obywatelskich, prof. Zielińskiego. Decyzja ta nie wymaga komentarza.

●

W 1989 r. kanclerz Helmut Kohl i premier Tadeusz Mazowiecki powzięli decyzję o powołaniu w Krzyżowej Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży. W 1990 r. powołano Fundację Krzyżowa. Odbudowę całego kompleksu miała finansować Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej. Fundacja ta, uważana za jedną z najbogatszych w Polsce, finansuje projekty leżące w interesie pojednania i porozumienia polsko-niemieckiego. Fundacją zarządzają Polacy i Niemcy — po czterech przedstawicieli z każdej strony. O ile niemieckie władze pozostają stale te same, stronę polską reprezentuje już trzeci zespół. Pan Waldemar Pawlak po objęciu funkcji premiera odwołał polskich przedstawicieli w zarządzie i mianował na ich miejsce swoich ludzi z PSL i SLD. Przewodniczącym polskiej reprezentacji został poseł PSL Janusz Dobrosz. P. Dobrosz jest znany m.in. ze swoich wystąpień antyniemieckich w sejmie. Parę tygodni temu warszawski sekretariat FWPN zawiadomił Fundację Krzyżowa o skreśleniu części środków finansowych na odbudowę konkretnych budynków. Decyzja ta została podjęta bez konsultacji ze stroną niemiecką. Przebywający z wizytą w Krzyżowej poseł Becker, wiceprzewodniczący Bundestagu i członek niemieckiego zarządu FWPN oświadczył, że „Krzyżowa to sztandarowy projekt finansowany przez FWPN". Natomiast p. Janusz Dobrosz powiedział Polskiej Telewizji, że skreślono z Krzyżowej część pieniędzy, bo to nie jest w końcu najważniejsza sprawa. Czy to jest ignorancja ze strony rządu polskiego, czy też ktoś ze

strony polskiej chce sobie podporządkować pieniądze fundacji? W każdym razie to nie jest najlepszy przykład współpracy polsko-niemieckiej.

●

Parokrotnie w „Notatkach" poruszałem skandale związane z licznymi uroczystościami rocznicowymi. Nie tylko sprawa rocznicy Monte Cassino nie została do tej pory załatwiona, a szef Urzędu d/s Kombatantów p. Adam Dobroński nie został usunięty, ale jest nowy skandal w związku z rocznicą powstania warszawskiego. W *Tygodniku Solidarność* w numerze 33 z 12 sierpnia br. ukazał się wstrząsający reportaż p. Tomasza Sypniewskiego pt. „Piękni siedemdziesięcioletni...". Jest dla mnie zupełnie niezrozumiały sposób traktowania społeczeństwa przez władze. Te wszystkie uroczystości są widocznie przeznaczone wyłącznie dla decydentów z całkowitym pominięciem prawdziwych uczestników. Nic dziwnego więc, że przepaść między społeczeństwem a obecną nomenklaturą coraz bardziej się pogłębia.

●

Prasa podaje o skandalicznie wysokich wynagrodzeniach nowo wybranych prezydentów samorządowych. Ich pobory bardzo często przekraczają pobory prezydenta R.P. czy ministerialne. Czy nie ma sposobu na uregulowanie ustawowe tych spraw? Jednocześnie praktycznie zablokowano sprawę zakazu, by urzędnicy państwowi nie byli płatnymi członkami rad nadzorczych w licznie powstających przedsiębiorstwach i bankach. Mnożą się również przykłady korupcji, o czym pisze prasa i te informacje nie spotykają się z żadną reakcją. Czy nie można by tutaj rozszerzyć kompetencji Najwyższej Izby Kontroli i przyspieszyć procedury sądowe?

Zdaje się, że głównym zajęciem premiera Pawlaka jest obsadzanie wszystkich możliwych stanowisk swoimi ludźmi, niezależnie od ich kompetencji, a przeważnie ich braku. W tej chwili problem bezpieczeństwa na przykład jest na martwym punkcie, gdyż nie można uzgodnić personaliów obsady szefa policji. A takich przykładów jest znacznie więcej. Jeżeli do tego dodać niezrozumiałą politykę ministra Spraw Wewnętrznych, p. Milczanowskiego, prowadzącego własną politykę, to mamy obraz rozkładu administracji państwowej.

●

Polska wyśle na Haiti pododdział wojskowych sił policyjnych. Taką decyzję podjął 19-go września rząd polski. Jest to realizacja obietnicy, jaką prezydent Wałęsa dał prezydentowi Clintonowi w rozmowie telefonicznej z 14-go września.

Jest to decyzja zaskakująca, która nas niepotrzebnie angażuje do akcji rządu amerykańskiego, bardzo wątpliwej co do jej słuszności i skuteczności. Wszystko wskazuje na to, że skończy się ona kompromitacją, tak jak akcja wojsk amerykańskich w Somalii. Zapewne prezydent Clinton stara się by to jego posunięcie miało pozory aprobaty przez cały świat zachodni. Ale to nie jest powód byśmy się angażowali w nie swoje sprawy. Jest naiwnością przypuszczać, że ten gest przybliży przyjęcie Polski do NATO. A jednocześnie jest zwykłym szmaciarstwem, że p. minister Milewski zaznacza, że na wysłanie tego oddziału nas nie stać i że USA musi pokryć koszta naszego udziału.

●

Została przeprowadzona przez Sejm ustawa o tajemnicy państwa. Jest to dalsza próba zakneblowania niezależnej prasy.

●

Nominacja szefa policji jest znów odsunięta na skutek sabotażu premiera Pawlaka. Należy się obawiać, że na dość długo, gdyż premier wyjechał w podróż do Kazachstanu i Chin. Jest to podróż tak potrzebna jak podróż w swoim czasie p. Goryszewskiego do Japonii.

●

Polskę odwiedził francuski minister przemysłu, Gérard Longuet, któremu towarzyszyło 60 przemysłowców francuskich. Wizyta miała na celu wzmocnienie obrotów gospodarczych polsko-francuskich. Wizyta skończyła się jedynie na stwierdzeniu, że wszystko jest hamowane przez polską biurokrację i nieuporządkowane ustawodawstwo. M.in. odkładana jest w nieskończoność oferta zakupu rafinerii w Gdańsku. Rząd polski stale argumentuje, że należy doczekać się prywatyzacji odcinka naftowego, a to nie wiadomo kiedy nastąpi.

REDAKTOR

Wolna trybuna

Powstanie Warszawskie z innej strony

Nie był chyba niespodzianką fakt, że 50-letniej rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego poświęcono w Polsce sporo miejsca, nie tylko w prasie codziennej i tygodniowej jak i w telewizji, ale również na półkach księgarskich. Okna wystawowe większości księgarni warszawskich były zawalone dziesiątkami tytułów poświęconych najróżniejszym aspektom Powstania. Oba kanały telewizji nie tylko transmitowały „na żywo" uroczystości w różnych punktach miasta ale również pokazywały filmy specjalnie przygotowane na tę okazję. Szczególnie te pierwsze robiły duże wrażenie z wyjątkiem raczej nieudanego spektaklu *son et lumière* na Placu Krasińskich.

Jeśli chodzi o mnie to najbardziej przyciągały moją uwagę artykuły o Powstaniu, które ukazały się w czołowych dziennikach i tygodnikach spod pióra znanych „specjalistów" od tematyki powstańczej. Chociaż jestem politologiem a nie historykiem, ale Powstaniem interesowałem się od samego początku i nawet opublikowałem esej z okazji 25-lecia jego wybuchu[1]. Dlatego też, podczas pobytu w Warszawie, z dużą ciekawością zabrałem się do czytania tych artykułów w nadziei, że może dowiem się czegoś nowego czy też napotkam na jakąś nową interpretację dotyczącą wybuchu Powstania.

Z przykrością muszę stwierdzić, że moje nadzieje okazały się płonne i że rzadko w przeszłości spotkałem się z podobną próbą manipulowania historią i ignorowania oczywi-

1. Andrzej Korboński, „The Warsaw Uprising Revisited", *Survey* (Londyn), no. 76, lato 1970, i „Rejoinder", *ibid.*, no. 77, jesień 1970.

stych ale niewygodnych faktów. Zdaję sobie sprawę z tego, że większości autorów przyświecał szlachetny cel jak największej gloryfikacji Powstania, ale nie należało tego robić za cenę ogłupiania społeczeństwa, a szczególnie młodzieży polskiej. Jak wynika z badań opinii publicznej, dla młodzieży tej Powstanie jako fakt historyczny staje się coraz mniej ważne[2], co potwierdziło do pewnego stopnia stosunkowo małe jej uczestnictwo w poszczególnych uroczystościach, z wyjątkiem świetnej grupy harcerzy pracowicie roznoszących wodę podczas horrendalnych upałów.

Przynajmniej dwa artykuły można śmiało zignorować. Mam tu na myśli „Sens złożonej przysięgi" Władysława Bartoszewskiego[3] i „Dla przyszłości Polski" Tadeusza Żenczykowskiego[4]. Obaj autorzy publikowali w przeszłości sporo na temat Armii Krajowej i Powstania i ewidentnie tym razem nie wysilili się na coś nowego.

Również zagadkowym jest dla mnie artykuł Adama Michnika, „Honor, Pacierz i Namysł[5]". Michnik, jak wiadomo, lubi pisać na najróżniejsze tematy i w tym wypadku jego głównym wytłumaczeniem była chyba chęć zademonstrowania swej znajomości twórczości Conrada, okraszonej szeregiem banałów sugerujących Polakom konieczność historycznych kompromisów.

Podobnie jak Michnik, również Aleksander Gieysztor widzi Powstanie jako grecką tragedię[6]. Jak każdy banał i to pojęcie zawiera więcej aniżeli ziarno prawdy i ja sam, przed 24 laty pisząc o Powstaniu użyłem podobnego porównania. Ale pomimo swego tytułu, Gieysztor nie wchodzi głębiej w tragedię Powstania. Jego kluczową konkluzją jest stwierdzenie, że „nawet w głębi nocy stalinowskiej kołatało się w kraju poczucie, że bez powstania 1944 r. i okazanej w nim determinacji walki kraj mógłby zaraz po wojnie stać się siedemnastą republiką Sowietów".

„Teza", jakoby Powstanie Warszawskie zmusiło Stalina do zaniechania planów stworzenia z Polski 17-tej republiki

2. Barbara Szacka, „Bohater przekorny", *Polityka*, 30 lipca 1994.

3. Władysław Bartoszewski, „Sens złożonej przysięgi", *Plus-Minus* (dodatek tygodniowy do *Rzeczypospolitej*), 30-31 lipca 1994.

4. Tadeusz Żenczykowski, „Dla przyszłości Polski", *Polska Zbrojna*, 29-31 lipca 1994.

5. Adam Michnik, „Honor, Pacierz i Namysł", *Gazeta Wyborcza*, 30-31 lipca 1994.

6. Aleksander Gieysztor, „Jak z tragedii greckiej", *Polityka*, 16 lipca 1994.

sowieckiej, zrobiła prawdziwą karierę w ostatnim czasie. Oprócz Gieysztora również Prymas Glemp podkreślił ten aspekt Powstania w swym kazaniu wygłoszonym na Placu Piłsudskiego w dniu 1 sierpnia, zaś głównym rzecznikiem tej idei stał się Jan Nowak-Jeziorański w swym artykule „Gra o Polskę", pisząc nie tylko, że dzięki Powstaniu „...Polska, w odróżnieniu od państw bałtyckich i Mołdawii, nie została wcielona do ZSSR jako republika sowiecka", ale również, że „udział Polski w walce z Niemcami, której szczytowym punktem było Powstanie Warszawskie, ocalił w jakimś sensie odrębność państw satelickich Europy Środkowo-Wschodniej[7]".

Powyższa „teza" brzmi dumnie ale, niestety, nie jest oparta na jakichkolwiek faktach i nie można traktować jej poważnie. Przede wszystkim, Polska nie była jedynym krajem nie włączonym do Sowietów, ale również pozostałe państwa w Europie Środkowo-Wschodniej, od Albanii do Jugosławii, nie doznały tego zaszczytu, pomimo iż żadne z nich nie doświadczyło tragedii Powstania Warszawskiego. Faktem jest, że zarówno plany Marszałka Tito, który marzył o włączeniu Jugosławii do ZSSR, jak i mrzonki małej grupy komunistów polskich w armii Berlinga spaliły na panewce i zostały obcesowo odrzucone przez Stalina. Na pytanie dlaczego Stalin nie był zainteresowany przyznaniem przyszłym satelitom statusu republik sowieckich odpowiedział już 34 lata temu Zbigniew Brzeziński w swym klasycznym dziele, *The Soviet Bloc*[8], co najwidoczniej uszło uwagi Nowaka.

Ale to dopiero początek. Drugą fałszywą konkluzją Nowaka, którą warto zacytować *expressis verbis*, jest stwierdzenie, że „zdrada, jakiej Stalin dopuścił się wobec Powstania Warszawskiego oraz wynikłe z niej opóźnienie sowieckiego pochodu w głąb Rzeszy wywarły poważny wpływ na powojenny podział Niemiec i wynikający z tego układ sił w latach zimnej wojny". Mało tego. „Te długofalowe międzynarodowe skutki Powstania Warszawskiego, chociaż wydają się bezsporne, nie zostały dotychczas zauważone przez historyków II Wojny Światowej", aż wreszcie zjawił się Nowak, który wie lepiej niż dziesiątki historyków, którzy spędzili długie lata studiując nawet najmniej istotne szczegóły ostatniej wojny.

7. Jan Nowak-Jeziorański, „Gra o Polskę", *Tygodnik Powszechny*, 31 lipca 1994.

8. Zbigniew Brzeziński, *The Soviet Bloc* (Cambridge, MA, 1960).

Nie wiadomo czy śmiać się czy płakać. Rzućmy okiem na dokumentację źródłową, z której on korzysta. Wydawać by się mogło, że ta rewelacyjna „teza" będzie oparta na jakichś nowych materiałach, świeżo odkrytych w dawnych archiwach sowieckich, czy też w Public Records Office w Londynie lub National Archives w Waszyngtonie. Tak jednak nie jest. Głównym źródłem cytowanym przez Nowaka na poparcie swej „tezy" jest studium wydane w Warszawie akurat 30 lat temu[9] z czego wynikałoby, że nic nowego na ten temat nie zostało do tej pory napisane. Dla przyczyn wiadomych tylko sobie, Nowak nie tylko pomija dość już powszechnie znaną pracę Jana Ciechanowskiego[10], ale również ostatnio wydane studia Tadeusza Sawickiego[11] czy Antoniego Przygońskiego[12], nie mówiąc już o szeregu artykułów w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym*.

Jeden z wykładów, który od przeszło 30 lat prowadzę na moim uniwersytecie, dotyczy sowieckiej polityki zagranicznej. Do tej pory pouczałem moich studentów, że podział powojennych Niemiec na strefy okupacyjne był wynikiem rokowań prowadzonych wewnątrz tzw. *European Advisory Commission*. Prawdą jest, że w końcowej fazie wojny Churchill zachęcał Stany Zjednoczone do zignorowania tych postanowień, ale odpowiedź Waszyngtonu była jednoznacznie negatywna, na skutek czego wojska amerykańskie wycofały się z okupowanych przez nie części Czechosłowacji, Saksonii i Turyngii. Wszystko to jest dokładnie udokumentowane i postulowanie dzisiaj tezy, że Powstanie Warszawskie uratowało Republikę Federalną Niemiec zakrawa na farsę. Jeżeli Stalinowi rzeczywiście zależałoby na zajęciu całych Niemiec wbrew umowom zawartym ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią, to należy wątpić, czy stosunkowo drobny epizod Powstania Warszawskiego powstrzymałby Kreml od wykonania planów strategicznych.

No, ale powyższe należy do spekulacji a według Nowaka „ponieważ nie da się tych spekulacji udowodnić, więc nie warto się nimi zajmować". Jest to opinia dość interesująca, gdyż koniec końców obie „tezy" Nowaka, przedstawione po-

9. Włodzimierz Wołoszyn, „Na warszawskim kierunku operacyjnym", (Warszawa, 1964).

10. Jan Ciechanowski, „Powstanie Warszawskie" (Warszawa, 1984).

11. Tadeusz Sawicki, „Front wschodni a powstanie warszawskie" (Warszawa, 1989).

12. Antoni Przygoński, „Stalin i Powstanie Warszawskie" (Warszawa, 1994).

wyżej, oparte są wyłącznie na spekulacjach. Chociaż osobiście wolę opierać się na faktach aniżeli na spekulacjach, chciałbym tutaj poruszyć jeszcze kwestię, „co by było, gdyby do Powstania nie doszło". Nowak uważa, że nie warto się tym pytaniem zajmować a reszta autorów, łącznie z Gieysztorem, stwierdza, że Powstanie było nieuniknione i musiało wybuchnąć z takich czy innych względów.

Osobiście należę do tych, którzy uważają, że Powstania można było uniknąć, że decyzja o jego wybuchu była tragicznym błędem, i że nic nie może usprawiedliwić jego ogromnych strat i kosztów. Nie mam tutaj zamiaru wchodzić raz jeszcze w szczegóły samej decyzji, gdyż zrobił to już za mnie Jan Ciechanowski i nie można chyba nic dodać do jego analizy. Chciałbym tylko wspomnieć o elemencie zaskoczenia Niemców. Jak twierdzi Gieysztor, „operacja powstańcza miała zaskoczyć garnizon niemiecki", ale „zły los podważył rachuby Komendy Głównej" i „natarcie na garnizon niemiecki popołudniem 1 sierpnia było połowicznym tylko zaskoczeniem". Abstrahując od „złego losu", ze źródeł niemieckich wynika, że nie było najmniejszego zaskoczenia i że Niemcy doskonale wiedzieli o dniu i godzinie wybuchu Powstania[13].

Ale nie o to tutaj chodzi. Pozostaje ciągle pytanie co by się stało, gdyby nie wydano słynnego rozkazu 31 lipca po południu, pozostawiającego oddziałom AK w Warszawie około 24 godzin na przygotowanie się do akcji. Na podstawie informacji na przedpolu Warszawy dostępnej Komendzie Głównej AK w dniu 31 lipca, można rozpatrzyć następujące warianty:

Wariant 1: nie robić nic. Wiadomo, że w poniedziałek, 31 lipca, duża większość akowców była już „zmobilizowana", czekając przeważnie w prywatnych mieszkaniach (szczególnie tych z działającymi telefonami) na sygnał o wybuchu Powstania. W braku takiego sygnału można by wydać rozkaz rozejścia się do domów i ponownego zebrania się w wyznaczonych punktach w ciągu następnych dni — aż do odwołania.

Zachodzą tutaj dwa pytania. Pierwsze, czy udałoby się utrzymać dyscyplinę wśród rozgorączkowanych i podnieco-

13. Michael Foedrowitz, „Mit Feuer und Rauch", *Die Zeit*, 29 lipca 1994. Według autora, 1 sierpnia o 9 rano, miało miejsce dwugodzinne spotkanie między Alfredem Spilkerem, wysokim oficerem Gestapo od spraw podziemia, a przedstawicielem Delegatury Rządu, podczas którego Spilker próbował bezskutecznie odwieść swego rozmówcę od idei Powstania.

nych żołnierzy AK i uniknąć sprowokowania akcji zbrojnej. Opierając się na mych własnych obserwacjach jako prostego szeregowca, myślę, że biorąc pod uwagę specyficzny charakter Armii Krajowej, stopień dyscypliny był zadziwiająco wysoki i że przygniatająca większość z nas posłuchałaby rozkazów dowództwa. Pytanie drugie: czy Niemcy, którzy dobrze znali plany powstańcze, nie spróbowaliby ataku prewencyjnego w celu zniszczenia w zarodku potencjalnego powstania. Chociaż nie można tego absolutnie wykluczyć, nie wygląda to zbyt prawdopodobnie z tej prostej przyczyny, że Niemcy nie byli już w stanie prowadzić akcji represyjno-zaczepnej. Dowodem tego być może brak jakiejkolwiek reakcji na totalne zignorowanie przez ludność polską rozkazu stawienia się do kopania pozycji obronnych.

Rezultatem niewydania rozkazu o wybuchu powstania byłoby, przynajmniej tymczasowe zachowanie substancji AK w Warszawie jak również ocalenie miasta.

Wariant 2: całkowite lub częściowe wycofanie się Armii Krajowej z Warszawy do lasów podmiejskich. Chociaż nie byłoby to łatwe, wycofanie takie było wykonalne, szczególnie na terenach pod kontrolą wojsk węgierskich. Dla ochrony ludności cywilnej Warszawy można by zostawić część dobrze uzbrojonych oddziałów. Chociaż trudno przewidzieć reakcję Niemców na opuszczenie miasta przez AK, należy wątpić czy różniłaby się ona od reakcji opisanej w wariancie 1. Również rezultat decyzji o wycofaniu się z miasta nie różniłby się wiele od tego opisanego powyżej.

Następnie należy rozpatrzyć sytuację na froncie. Tutaj istnieją również dwa warianty: frontalny atak sowiecki na Warszawę i długotrwała krwawa walka o miasto, przypominająca bitwę o Stalingrad, lub manewr okrążający, zdobywający Warszawę bez większej walki. W przypadku pierwszym zachodzi pytanie czy straty w ludności cywilnej i stopień zniszczenia lewobrzeżnej Warszawy byłyby wyższe czy niższe niż w przypadku Powstania. Chociaż nie można na to odpowiedzieć, intuicyjnie wydaje mi się, że straty te byłyby niższe, szczególnie jeśli chodzi o stany AK. W drugim przypadku, *vide* wariant 1 powyżej.

Na końcu jeszcze jedno pytanie: co stałoby się z Armią Krajową po wkroczeniu Armii Czerwonej. Zwolennicy idei powstania uważają, że sądząc po wypadkach we Wschodniej Polsce większość akowców prędzej czy później znalazłaby się w łagrach sowieckich, skąd niewielu by tylko wróciło. Nie ulega wątpliwości, że NKWD razem z polską bezpieką miały

nieźle rozpracowane polskie podziemie i nie miałyby wiele trudności z masowymi aresztami. Trudno powiedzieć ilu żołnierzy AK przeżyłoby obozy sowieckie, ale można przypuszczać, opierając się na faktach z 1946-47, że część na pewno wróciłaby po pewnym czasie do domu. Porównując straty poniesione w Powstaniu i dodając do nich tych wszystkich, którzy nie wrócili do kraju po wojnie, myślę, że byłyby one wyższe od strat z powodu represji sowieckich, nie mówiąc już nawet o tym, że sama Warszawa byłaby prawdopodobnie mniej zniszczona.

Istniała jeszcze jedna opcja, którą osobiście odrzucam ale która, być może, przyciągnęłaby niektóre oddziały AK. Mam tu na myśli wariant wybrany przez Brygadę Świętokrzyską NSZ, to jest wycofanie się na zachód razem z ustępującymi Niemcami[14].

Mądrość konwencjonalna, propagowana przez wielu zwolenników Powstania, uważa, że Powstanie musiało wybuchnąć aby zadać kłam komunistycznym atakom „przeciwko staniu z bronią u nogi" i przekonać po raz nie wiem który aliantów zachodnich, że Polska jest gotowa walczyć zawsze i wszędzie. Jeśli chodzi o „stanie z bronią u nogi", to najrozsądniejszą reakcją powinno być ignorowanie propagandy sowieckiej, łącznie z apelami o powstanie nadawanymi przez Moskwę. Jak wiadomo, wpływy komunistyczne w przedpowstaniowej Warszawie były znikome i jeśli chodzi o mnie ciągłe cytowanie i przypominanie apeli radiostacji Kościuszko jako przykładu perfidii sowieckiej zupełnie niepotrzebnie wyolbrzymia wpływy propagandy komunistycznej.

Jeśli chodzi o pozyskanie opinii zachodniej, to argument ten jest nie tylko śmieszny ale również obelżywy w stosunku do Polaków, tak jak gdyby ci ostatni nie zapłacili już przed Powstaniem wysokiej ceny na różnych frontach w celu przekonania aliantów o swych dobrych intencjach.

Reasumując, Powstanie było kosztownym błędem, którego można było uniknąć. Można wygłaszać peany pochwalne o największej i najdłuższej bitwie polskiej II wojny światowej ale fakt faktem, że jak sam Nowak powiedział w swoim czasie, jeśli chodziło o naszych zachodnich aliantów, powstanie było burzą w szklance wody[15]. „Tezy" o wpływie Pow-

14. Kiedyś, w przeszłości, nazywano to zdradą, ale dzisiaj niektóre partie polityczne, a w szczególności ZChN, pochwalają tę akcję.

15. Jan Nowak, *Na Antenie* (Monachium), nos. 8-9, 16 sierpnia–6 września 1964, p. III.

stania na plany Stalina o 17-tej republice i podziale Niemiec są oczywiście nonsensem. Wręcz przeciwnie, można argumentować, że upadek Powstania ułatwił komunistom stworzenie PRL chociażby przez to, że kwiat młodzieży polskiej, który mógłby się temu oprzeć, leży na Powązkach, a wielu innych młodych Polaków, świadków katastrofy Powstania i opuszczenia ich ojczyzny przez zachodnich sojuszników, zdecydowało się współpracować z nowym reżymem.

Ale o tym nikt ze wspomnianych autorów nie pisze. Być może, że do pewnego stopnia jest to rezultatem różnic pokoleniowych. Nowak, Gieysztor, Bartoszewski i Żenczykowski są dziś grubo po 70-ce i trudno od nich wymagać aby teraz nagle zmienili swe poglądy. Krytycy Powstania, do których zaliczam Ciechanowskiego, Adama Bromke, którego artykuł radzę każdemu przeczytać[16], Lesa Kobylińskiego[17] jak i siebie samego, należą do mniej więcej tej samej generacji, mającej 14-17 lat w chwili wybuchu Powstania. Oczywiście, ich percepcja z piwnic i bunkrów musiała różnić się diametralnie od poglądów pracowników BIP-u czy „legendarnych" kurierów z Londynu. Szkoda tylko, że w 50-tą rocznicę Powstania ci sami starzy ludzie, którzy ewidentnie niczego się od tamtej pory nie nauczyli, ciągle monopolizują opinię publiczną przez propagowanie fałszywej legendy Powstania. Osobiście mam tylko nadzieję, że przynajmniej młode pokolenie Polaków jest i będzie skłonne do ocenienia Powstania z innej strony.

Andrzej KORBOŃSKI

16. Adam Bromke, „Moje powstanie", *Wiadomości Kulturalne*, 7 sierpnia 1994.

17. „Obalić mit", (rozmowa z Lesem Kobylińskim), *Plus-Minus*, 30-31 lipca 1994.

Polemiki

O szemraniu w Katedrze inaczej

Maciej LIPOWSKI

W artykule p. Antoniego Pospieszalskiego „Szemrania w katedrze czyli gdzie się podziała dusza?" (*Kultura* nr 7-8, 1994) brakowało mi zdroworozsądkowych obiekcji wobec zrównywania inteligencji ludzkiej z „inteligencją" komputerów.

Zdrowy rozsądek mówi mi, że rzeczywistości doznaję pięcioma kanałami moich poszczególnych zmysłów, podczas gdy komputerowi wiedza dostarczana jest jednym kanałem elektrycznych impulsów. I jeśli zwolennik zrównywania będzie mnie pouczał, że w końcu to wszystko sprowadza się do elektrycznych impulsów — między neuronami czy między mikroobwodami — to ja i tak wiem swoje. Wiem, że moje wrażenia zmysłowe, poza jednym punktem stycznym — ich koincydencją w czasie i przestrzeni — są inkompatibilne. Nie można ślepemu od urodzenia wytłumaczyć kolorów, ani człowiekowi upośledzonemu organoleptycznie uzmysłowić zapachu róży czy smaku wina.

Dla świadomości jednozmysłowej jaką jest komputer byt „koń" istnieje tylko jako element systemu, w którym komputer dokonuje operacji logicznych. Dla świadomości wielozmysłowej jak moja byt „koń" istnieje jako element języka, którego używam, ale także jako zwierzę będące elementem doznawanej zmysłami rzeczywistości. „Inteligencja" komputerów jest współczesnym zastosowaniem maksymy *esse est percipi*. Dr Samuel Johnson, zapytany jak obali twierdzenie biskupa Berkeleya, odpowiedział: kopnę kamień. Ten zdroworozsądkowy sposób da się zastosować i dzisiaj.

Sygnalizowane przez p. Pospieszalskiego kłopoty z duszą wy-

dają się ze zdroworozsądkowego punktu widzenia jedynie kwestią definicji. Rozwój nauki wymusza stale zmiany definicji. Ostatnio np. zmianę definicji śmierci serca na definicję śmierci mózgu. Jeśli nawet zmienimy definicję naszego umysłu, to i tak nie musimy stawiać pytania, które p. Pospieszalski umieścił w tytule.

Göteborg, 13 sierpnia 1994

Maciej LIPOWSKI

●

Adam NASIELSKI

Esej Antoniego Pospieszalskiego w lipcowej *Kulturze* (Nr 7/8, 562/3) wprost zmusza do intensywnego myślenia. Jednak można zastanowić się czy, wśród stojących na wysokim poziomie intelektualnym miłośników autora, każdy zrozumiał już „w pierwszym czytaniu" takie na przykład zdanie: „O ile mi wiadomo, *rzeczywistość pakietu falowego przed redukcją jest dla komputera tak samo niedostępna jak dla każdego elementu makro-świata, łącznie ze świadomością ludzkiego obserwatora*".

Takich bodźców do gimnastyki umysłowej jest w artykule więcej i one — obok ciekawej i autorytatywnie opracowanej treści — są dominującym walorem „Szemrań w katedrze...", tytułu który, znając *penchant* autora do tematyki chrystologicznej, nie jest niespodziewany.

Natomiast nieoczekiwane są w tym kontekście religijne konkluzje z wywodów nie związanych bezpośrednio (ani może nawet pośrednio) z filozoficzno-matematycznym rdzeniem eseju.

Refleksje o „przednaukowych" poglądach chrześcijaństwa na świat jakoś niezręcznie kolidują z precyzją osnowy artykułu. Argumenty kojarzące się z żebrem Adama po omówieniu neuronowego darwinizmu mogą być rażące dla naukowo rozumującego czytelnika; robić wrażenie religijnej przyczepki nie uwypuklającej sedna artykułu; wydać się ukłonem w stronę katedry i duszy podwójnego tytułu.

Cooma, 13 sierpnia 1994

Adam NASIELSKI

Zygmunt STANKIEWICZ

Spór wokół sztucznej inteligencji (A. Pospieszalski, *Kultura* nr 562/563, 1994) jest przykładem nie tyle podziału na zwolenników przewagi materii nad duchem, i jego obrońców, lecz raczej ilustracją dość naiwnych zmagań entuzjastów rozwiązań technicznych, mających prowadzić do wyprodukowania elektronicznej repliki mózgu ludzkiego. W opinii rzeczników sztucznej inteligencji (A.I.) osiągnięcie to zredukowałoby człowieka do roli „inteligentnego mechanizmu". Jednakże zagadnienie A.I. jest w rzeczywistości nie do rozwiązania z powodu zasadniczych różnic leżących u podstaw działania komputera i ludzkiego mózgu. Komputery bowiem funkcjonują według znacznie prymitywniejszych i odmiennych zasad, aniżeli ludzki mózg, o którym wizjonerzy A.I. piszą z odcieniem lekceważenia — z niezrozumiałych zresztą powodów — ponieważ wiadomo że naturalna inteligencja ludzka nie ogranicza się do funkcji obliczeniowo-logicznych.

Główną podstawą działania komputerów jest proste zjawisko przepływu prądu elektrycznego, lub jego brak, co z kolei określa binarny (1-0) język tych urządzeń, mających w założeniu być nośnikiem A.I. Na marginesie warto przypomnieć, że nawet język kodu genetycznego operujący czterema znakami, a zwłaszcza pełne finezji spektrum myślenia abstrakcyjnego i języka intelektualnego są systemami bez porównania bogatszymi od dwójkowego kodu komputerowego. Streszczając zatem, domeną komputerów jest tradycyjna elektromechanika, wzbogacona nowoczesną elektroniką i programami typu *hardware*.

Natomiast wysublimowane funkcje ludzkiego mózgu, takie jak intelekt i świadomość, twórcza intuicja i wyższe uczucia, w ogóle nie mieszczą się w zakresie zwykłej fizyki i jej tradycyjnych mechanizmów. Według obecnych poglądów na teorię kwantową i najnowszych danych neurofizjologicznych, naturalna inteligencja ludzka rządzona jest prawami, lub zasadami, mechaniki kwantowej. Umysł ludzki w swoim działaniu korzysta z nieomal wszystkich właściwości i sił kwantowych. W odnośnym piśmiennictwie wskazuje się na takie elementy teorii jak kwantowe oddziaływanie na odległość (*nonlocality*), komunikację ponadświetlną (*faster-than-light quantum communication*) czy alternatywne historie kwantowe w einsteinowskim modelu czasoprzestrzeni (*super-space alternative paths*), ażeby wspomnieć niektóre spośród tych poza- czy ponadfizycznych zjawisk. Coraz szerszy jest pogląd, że świadomość, a także intelekt i inne wyższe funkcje mózgowe, prócz wzorcowej linearnej fali kwantowej, dodatkowo wykorzystują również wyższe, bardziej skomplikowane formy mechaniki kwantowej. Szczególnie wymienia się nie-

liniową funkcję fali kwantowej, która w istocie jest ukrytą zmienną standardowej fali linearnej. Ta nieliniowa, pętlowa funkcja fali kwantowej ma prawdopodobnie swój wybiórczy, anatomiczny odbiornik w neuronowej sieci korowo-siateczkowej mózgu. Powyższa, specyficzna dla ludzkiego mózgu, neurofizjologiczna sieć — z jej niedawno odkrytą fotonową (a więc świetlną!) komunikacją międzyneuronową — jest także siedliskiem tzw. wertykalnych sprzężeń zwrotnych (*top-down feed backs*), które z kolei są nieomal dokładnym funkcjonalnym odbiciem modelu nieliniowej fali kwantowej. Właśnie tej neuronowej sieci i jej skomplikowanym funkcjom, przypisuje się bardzo ważną, jeśli nie zasadniczą rolę w kreowaniu zjawisk intelektu i ludzkiej świadomości. Obecnie wielu badaczy sądzi, że główna różnica jakościowa między martwą i żywą materią polega na tym, że żywa materia (mózg) jest zdolna przekształcać linearną falę kwantową w jej zaawansowaną postać, czy funkcję nieliniową (zgodnie z modelem Weinberga-Peresa). Na podstawie powyższych poglądów i danych wyraźnie widać że podstawowa odmienność zasad i mechanizmów działania komputera i mózgu — tym samym różnica między hipotetyczną A.I. a naturalną inteligencją ludzką — jest zbieżna z granicą oddzielającą obszar fizyki klasycznej od kwantowej. Ta granica jest nieprzekraczalna dla zjawisk fizyki tradycyjnej, zatem także nieprzenikalna dla funkcji komputerów. Ponieważ w naszej ziemskiej cywilizacji budowa komputera kwantowego jest nadal nieosiągalna, oznacza to że nawet najsprawniejszemu komputerowi tradycyjnego typu jest i pozostanie niedostępny pełny zespół właściwości mózgu czy intelektu ludzkiego.

Inżynieryjne próby podniesienia zwykłej elektromechaniki i elektroniki do poziomu kwantowej funkcji falowej są zatem z góry skazane na niepowodzenie i pozostaną jedynie kolejnym przykładem utopijnego myślenia. Żadna elektroniczna maszyna nie wymyśli wzoru $E=mc^2$, ale — co komputerowi odznaczającemu się szybkością wykonywania obliczeń i prawie doskonałą pamięcią należy uczciwie przyznać — urządzenie to może być niezwykle sprawnym i cennym narzędziem w rękach przyszłego Einsteina.

Stockholm, 5 sierpnia 1994

Zygmunt STANKIEWICZ

Antoni POSPIESZALSKI odpowiada:

Wszystkie wypowiedzi na temat mego artykułu są bardzo ciekawe. Nie pretendując do roli autorytetu, odpowiadam bardzo krótko.

Obaj korespondenci ze Szwecji, jeśli nie p. Nasielski, zdają się podzielać mój punkt widzenia, odrzucając wygórowane, a w gruncie rzeczy naiwne, aspiracje czysto materialistycznej nauki, zwane zwykle scjentyzmem, jakie w moim artykule reprezentuje głównie Daniel Dennett. Obaj mają przy tym swoje własne interesujące przemyślenia na temat świadomości ludzkiej i inteligencji. Jakkolwiek tzw. zdrowy rozsądek nieraz już okazał się bardzo zwodniczym kryterium prawdy naukowej, to jednak zgadzam się, że w kwestii świadomości ludzkiej ma on swą rolę do odegrania, może nawet kluczową. Brzydki anglicyzm w liście p. Lipowskiego („inkompatibilne"; „koincydencję" mogę mu jeszcze wybaczyć) zdaje się znaczyć, że dane poszczególnych zmysłów są jakościowo całkiem różne i niezależne od siebie wzajemnie, co jest bardzo istotnym spostrzeżeniem. To właśnie owe *qualia*, które zwolennikom A.I. przysparzają tyle kłopotów.

P. Stankiewicz, podobnie jak wspomniany przeze mnie Roger Penrose, skłonny jest widzieć możliwość rozwiązania problemu świadomości w sferze fizyki kwantowej i podaje na poparcie tego poglądu szereg bardzo sugestywnych argumentów. Zakłada przy tym, że te argumenty, z natury rzeczy tylko krótko zasygnalizowane i dlatego nie dla wszystkich zrozumiałe, zostaną jednak przynajmniej przez niektórych czytelników zrozumiane. I tu w szranki wstępuje autor trzeciego listu p. Nasielski, cytując (zresztą w intencji raczej życzliwej) istotnie trudne zdanie z mojego artykułu. Pisząc to zdanie, wychodziłem z tego samego założenia co p. Stankiewicz: co bardziej kompetentny czytelnik zrozumie, a to że nie każdy czytelnik zrozumie, nie jest powodem, by istotny element mojego rozumowania miał być w tekście pominięty. Sam przy tym nie jestem fizykiem i być może, że p. Stankiewicz też nie jest fizykiem. Ale mechanika kwantowa jest już dziś trwałym elementem naszej kultury. Można więc w tej dziedzinie mieć swoje zdanie, tak jak można mieć swoje zdanie o ekonomii nie będąc ekonomistą, albo o Szekspirze nie będąc szekspirologiem.

P. Nasielskiego razi niespodziewane dla niego przejście od naukowego „rdzenia" mojego eseju do rozważań natury religijnej, nie gardzących przednaukowymi intuicjami ludzkości, także judeo-chrześcijaństwa. Przepraszam, ale to przejście właśnie stanowi rdzeń eseju. Starałem się wykazać, że komputer i cała technika A.I. nie jest możliwym modelem ludzkiej inteligencji i

że ciasno pojmowana materialistyczna nauka nie jest w stanie uporać się ze zjawiskiem ludzkiej świadomości. A o to kruszą kopie Dennett & Co. Nowa książka Francisa Cricka nosi sensacyjny tytuł *The Astonishing Hypothesis. The scientific search for the soul* (Simon and Schuster, 1994). (Nie dziw, że książka rozeszła się momentalnie i wielu ciekawych, ze mną włącznie, musiało długo czekać na drugą transzę pierwszego wydania). I zaraz we *Wstępie* laureat Nobla oświadcza czytelnikowi, że *You, your joys and your sorrows, your memories and your ambitions, your sense of personal identity and free will, are in fact no more than the behaviour of a vast assembly of nerve cells and their associated molecules.* Po czym następuje kilka stron ubolewań, że ludzkość tak długo dawała się uwodzić ułudom religii.

Mam ogromny szacunek dla Dr. Cricka jako odkrywcy struktury DNA, a także jako neurologa. Natomiast nie mam ani krzty szacunku dla jego poglądów na religię oraz moje i innych ludzi „radości i smutki, wspomnienia i ambicje, na nasze poczucie osobowości i wolnej woli". Bo nałożył sobie na nos naukowo-końskie okulary i świata poza swoimi molekułami nie widzi. Ja natomiast uważam — skoro stary kartezjuszowski dualizm materii i ducha istotnie dziś już nie ma sensu — że między światem materii a światem ducha musi istnieć jakieś łagodne przejście, aż po najbardziej intymny i najbardziej górny świat religii. Nikt nie wie, na czym to przejście polega i jak ono wygląda; nawet cudowny pod wielu względami świat kwantów nie daje nam co do tego żadnej pewnej wskazówki. Ale to nie powód, by tego przejścia nie dokonać, bo my ludzie, od pierwszych bodaj hominidów („żebro Adama") zawsze żyliśmy i żyjemy w tym jednym świecie i materii i ducha. (P. Lipowski ma chyba rację, gdy twierdzi że tego rodzaju pojęcia są w dużej mierze kwestią definicji). Tak więc w mym eseju dokonałem tego przejścia naprawdę bez żenady, tak jak mi je serce dyktuje, choć może nie bardzo zręcznie. Bo prawdą jest, że już ciężko mi się pisze. W moim z górą 80-letnim mózgu bardzo wiele neuronów musiało już sczeznąć bez śladu. Co wcale nie znaczy, by dusza mi się pomniejszyła.

Jeszcze jeden drobiazg. P. Nasielski chyba nie dostrzegł ironicznego wydźwięku tytułu *Szemrania w katedrze.* To Daniel Dennett tymi słowami (*Murmurs in the cathedral*) piętnuje śmiałków, którzy śmią szemrać w jego ubóstwianej Katedrze Nauki (przez duże K i duże N).

Antoni POSPIESZALSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

28. 05. 94
Nagrody *Literatury na świecie* za rok 1993 zostały przyznane Ryszardowi Engelkingowi za przekład „Spleenu paryskiego" Baudelaire'a (Wyd. Klio, Łódź), Michałowi B. Jagiełło za przekład „Oddziału chorych na raka" A. Sołżenicyna, Rajmundowi Kalickiemu za przekłady esejów Ortegi y Gasseta „Velazquez i Goya", Piotrowi Skórowskiemu za tłumaczenie „Autoportretu" Marka Twaina (Czytelnik). Wreszcie nagrodę za najciekawszą inicjatywę wydawniczą przyznano „Znakowi" za wydawanie „Biblioteki Filozofów Religii".

20. 08. 94.
Zmarł w Moskwie w wieku 62 lat Robert Rożdiestwienski, wybitny poeta.

5. 09. 94.
W foyer Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy odbyło się uroczyste odsłonięcie portretu rzeźbiarskiego Stefana Kisielewskiego dłuta rzeźbiarza Michała Kubiaka. W czasie uroczystości zostały zaprezentowane utwory Kisielewskiego w wykonaniu Capella Bydgostiensis. Jednocześnie miał miejsce X Międzynarodowy Festiwal Musica Antiqua Europae Orientalis. Festiwal był zorganizowany przez Filharmonię Pomorską pod patronatem ministra Kazimierza Dejmka.

7. 09. 94.
Zmarł w Warszawie w wieku 68 lat Andrzej Robowski, architekt — projektant obiektów i miast, mieszkający od wielu lat w Paryżu.

10. 09. 94.
W jednej z głównych księgarni Budapesztu miała miejsce promocja wyboru esejów Stanisława Vincenza w przekładzie węgierskim, wydanego pod tytułem „Krajobrazy z historią". Wprowadzenia do dzieła Stanisława Vincenza dokonał znany krytyk literacki, działacz „Forum Demokratycznego" z lat 1989-92 Csaba G. Kiss. Wydawnictwo „Jelenkör" („Współczesność"), które książkę wydało, planuje jako następny tom Vincenza „Dialogi z Sowietami".

15. 09. 94.
Instytut Historii Nauki PAN wraz z Polskim Towarzystwem Naukowym na Obczyźnie zorganizowały sympozjum „Nauka polska wobec totalitaryzmów. W 55-tą rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej".

ZACHÓD — EMIGRACJA

3.05.94
W Waszyngtonie został ogłoszony raport Organizacji Obrony Praw Człowieka Freedom House. Dzień 3 maja został proklamowany przez ONZ i UNESCO Międzynarodowym Dniem Wolnej Prasy. Do grupy państw cieszących się wolną prasą zaliczono 68 krajów. 64 kraje znalazły się w grupie państw z częściowo wolną prasą. Jednocześnie uznano, że w 54 krajach prasa nie jest wolna, w 113 państwach, w tym także uznanych za „najbardziej wolne", dopatrzono się naruszeń wolności prasy. Większość państw postkomunistycznych zaliczono do grupy krajów „o częściowo wolnej prasie". Znalazły się w niej: Albania, Armenia, Bułgaria, Kazachstan, Kirgizja, Mongolia, Rumunia, Rosja, Słowacja i Ukraina. Brak wolności prasy odnotowano w Azerbejdżanie, Gruzji, Tadżykistanie, Turkmenii, Uzbekistanie i Białorusi. Polska wraz z Litwą i Węgrami znalazła się — z 30 punktami karnymi — na pograniczu państw o wolnej prasie (jeszcze jeden punkt karny spowoduje wypadnięcie Polski z tej grupy). Jeśli idzie o Polskę to jako najpoważniejszy element negatywny autorzy raportu wymienili zapis o konieczności przestrzegania wartości chrześcijańskich w programach polskiej telewizji. Nieco wyżej od Polski znalazły się Czechy i Estonia. Z raportu wynika też, że w ciągu ostatnich 15 miesięcy zabitych zostało 76 dziennikarzy na terenie 27 państw świata. 9 zginęło w Bośni i Hercegowinie, 7 w Rosji podczas ubiegłorocznego puczu, po 5 w Somalii i Kolumbii.

11.08.94
Zmarł w Waszyngtonie w wieku 82 lat Marek Święcicki, pisarz, dziennikarz, autor głośnej książki „Czerwone diabły pod Arnhem".

16.08.94
Pan John Sanders, przemysłowiec, prezes Rotary Club, prowadzi szeroką działalność charytatywną. P. Sanders po upadku PRL chciał ofiarować Polsce szpital w Gdańsku. Przygotowany plan budowy wraz z dokładnymi danymi odnośnie zaopatrzenia, wyposażenia, etc., delegacja Rotary Club przedłożyła władzom Polski. Projekt ten był poparty przez Komitet Polonii Świata. Projekt został przez Polskę odrzucony. Niezrażony p. Sanders przestawił się na zbiórkę odzieży dla Polaków znajdujących się na obszarach b. Związku Sowieckiego. Akcja ta była zorganizowana m.in. przez Polsko-Kanadyjskie Stowarzyszenie Zawodów Medycznych pod kierunkiem prezesa stowarzyszenia, dr. Zdzisława Kryńskiego. Zbiórkę odzieży prowadzono przez kilka miesięcy we wszystkich parafiach i instytucjach charytatywnych. Zebrano ok. 100 ton odzieży, którą w pięciu kontenerach skierowano do Gdańska do dyspozycji Polskiego Czerwonego Krzyża. Kontenery przewiozło p. Sandersowi bezpłatnie niemieckie przedsiębiorstwo. Akcja rozprowadzenia odzieży będzie prowadzona pod kierownictwem prof. Stelmachowskiego, a dalszą akcją

kierować będzie przedstawiciel Lions Club, p. J. Dehnel. Cała ta akcja była poparta listem papieskim i to w dużym stopniu spowodowało czynny udział polskich parafii.

22.08.94
Polska Fundacja Kulturalna w Londynie przystąpiła do przedruku najpopularniejszych książek, które były przez nią wydane począwszy od 1963 roku. Przedruki otwiera tom Franciszka Wysłoucha „Opowiadania poleskie" z przedmową Stefanii Kossowskiej. W tej serii autorów emigracyjnych ukażą się następujące pozycje: Władysław Günther „Pióropusz i szpada", Marian Hemar „Awantury w rodzinie", Czesław Jeśman „Opowiadania z Rogu Afryki", Stefania Kossowska „Mieszkam w Londynie", Eugeniusz Lubomirski „Kartki z mego życia", Michał K. Pawlikowski „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego", Lew Sapieha „Wojna z wysokości siodła", Wacław Solski „Psy wśród ludzi", Janina Surynowa-Wyczółkowska „Gringa", Karol Zbyszewski „Wczoraj na wyrywki", Janina z Puttkamerów Żółtowska „Inne czasy, inni ludzie". Książki te zostaną wydane dzięki dotacjom Fundacji TADEUSZA WALCZAKA.

5.09.94
W 55-tą rocznicę wybuchu wojny prezydent RP przyznał wysokie odznaczenia Svenowi Grafströmowi (pośmiertnie) i jego żonie Gerdzie. Sven Grafström był sekretarzem poselstwa szwedzkiego w Warszawie od 1935 r. 28 września 1939 poselstwo zostało ewakuowane do Szwecji. 8 listopada powrócił do Warszawy w celu likwidacji poselstwa i interesów szwedzkich w Polsce. Wziął z sobą dużą sumę pieniędzy z poselstwa polskiego w Sztokholmie, z którym był w kontakcie, dla powstającego ruchu oporu w Polsce. Przez cały czas wojny Grafström był rzecznikiem spraw polskich na terenie szwedzkiego MSZ-u i ułatwiał łączność z Polską za pośrednictwem poczty dyplomatycznej.

8.09.94
W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Samodzielnego Oddziału Byłych Żołnierzy AK we Francji odbyło się zebranie z odczytem p. Marii Wiśniewskiej „Ludność cywilna i powstańcy warszawscy" oraz prof. Tadeusza Wyrwy „Francja generała de Gaulle'a wobec powstania warszawskiego".

13.09.94
Z okazji 75-lecia stosunków dyplomatycznych między Polską a Szwajcarią została przygotowana wystawa zorganizowana przez polską ambasadę w Bernie. Organizatorem tej wystawy był p. Jan Zieliński.

17.09.94
Zmarł w Londynie w wieku 92 lat Karl Popper, logik i filozof — przedstawiciel neopozytywizmu. Zajmował się głównie zagadnieniami metodologii nauk. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu została otwarta wystawa poświęcona Powstaniu Warszawskiemu. ■ Francuski koncern prasowy Hersant/Figaro, który jest właścicielem szeregu pism i drukarni w Polsce, sprzedał 8 pism i 2 drukarnie bawarskiej grupie prasowej Passauer Neuer Presse. Grupa ta jest już dobrze zakorzeniona w Czechach.

19.09.94
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się XIII Uniwersytet Letni Stowarzyszenia Francusko-Polskiego z udziałem Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Sesja została otwarta przez p. Leszka Talko prezesa Stowarzyszenia Francusko-Polskiego. Inauguracyjny wykład wygłosił Andrzej Krzeczunowicz, ambasador polski w Belgii i Luksemburgu na temat „Polska polityka bezpieczeństwa". Ponadto zostały wygłoszone następujące referaty: „Marie Casimire, Reine de Pologne" Geneviève Chauvel; „La doctrine sociale de l'eglise — Raison d'être du syndicalisme chretien" Jacques Tessier — Président honoraire de la Confédération Française des Travailleurs Chrétiens; „La bataille de Varsovie" Alexandra Kwiatkowska-Viatteau i Georges Mond; „Ce que je dois a la Pologne" Maurice Schumann — członek Akademii Francuskiej, były minister; „Maria Leszczyńska, Reine de France" André du Couedic; „La 1-ere DB polonaise en action" Bohdan Korab-Brzozowski; „La resistance du primat de Pologne, cardinal August Hlond, en 1939-1945" Witold Zahorski.

Kronika szwedzka

W październiku kończy swoją pracę profesor medycyny, Jerzy Einhorn, poseł z ramienia Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (KDS). 69-letni polityk ma dalej pacjentów, prowadzi przewody doktorskie, jest kandydatem do samorządu lokalnego a w przyszłości planuje napisanie pamiętników. W wywiadzie, udzielonym we wrześniu, podkreśla, że to wspaniałe, że on, który przyjechał w 1946 roku z Polski do Szwecji jako uchodźca z pustymi kieszeniami, mógł być wybrany do *Riksdagu* (parlamentu). ■ W nowej kadencji zaplanowano szereg zmian w ustawodawstwie. M.in. zgoda na stałe osiedlenie dla azylantów będzie okresową zgodą, do czasu ustania przyczyn opuszczenia miejsca zamieszkania; zamierza się znieść embargo na broń szwedzką do krajów bałtyckich. Już teraz Szwecja przygotowuje się do wyposażenia batalionu ONZ na Łotwę. ■ Hawana wystosowała ostry protest przeciwko wypowiedzi tutejszego MSZ (p. minister Margarethy af Vgglas), że najlepszym rozwiązaniem kryzysu kubańskiego byłoby ustąpienie Fidela Castro. Przypominam, że od 30 lat Szwecja wydaje miliardy koron budując na Kubie szpitale, przychodnie i szkoły. ■ Tutejsza prokuratura bada dziesiątki przypuszczalnych przestępców wojennych z byłej Jugosławii, mieszkających w Szwecji. Jeśli dochodzenie potwierdzi zarzuty, wówczas przestępcy zostaną oddani do dyspozycji trybunału ONZ w Hadze. ■ Na żądanie komisji pokojowej Stoltenberga i Davida Ovena szwedzcy celnicy zostaną wysłani do nadzoru granicy między Bośnią a Serbią. ■ W lecie przebywało w Szwecji na miesięcznych kolo-

niach 100 dzieci z okolic Czarnobyla chorych na raka. Na zaproszenie związków „Pomostu Wschód-Zachód" przyjechała nad morze (do Strömstad) grupa polskich dzieci kalekich pochodzących z biednych rodzin i 14 dzieci różnych narodowości ze Lwowa. Polskie organizacje wysłały do Lwowa sprzęt inwalidzki, a kolonijnych gości i redaktorkę *Głosu Lwowskiego*, Barbarę Rafalską, spotkały 13 sierpnia w Göteborgu. ■ 1 sierpnia, w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, telewizja szwedzka nadawała relacje z uroczystości w Polsce oraz wywiad z uczestniczką powstania, 87-letnią p. Kazimierą Lenkszewicz, zamieszkałą od dawna w Sztokholmie. ■ Profesor KUL-u, ks. Roman Dzwonkowski, wygłosił 4 września w Göteborgu prelekcję na temat sytuacji Polaków na Wschodzie, miał też zaplanowane spotkania z Polakami w Lund, Helsingorgu i Malmö.

Anna RIEDL

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego" bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288 Cena F. 145,00

Listy do Redakcji

17 czerwca 1994

Szanowny Panie Redaktorze,

Doceniam zażenowanie Profesora Stefana Zabrowarnego z powodu utożsamiania go z tegoż nazwiska Andrzejem, redaktorem nieładnych publikacji Mikołaja Siwickiego o stosunkach polsko-ukraińskich. Zapewniam Go, że nie mylę Stefana z Andrzejem, ani go o niecne sprawy nie podejrzewam. Prof. Zabrowarnego miałem okazję poznać z dobrej strony, Andrzeja Z. jak i Mikołaja Siwickiego nie znam, wiadomości o nich czerpię od krajowych specjalistów, śmiem zapewnić — sprawom ukraińskim życzliwym.

To o niemiłej stronie korespondencji. Myślę, że mój list daje Prof. Zabrowarnemu pełną satysfakcję.

Mnie natomiast do satysfakcji brakuje czegoś bardziej istotnego. To nie ja winienem zwrócić uwagę na bałamuctwa Siwickiego, lecz historycy czy publicyści ukraińscy. To oni winni się odżegnać od tekstów tchnących patologiczną nienawiścią, a płynących spod ukraińskiego pióra. Tak jak polscy historycy odżegnują się od nienawistnych tekstów polskich. I świadomym działaniom polskich elit należy zawdzięczać, że co by się nie mówiło, nastroje antyukraińskie w Polsce po 1989 r. okazały się o wiele słabsze, niż można było się obawiać.

Ze smutkiem stwierdzam, że nie natrafiłem na ukraińskie reakcje na książki Siwickiego. Pisze się owszem, dość dużo, zazwyczaj jednak — niech się mój serdeczny przyjaciel Bohdan Osadczuk nie obrazi — by ponarzekać na Polaków. A że owe płody Siwickiego mogą zamącić nader wrażliwe stosunki polsko-ukraińskie? Owszem, mogą spowodować wiele zła, przede wszystkim dla rozsianych w Polsce Ukraińców, dowodem reakcje znajomych prof. Stefana Zabrowarnego, choć mam nadzieję, że jednak nie posądzają go o gloryfikowanie morderstw II wojny światowej.

Będę wdzięczny za opublikowanie listu.

Józef LEWANDOWSKI

Genewa, 25 lipca 1994

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Kultura poświęcała od niepamiętnych lat bardzo dużo uwagi stosunkom polsko-ukraińskim, a także polsko-białoruskim i polsko-litewskim. Była konsekwentnie adwokatem zbliżenia pomiędzy tymi — historycznie blisko powiązanymi — krajami. Niestety w ostatnich latach widzę na łamach pisma pewien katastrofizm, a równocześnie brak zrozumienia istoty wielu obecnych problemów.

Dla pokolenia wychowanego w PRL ziemie te stanowią *terra incognita*. Cenzura komunistyczna skwapliwie cięła wszystko, co dotyczyło tamtych krajów. ZSSR był praktycznie zamknięty dla turystyki indywidualnej, turystyka zorganizowana rzadko pozwalała zobaczyć cokolwiek na zachód od linii St. Petersburg–Moskwa–Krym. W efekcie Baku leżało dla polskiego turysty bliżej niż Lwów, a Irkuck bliżej niż Kijów. Miłośnikom gór łatwiej było wędrować po Kaukazie, Pamirze czy Ałtaju, niż po Gorganach. Sytuacja zaczęła ulegać zmianie dopiero za późnego Gorbaczowa. Trudno oczekiwać żeby wzajemna znajomość i zrozumienie osiągnęły w te kilka lat poziom, jaki panuje np. między Niemcami i Francją, lub choćby Niemcami i Polską.

Jest oczywiste, że istnienie silnej i niepodległej Ukrainy, Białorusi i Litwy leży w polskim interesie. O powodzeniu niepodległości i demokracji w tych krajach (a właściwie we wszystkich) zadecyduje *gospodarka, gospodarka i jeszcze raz gospodarka*. Należy sobie uświadomić, że niezależnie od sympatii i sentymentów, współpraca z tymi krajami nie może przysłaniać Polakom głównego celu, jakim jest polityczna i gospodarcza integracja ze światem wysoko rozwiniętym. Choćby z tego względu, że odbiera on ponad 70% polskiego eksportu i że z niego pochodzi chyba 100% zagranicznych inwestycji w Polsce.

Rozbudowa więzi gospodarczych ze wschodnimi sąsiadami (a także z Rosją i innymi państwami WNP) jest istotna, trudno sobie jednak obiecywać cuda. Ukraina i Białoruś dzierżą czerwoną latarnię w procesach transformacji gospodarczej, recesja w tych krajach jest bardzo głęboka, nawet ruble uchodzą tam za silną walutę. *W tej sytuacji, gdy nie wiadomo, jaka w danym kraju będzie obowiązywać waluta, jaki będzie jej kurs, czy będzie wymienialna i na jakiej zasadzie, jak się będą kształtowały ceny, jak płace a jak podatki, trudno oczekiwać większej aktywności kupców czy przedsiębiorców patrzących dalej, niż na zysk z pojedynczej transakcji.* Nie mówiąc już o inwestorach. Dopiero urynkowienie tamtejszych gospodarek, a także stabilizacja polityczna, przyniosą dalsze impulsy rozwojowe. Klucze do poprawy sytuacji leżą więc w Mińsku czy Kijowie. Możliwości Polski są niezwykle ograniczone. Nie jesteśmy w stanie zastąpić ani rosyjskich dostaw ropy czy gazu, ani rosyjskich rynków dla tamtejszego przemysłu zbrojeniowego.

Nie można też obiecywać sobie cudów po turystyce. Infrastruktura w tych krajach jest daleko niewystarczająca, zwłaszcza dla średniozamożnych. Z Ukrainą łączy Polskę tylko jedno (!) drogowe przejście graniczne — w Medyce. Podobnie z Białorusią — w Brześciu. Spojrzenie na mapę samochodową pozwala dostrzec drogi, które istniały przed wojną, a które dziś przedziela pas zaoranej ziemi i druty kolczaste. Otwarcie ich

nie kosztowałoby zbyt dużo pieniędzy. Po czyjej stronie brakuje woli — nie wiem. Znaczną rolę w zbliżeniu naszych narodów mogliby odegrać białoruscy i ukraińscy handlarze i gastarbeiterzy — w Polsce określani mianem „ruskich". Z radością należy stwierdzić, że nie wzbudzają oni w Polsce agresji czy niechęci, a problemy mają prawie wyłącznie z własnymi mafiami. Kulturę tamtych krajów mogłyby też nam przybliżyć nie tak znowu małe mniejszości tych narodów, żyjące w Polsce. W Warszawie, Poznaniu czy Wrocławiu są cerkwie prawosławne i kościoły ukraińsko-katolickie, nie spotkałem jednak ani jednej ukraińskiej restauracji, klubu czy sklepu z tamtejszą sztuką ludową. W Genewie np. nie brak jest lokali, do których wystarczy wejść, żeby poczuć się jak w Hiszpanii czy Portugalii.

Proces zbliżenia polsko-ukraińskiego, polsko-białoruskiego i polsko-litewskiego będzie więc siłą rzeczy musiał być rozłożony w czasie. Jedno jest istotne. Dla mojego pokolenia ani „Krzyżacy" Sienkiewicza ani „Stara Baśń" Kraszewskiego nie były żadnymi punktami odniesienia w kształtowaniu obrazu Niemiec i Niemców. Fakt, że dla Polaków głównym źródłem wiedzy o Ukraińcach jest „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza, powieść totalnie fałszująca historię, zakrawa na skandal. Tu zrobić coś trzeba i to natychmiast. Gdyby w polskiej TV uruchomiono program poświęcający choćby godzinę tygodniowo problemom naszych wschodnich sąsiadów — we współpracy z tamtejszymi telewizjami — byłby to olbrzymi sukces i warto byłoby poświęcić na to te kilkaset tysięcy dolarów.

Porozumienia między politykami nie mają wielkiej wartości, jeśli nie towarzyszy im realne zbliżenie narodów, wzajemne zapoznanie i zrozumienie. Na to wzajemne zapoznanie i zbliżenie winny obecnie usilnie pracować elity Polski, Ukrainy i Białorusi.

Paweł STRUMIŁŁO

●

Oxford, 6 września 1994

Panie Dyrektorze,

Uprzejmie przesyłam LIST DO REDAKCJI. Będę wdzięczny za opublikowanie.

Pragnę dodać, że Jan Badeni (emerytowany Sq. Ldr. R.A.F.), syn autora książki cytowanej przeze mnie, mieszka w Norton Manor, Wiltshire.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku,

Wiesław F. TOPOROWSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Wzmianka o nadaniu przez Prezydenta R.P. Witoldowi Nowosadowi Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi R.P., który mu wręczył ambasador

Jerzy Łukaszewski w Paryżu (vide *Kultura* 7-8/1994 str. 202/203) przypomniała mi o pewnym głośnym później wydarzeniu w obozie zagłady, w Mauthausen. Opisał je Stefan Badeni (1885-1961). W jego książce, zatytułowanej *Wspomnienia i szkice* (wyd. K.O.W. VERITAS, Londyn 1963), w rozdziale pt. *Piękno w Mauthausen* jest następujące zdanie w relacji o współwięźniach, którzy przyczynili się do uratowania życia autorowi:

> „Ale głównym dobroczyńcą pozostanie lwowianin, Witold Nowosad, pokrewny mi miastem i zamiłowaniem do wiedzy o dziejach, który jeszcze w sobotę przed nadejściem wojsk amerykańskich intuicją swoją i szybkością działania wydarł mnie komorze gazowej" (str. 162).

Jak wynika z dalszego opisu (str. 194) było to 28 kwietnia 1944 r.

> „W ostatnią sobotę kwietnia władze bloku otrzymały rozkaz wyznaczenia kilkuset najbardziej osłabionych, którzy w innym nowo urządzonym szpitalu będą pobierali zamiast jednej zupy 1/2-litrowej — dwie 1-litrowe i 1/6 chleba zamiast 1/18. Wyznaczono i mnie i stałem przed blokiem w piątkach gotowych do odmarszu. Przechodzący właśnie więzień polski spostrzegł mnie i przystąpił:
> — I pana tam posyłają? Zamyślił się. — Nic nie wiem, pojęcia nie mam, ale mnie się ten nowy szpital nie podoba. Czy panu zależy na nim?
> — Bynajmniej.
> — No to pójdę do „Schreibera", by pana jeszcze wykreślił.
> I po chwili od drzwi bloku skinął na mnie.
> To spotkanie i wymiana słów były przysłowiowym włoskiem, na którym wisiało życie ludzkie. Wkrótce było wiadome, że, niestety, tamci nieszczęśni odeszli do komory gazowej".

Łączę najlepsze wyrazy

Wiesław F. TOPOROWSKI

SPROSTOWANIE

Chochlik (lub zgoła chochoł) komputerowy zmienił w mym omówieniu pracy prof. L. Bednarczuka (*Kultura* Nr 9/564 z września 1994) o językach Wk. Księstwa Litewskiego tytuł innej jego książki —„Języki indoeuropejskie", W-wa 1986 — na „...modernistyczne" (sic!). Przepraszam zarówno autora jak i czytelników za ten mimowolny żart.

M. BROŃSKI

POLEMIKI

O szemraniu w Katedrze inaczej:

Maciej Lipowski: 145
Adam Nasielski: 146
Zygmunt Stankiewicz: 147
A. Pospieszalski: *Odpowiedź* 149

●

— *Wydarzenia miesiąca i kronika szwedzka* 151

●

J. Lewandowski, P. Strumiłło, W. F. Toporowski: *Listy do Redakcji* 156
M. Broński: *Sprostowanie* 159

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4e trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1994		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$ can. 13,00	$ can. 75,00	$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*) lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76 Cena F. 20,00

•

TOM 486 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: Tadeusz Wyrwa: *Powstańcza „Burza" i jej skutki;* Hanna Świderska: *Angielskie usiłowania „zjednoczenia wszystkich Polaków" na tle Powstania Warszawskiego;* Andrzej Kobos: *Kanały w Powstaniu Warszawskim;* Jan Rossman: *W kanałach;* Maria Podhorska: *Co wiesz o Powstaniu Warszawskim?;* Stanisław Likiernik: *Powstanie Warszawskie. Kedyw „Kolegium A" na Okręg Warszawski — Grupa A: Stanisława Sosabowskiego;* Gen. Kazimierz Sosnkowski: *Do żołnierzy Armii Krajowej — Rozkaz nr 19;* Gen. Ludomir Rayski: *Raport o sytuacji i pomocy dla powstania w Warszawie, przedstawiony gen. Andersowi w obecności gen. Szyszko-Bohusza i płk. Wiśniowskiego w dniu 4 września 1944 r. o godz. 15.00;* Władysław Bartoszewski: *Słowo powstańczej Warszawy: organizacja i znaczenie środków masowego przekazu;* Jan Wojtowicz: *Relacja Jana Wojtowicza, pseudonim „Wojtek" spisana przez Henryka Kozłowskiego 11.11.1985 r. w Ottawie;* *Związek Sowiecki a Powstanie*; Zbigniew Jasiński: *Pieśń o Powstaniu;* Jerzy Giedroyc: *Ze wspomnień nienapisanych;* Andrzej Friszke: *Polscy historycy o Powstaniu Warszawskim*

Str. 240. Cena F. 90,00.

I.N. 93400 St-Ouen – 3236-1994

Cena 55 F